

Każdy śni
swój piękny
sen

MARIAN
ZDROJEWSKI

Patrz str. 6

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042



„Seksmisja”

Co Roy Miedwiediew napisał o Klimencie
Woroszyłowie w książce „Wszyscy ludzie
Stalina”? (1)

Marszałkowie

WITOLD BOROWY

Klimient Jefremowicz Woroszyłow zmarł 3 grudnia 1969 roku. Pochowany został z należnymi honorami pod murem kremlo-
wskim w Moskwie. Był przecież marszałkiem ZSRR. Został mar-
szałkiem w 1935 roku.

„Miasto Ługańsk — napisał Roy Miedwiediew w książce
„Wszyscy ludzie Stalina” — znowu otrzymało nazwę Wołosz-
lowgrad. Od tego czasu zrobiono wiele, by ponownie ożywić le-
gendę o Woroszyłowie. Jednak nie sądzimy, by owa legenda
dlugo przetrwała samego Woroszyłowa”.

Książka Roya Miedwiediewa „Wszyscy ludzie Stalina” powinna
już być ukazana w Sarajewie nakładem tamtejszego wydawni-
ctwa „Svjetlost”. Powstała ona na początku lat osiemdziesiątych.
Wstęp do niej napisał Roy Miedwiediew w listopadzie 1983 roku.
Wstęp — jak wskazuje sama nazwa — pisze się na ogół na
końcu, po napisaniu całości

Kim jest Roy Miedwiediew?

Korespondent agencji „Tanjug” w Moskwie — Aleksander No-
raci — przeprowadził dla tygodnika „NIN” wywiad z Royem
Miedwiediewem. Autor „Wszystkich ludzi Stalina” mie-
szka na przedmieściu Moskwy, w czteropiętrowym do-
mu. Urodził się w Tbilisi w 1925 roku w rodzinie za-
wodowego wojskowego. Mieszkał i uczył się w Lenin-
radzie, doświadczył prześlęceń ze strony Ojca. Ojciec zresztą

11

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 2 (1554)

ROK XXXI

9 STYCZNIA 1988 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Porno shop to nie salon — str. 14
- Młodzież pragnie odrobiny nadziei — str. 1 i 3
- Leonard „Matnia” — str. 16
- Co lubi Czesław Niemen? — str. 8
- Szósta prawda Polaków na Śląsku — str. 1 i 4

W różnych stronach świata młodzi narzekają i
buntują się, ponieważ nie widzą dla siebie dobrych
perspektyw.

Młodzież pragnie odrobiny nadziei

EDMUND LEWANDOWSKI

Młodzieżą nazywamy kategorię społeczno-demograficzną obejmującą ludzi w wieku od 15 do 20 lat. Jest to w życiu człowieka okres przejściowy między dzieciństwem a stanem pełnej do-
roślości i samodzielności. Osoby w tym wieku mają specyficzną
subkulturę (język, moda, zwyczaje, lektury, autorytety), mani-
fistują krytycyzm wobec zastanej rzeczywistości i starszych pokole-
ni, poszukują swego miejsca w życiu społecznym (zawodu, ro-
dziny, stronnictwa politycznego), pragną takichś innowacji, zmian
i przygód.

Wydać się dziś, że młodzież istniała zawsze. Lecz naprawdę
jest to fenomen socjologiczny powstały w poprzeczku stulecia.
Dawniej bezpośrednio przechodziło się z dzieciństwa do świata
dorosłych. Jeszcze przed wojną gardzono w Polsce młodością.
Każdy — jak najszybciej — chciał być dorosłym. Młodość była czymś
niepełnowartościowym, wstydliwym i zależnym. Tadeusz Kon-
wicki wspomina:

„Z tamtych lat doradzi chodzili wyprostowani, puszni i czci-

Nie musieli się jeszcze kryć po kątach, albo schodzić z drogi,
czy przebiegać się i charakterystować na młodych. Byli tak ro-
zwinięci, że podawali rękę do całowania. I młodzi całowali
ręce matek i ojców, ciotek i stryjów, księży, dyrektorów, skle-
pikarek i artystów. Z największą powagą oraz dyscypliną cele-
browano arcykapitaństwo dorosłości”.

Młodego człowieka łatwo było poznać po krótkich spodniach,
marynarskim kołnierzu, fryzurze zwanej „grzywka” i innych upo-
śledzających oznakach. Natomiast panowie doradzi nosili kapelu-
sze, krawaty, długie spodnie, lasceki.

W tamtych latach młodzi potajemnie przebierali się za doro-
słych. Dopiero zdanie matury uprawniało do noszenia cylindra
i laski. Obecnie jest odwrotnie. To starzy, a nie młodzi, starzy
przebiegają się i udają ludzi młodych. Noszą dżinsy, fantazyjne
fryzury, supermodne stroje. Rozpaczliwie pragną uchodzić za
młodych.

Przejście z dzieciństwa w wiek młodzieńczy określa dwa pod-
stawowe kryteria: biologiczne i psychologiczne. Pierwsze polega
na osiągnięciu dojrzałości płciowej. A drugie związane jest z
formowaniem się ośrodka osobowości i poszukiwaniem własnej
indywidualności. W takim okresie młody człowiek odsuwa się od
rodziców, zamyka w sobie, buntuje się i manifestuje niezależność
poglądów. Bardzo często reaguje agresywnie bądź wpada w de-
presję, nieraz nachodzą go myśli samobójcze.

Nie ma więc problemu z wyznaczeniem początków młodości.
Trudno za to określić jej koniec. Socjologowie mówią obecnie o
przedłużonej młodości. Zakres pojęcia młodzieży rozszerza się na
coraz starsze kohorty wieku. Niektórzy przesuwają granicę mło-
dości aż do 35 lat. Związane jest to z wydłużaniem okresu nauki
i studiów, oczekiwaniem na samodzielne mieszkanie, uzależ-
nieniem materialnym od rodziców. Wejście w świat dorosłych
odbywa się dziś w Europie Wschodniej i Zachodniej dużo później,
niż przed dwudziestoma laty.

2.

Nie ulega wątpliwości, że młodzież jest kategorią dynamiczną
i pełna wizeru, ale w rewolucjach i wielkich ruchach reforma-
torskich główna rolę odgrywała raczej trzydziestolatk. Tak było
w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej oraz Wielkiej Rewolucji
Październikowej, a także między sierpniem 1980 roku i grud-
niem 1981 roku w naszym kraju.

Trzeba jednak przyznać, że w społeczeństwach współczesnych
wzrasta polityczne znaczenie młodzieży. Uczniowie i studenci
coraz częściej buntują się i wychodzą na ulice. Manifestacje
uliczne zdarzają się nie tylko we Francji, Hiszpanii i Włoszech,
lecz także w Korei Południowej, Chinach, Japonii. W grudniu
1987 roku 12 tysięcy dzieci i uczniów demonstrowało w Zagłę-
biu Ruhry pod hasłem: „Chcemy pracy dla naszych ojców”. Jed-
ną z nauczycielek protestujących uczniów, Sabina Moeller, po-
wiedziała:

„Modlę się, bo jak mogę motywować do nauki moich uczniów,
którzy wiedzą, że po szkole zostaną bezrobotnymi”.

W krajach Europy Zachodniej od 40 do 45 procent bezrobot-
nych stanowią ludzie młodzi. Problem pracy i poszukiwanie ak-
tywności nabiera obecnie większego znaczenia niż ochrona środo-
wiska naturalnego. Młodzież mówi o braku dobrych perspektyw
i domaga się odrobiny nadziei.

Wiele wskazuje na to, że samopoczucie młodzieży zachodnio-
europejskiej wcale nie jest lepsze, niż jej rówieśników między
Odra i Wisła. Sytuacja młodego pokolenia jest podobna i trud-
na w różnych częściach świata. Próbowal to uświadomić mło-
dzieży krakowskiej papież Jan Paweł II. Kiedy zebrani przed
Pałacem Arcybiskupim wołali — „Weź nas z sobą!” — papież
odpowiedział:

— „Nie myślę, że tu jest najtrudniej. Jest trudno
także i tam. Problemy młodzieży są wszędzie bardzo po-
dobne. I wszędzie na nie trzeba szukać mniej więcej
takiej samej odpowiedzi. (...) Młody człowiek musi być
silniejszy od warunków. Bo warunki nie sprzyjające są

3

Przyszedł pan o wiele lat za późno...

Szósta prawda Polaków na Śląsku

MACIEJ SIEMBIDA

Pięć Prawd Polaków było
narodowym katechizmem lud-
ności polskiej zamieszkującej
ziemię, nazwane później odzy-
skanymi. Uchwalono je 6 mar-
ca 1938 r. na berlińskim Kon-
gresie Polaków w Niemczech.
Ich autorem był patriotyzm.
Były fundamentem trwania i
oczekiwania na powrót Polski.
Kiedy oczekiwania się spełniły

— życie dopisało szóstą
prawdę.

Zdarzyło się to kilkanaście
miesięcy temu. Jechaliśmy po-
ciągami z Opola do Kieja. Opo-
wiadałem koleżance o swojej
przygodzie. Na biurku w re-
dakcji znalazłem kiedyś tele-
gram z zaproszeniem na I Zjazd
Polskiego Związku Skautowego
w Katowicach. Ucieszyłem się.
Zawsze chciałem napisać o
skautach śląskich, wydobyć ich
z cienia Szarych Szeregów i
harcerzy walczących w Pow-
staniu Warszawskim, zasypać
szczelinę, jaka w powszechnej
świadomości dzieli ich od bo-
haterstwa tamtych. Pojechałem
nafaszerowany literaturą, s po-
kładanymi w głowie pytaniami,
a na miejscu okazało się,
że pani na poczcie nadająca te-
legram, niechętnie dodała jedno
„u”, bo był to zjazd Polskiego
Związku Skautowego — zjazd
sportowców uprawiających naj-
popularniejszą na Śląsku grę w
karty. Nie wypadło się już
wyczołgać. Przesiedziałem kilka
godzin jak na tureckim kaza-
nlu i zapamiętałem jeden tylko
epizod:

W kulturalnej sferze kilko-
osobowa grupa dyskutowała

nad zasadami licytacji. Raptem
ktoś wywalił:

— Po mojemu to powinniśmy
rajcować po niemiecku. Raz, że
takie jest w skacie nazewnict-
wo, a dwa — to niby jak się
dogadamy na międzynarodow-
ych zawodach?

Podniosły się głosy sprzeci-
wu. Ktoś wspominał o Hupce i
Czad, ktoś bąknął jedno słowo
na duzo. Autor propozycji, za-
czerwieniony, zaczął wyjaśniać,
że przecież nie złego nie miał
na myśli, wręcz przeciwnie
kłopotliwe milczenie.

Przerwał je sympatyczny je-
gomość:

— Koleś! Nie mamy się o
co kłócić. Wiadomo: jesteśmy
Polakami i będziemy licytować
po polsku. Zastanówmy się le-
piej nad zapisem: ile ma być
punktów jak się szpil skoń-
czy?

W tym momencie wtrąca
się pewna pani, jadąca z nami
w przedziale:

— A widzi pan — zawołała
z oburzeniem — niby taki
obronca polskiego języka, a
sam po niemiecku powiedział!
Ja bym tam nie wtrącał!

Zrobiło mi się głupio. Zaczę-
łem nawet wyjaśniać, ale pani
momentalnie zasypała mnie do-
wodami swojej przewagi. Widać
ona ma więcej lat, mieszkała
dwa lata na Śląsku, jak mał
chciał jechać na eksport i przy-
szedł tu do „Transbudu”, to i
napatrzyła się. Widać: tu co
drugą ma rodzinę w Niemczech,
paczek dostaje i markę. Ta ro-
dzina przyjeżdża. Ona
widziała. Wysłał taki
stary z mercede-
sa, a sygnet miał jak
orech włoski. Kto go

4



Foto: Grzegorz Galasiński

także na przykład we Włoszech, z jakimkolwiek środowiskiem rozmawiam, wszędzie powtarza się sprawa: brak pracy dla młodych ludzi, bezrobocie młodzieży. Istnieją problemy podobne w różnych stronach świata, w różnych, powiedzmy, strefach globu".

W naszym kraju do kategorii młodzieży należy 8 mln 314 tys. osób, co stanowi 22,1 proc. ludności. Na sytuację i samopoczucie tej grupy rzutuje przede wszystkim głęboki kryzys obejmujący niemal wszystkie dziedziny życia społecznego. Należy pamiętać, że w 1986 roku wytworzony dochód narodowy na jednego mieszkańca był niższy o 13,3 proc. niż w 1978 roku. Poza tym statystyczny Polak jest winien zagranicy już 950 dolarów i 175 rubli.

3.

Na początku 1987 roku pytałem uczniów ostatnich klas liceów i techników łódzkich oraz studentów III i IV roku Uniwersytetu Łódzkiego, jak oceniają sytuację materialną własnej rodziny. Uzyskałem następujący rozkład odpowiedzi (studenci w nawiasach): bardzo dobra — 4 proc. (3), dobra — 36 proc. (24), średnia — 53 proc. (54), zła — 5 proc. (17), bardzo zła — 1 proc. (2), nie wiem — 1 proc. (0).

Młodzież pragnie odrobiny nadziei

Jak młodzi respondenci widzą najbliższą przyszłość w Polsce? Za będzie lepiej sądził zaledwie 8 proc. uczniów i 6 proc. studentów, że będzie tak samo — 30 proc. uczniów i 25 proc. studentów, że będzie gorzej — 36 proc. uczniów i 44 proc. studentów. Pozostali nie mają zdania.

Obiektywnie i subiektywnie perspektywy na przyszłość socjalną rywalizują się wiecej przed naszą młodzieżą nader ponuro. Czy wobec tego marzą o tym, żeby — jeśli to będzie możliwe — wyjechać z Polski na zawsze i zamieszkać na stałe w innym kraju? Twierdząco odpowiedziało 23 proc. licealistów, 17 proc. techników i 19 proc. studentów, czyli co piąta indagowana osoba.

Cytowane rezultaty badań i inne dane wskazują, że młodzież polska jest nastawiona pesymistycznie i nie spodziewa się rychłej poprawy sytuacji w naszym kraju. Ale z drugiej strony większość badanych w Łodzi studentów i uczniów (65 proc.) deklaruje, że jest szczęśliwa według własnego rozumienia szczęścia. Zdecydowanie i raczej nieszczęśliwi stanowią jedna czwarta ogółu respondentów. Proporcje te utrzymują się od końca lat siedemdziesiątych.

Prawdopodobnie rodzice zadbał o to, żeby skutki kryzysu nie dotknęły nymniej ich dzieci. Na podstawie rozmów ze studentami odnośnie ponadto wrażenie, że zakładają oni typowo po polsku, że jakod to będzie...

Młodzież szkolna i studencka akceptuje podstawowe ideaty socjalizmu, lecz krytycznie odnosi się do realnego ustroju. Zaczyna poza tym dominować niewiara w możliwości efektywnego funkcjonowania ustroju socjalistycznego. Potępiła się przede wszystkim rzeczywistość. Zarówno realny jak idealny socjalizm ocenia się przez pryzmat dotychczasowych niepowodzeń. Natomiast świat idei bytujących w przestrzeni platońskiej mało obchodzi to pokolenie.

Przypomina się tu pewien epizod literacki z powieści Ivo Andrića „Konsulowie ich Cesarzów Mości”. Ukazuje on odmienny stosunek reprezentantów dwóch pokoleń do Cesarstwa napoleońskiego. Otóż dla młodego kancelisty des Fosses'a, w przedwieństwie do starszego konsula Daville'a, świat idei zdawał się „wcale nie istnieć, lecz wyłącznie „żywe życie”, rzeczywistość, świat namacalnych faktów i widocznych, wymiernych sukcesów i niepowodzeń...".

W porównaniu z pokoleniem ZMP i ZMS obecna młodzież odznacza się dużym pragmatyzmem i mniejszym idealizmem. Są to przeważnie ludzie praktyczni i egocentryczni, którzy nie mają zrozumienia dla myślenia ideologicznego i utopijnego. Jeśli się już w coś angażują, to pytają o efekty i korzyści osobiste.

4.

Według moich badań z 1987 roku za dalszą budowę socjalizmu opowiada się 35 proc. uczniów szkół średnich i 18 proc. studentów uniwersytetu. Przeciwno temu jest jedna trzecia uczniów i większość studentów. Z każdym rokiem wzrastają odsetki zwolenników kapitalizmu w Polsce (35 proc. uczniów i 45 proc. studentów) oraz znaczącej reparytacji środków produkcji. Przynajmniej połowa ankietowanych uważa, że większość zakładów i fabryk powinniśmy przekazać w ręce prywatne i stworzyć silny prywatny sektor gospodarczy.

Bardziej optymistyczne dla ustroju dane uzyskał wśród uczniów ostatnich klas szkół średnich i zawodowych zespół socjologów Centrum Badań Opinii Społecznej. Reprezentacji ogólnopolskiej z miast i wsi zadano pytanie, czy po dotychczasowych doświadczeniach warto dalej budować socjalizm w naszym kraju. Prawie 60 proc. uczniów odpowiedziało, że tak, około 25 proc., że nie. Stwierdzono przy tym, że pozytywnie oceniają dorobek socjalizmu i jego przyszłość w Polsce mieszkańcy wsi niż miast (zwłaszcza dużych) oraz dzieci mające rodziców z wykształceniem podstawowym.

W sprawach ustrojowych młodzież nasza wie, czego nie chce, lecz bardzo rzadko ma spójne propozycje, pozytywne. Połowa indagowanych przez mnie mężczyzn i jedna trzecia kobiet studiujących na III i IV roku Uniwersytetu Łódzkiego (historia, socjologia, etnografia, pedagogika, ekonomia, biologia, fizyka) potrafi wskazać państwo, które mogłoby stanowić wzór dla Polski. Naj-

częściej wymieniają Szwecję i Szwajcarię. Jednakże ogółem ponad 60 proc. nie wie, które państwo posiada dobry do naśladowania ustrój.

Powszechnie wiadomo, że młodzież wycofuje się z czynnego udziału w instytucjonalizowanym życiu publicznym. Zaledwie co piąty młody człowiek należy do jakiejś organizacji społeczno-politycznej. Mamy bardzo słaby ruch młodzieżowy, spada udział młodzieży w partii. Nawet w 1981 roku, kiedy na uczelniach każdy mógł aktywizować się po jednej lub drugiej stronie, we wszystkich istniejących wówczas organizacjach zrzeszonych było tylko około 30 proc. studentów.

Szczególnie dramatyczny jest spadek upartyjnienia młodzieży. W latach 1970—1986 udział ludzi młodych (od 18 do 29 lat) spadł w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z 25,3 proc. do 6,9 proc. ogółu członków i kandydatów. Tendencja spadkowa jeszcze bardziej widoczna jest w przedziale wieku od 18 do 24 lat: 1970 rok — 11,1 proc., 1978 rok — 7,8 proc., 1986 rok — 1,1 proc.

Małe zaangażowanie społeczno-polityczne współczesnej młodzieży zdumiewa byłych aktywistów, należących dziś do starszego pokolenia. Pewien działacz ruchu ludowego z rozgoryczeniem pisze o młodych członkach swej rodziny:

„Kiedy są razem i patrzę na nich, zawsze nasuwa mi się pytanie: czy oni się umówili, że żaden (żadna) nie przynależy do żadnej organizacji? Przecież to niemożliwe, aby im nic w życiu nie było potrzebne. Tak myślę. Kiedy przy kieliszku rozkręca się języki, pytam: dlaczego żadne z was nie należy do żadnej organizacji? — A po co? — chłorem”.

Młodzi nie widzą po prostu sensu działalności społeczno-politycznej. Ogromna większość nie wyznaje bowiem żadnej ideologii, a poza tym nie ma ochoty uczestniczyć w biurokratycznych organizacjach i pozornych działaniach.

Podobne postawy występują nie tylko w Polsce. O tak zwanej prywatyzacji życia młodzieży mówi się także w krajach zachodnich, gdzie zjawisko to ma jeszcze szerszy zasięg. Ludzie młodzi odczuwają szczególną niechęć do wielkich, scentralizowanych i silnie sformalizowanych struktur. Wolą natomiast małe kluby, wspólnoty, kółka zainteresowań lub ruchy społeczne bez sztywnych form organizacyjnych i szerokich programów.

5.

Badania moje wskazują, że sporo uczniów i studentów włączyłoby się do organizacji o innym charakterze niż istniejące. Na pytanie — „Czy wstąpił(a)byś do którejś z podanych organizacji, gdyby działały legalnie?” — uzyskałem ciekawy rozkład odpowiedzi (studenci w nawiasach): organizacja opozycyjna wobec obecnego ustroju i rządu w Polsce — 7 proc. (22), orga-

nizacja walcząca o czystość środowiska naturalnego — 48 proc. (53), związek młodzieży komunistycznej — 0,5 proc. (2), organizacja młodzieży katolickiej popierana przez Kościół rzymskokatolicki — 18 proc. (16), ruch moralny „Czystych Serce” — 16 proc. (25). Żadna z tych organizacji nie interesuje jedną czwartą uczniów i jedną piątą studentów.

Zaskakująco mało respondentów deklaruje chęć wstąpienia do organizacji katolickiej pod egidą Kościoła rzymskokatolickiego. Jest to tym bardziej dziwne, że niewierzący i niepraktykujący stanowią zaledwie 3 proc. uczniów i 6 proc. studentów. Trzy czwarte tej młodzieży wierzy i praktykuje.

Należy zresztą podkreślić, że choć młodzież polska jest najbardziej religijna w Europie, to nie ma to istotnego odbicia w jej postawach społeczno-moralnych. W miesięczniku katolickim „Wież” (nr 6 z 1987 roku) Ireneusz Krzemiński stwierdza:

„Nacisk samych tylko środowisk elitarnych młodzieży na Kościół zmógł się znacznie po 1981 roku. Z drugiej strony bardzo liczna rzesza młodzieży — mimo że w deklaracjach i gestach, czynionych przy różnych okazjach wyraża swoje uznanie, poparcie i związki z Kościołem — pozostaje jakby poza zasięgiem duchowego oddziaływania religii. Dowodzi to — moim zdaniem — że Kościół nie spełnia należycie przynajmniej niektórych swych istotnych funkcji. Na przykład, wobec powszechności w Polsce uczęszczania dzieci i młodzieży na lekcje religii uderza powierzchowność religijnego wykształcenia młodego pokolenia. Nie dziwnego, że religia nie jest w stanie być realną siłą duchową, jeśli nawet studenci humanistyki nie bardzo są w stanie sprecyzować chrześcijańskie credo”.

Interesujące jest również, że większość młodzieży wypowiada się przeciwko politycznej roli Kościoła rzymskokatolickiego. Tyle samo uczniów co studentów (59 proc.) nie chce, aby księża i biskupi podejmowali w kazaniach zagadnienia polityczne. Na pytanie — „Czy chciał(a)byś, żeby w Polsce kierowniczą rolę w państwie sprawował Kościół rzymskokatolicki jako przedstawiciel większości narodu?” — odpowiedziano następująco (studenci w nawiasach): zdecydowanie tak — 2 proc. (2), raczej tak — 9 proc. (6), raczej nie — 41 proc. (34), zdecydowanie nie — 29 proc. (48). Reszta nie miała zdania.

Znaczna część uczniów i studentów nie popiera kierowniczej roli PZPR, lecz większość nie chce również władzy opozycji. W omawianej ankiecie jest m.in. pytanie: „Czy może sądzić, że dla Polski lepiej by było, gdyby kierowniczą rolę w państwie sprawował NSZZ „Solidarność” na czele z Lechem Wałęsą?”. Oto rozkład odpowiedzi (studenci w nawiasach): zdecydowanie tak — 5 proc. (4), raczej tak — 9 proc. (11), raczej nie — 28 proc. (24), zdecydowanie nie — 26 proc. (34). Pozostali nie mieli zdania.

6.

Jesienią 1985 roku grupa badaczy z Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk wyróżniła cztery orientacje polityczne w społeczeństwie polskim. W najmłodszej kategorii wiekowej (18—21 lat) proporcje ułożyły się następująco: zwolennicy istniejącego ładu politycznego — 24 proc., przeciwnicy panującego ładu — 16 proc., centrum polityczne — 24 proc., tzw. milcząca mniejszość — 36 proc. Rozkład ten jest podobny do proporcji stwierdzonych w innych grupach wieku i w całym społeczeństwie.

Już zresztą w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Stefan Nowak doszedł do wniosku, że pokolenia rodziców i młodzieży w Polsce „są do siebie zdumiewająco podobne w strukturze rozkładów odpowiedzi wyrażających ich postawy i wartości”. Innymi słowy — ustalili on, że „obie generacje jako całość akceptują (lub ostrożnie; deklarują w badaniu) ten sam system wartości kulturowych”.

Teza o podobieństwie poglądów młodzieży i dorosłych w naszym kraju znalazła behawioralne potwierdzenie podczas wydarzeń między sierpniem 1980 r. a grudniem 1981 roku. Nie widać było wówczas konfliktu pokoleń.

Zarzewiem wystąpień strajkowych nie byli ludzie najbardziej, lecz raczej warstwy średnie i młode roczniki pracujących. W połowie 1981 roku Jacek Kurczewski pisał:

„Jest to bowiem protest ludzi o względnie dobrych, często nawet wysokich zarobkach, protest ludzi mniej lub bardziej, ale wykształconych, protest ludzi, którym oficjalnie, ale i rzeczywicie przynależy się wysoki prestiż”.

Jego zdaniem NSZZ „Solidarność” był sojuszem klas średnich: pracowników umysłowych i robotników wykwalifikowanych. Teza ta pozwala chyba lepiej zrozumieć psychologiczne i ideologiczne zjawiska lat 1980—1981.

Wśród 82 członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” średnia wieku wynosiła 38,6 lat, a w gronie Prezydium KK była jeszcze niższa — 33,9 lat. Podając te dane Mikołaj Kozakiewicz stwierdza:

„Nie wydaje się, aby było wiele innych organizacji związkowych, społecznych czy politycznych na świecie, w których średni wiek byłby tak niezwykle niski. We wszystkich organizacjach politycznych i społecznych kadry kierownicze są z reguły powyżej lat 50, a w masie mocno starszych panów, jak przysłowiowe rodzyńki tkwią trzydziesto-czterdziestolatkami. W „Solidarności” było odwrotnie — tutaj „rodzyńkami” było kilku panów w wieku ponad 50 lat”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego wśród młodzieży polskiej umocniła się orientacja na tzw. wartości afiliacyjne (rodzina, miłość, przyjaźń) i poważnie załamały się dążenia prospołeczne. Ale podobne zjawisko obserwują również socjologowie we Francji i Republice Federalnej Niemiec. Mówi się tam o prywatyzmie i realizmie młodych, zamykaniu się w kręgu własnej rodziny i przyjaciół, duchu przeciętności, postawach roszczeniowych wobec państwa.

W naszym kraju ostatnio słabną postawy roszczeniowe w stosunku do państwa. Młodzież zaczyna coraz lepiej rozumieć, że państwo jest biedne, a rodzice borykają się z różnymi trudnościami. W tej sytuacji trzeba bardziej liczyć na siebie. Młodzież pragnie jednak równych szans i odrobiny nadziei. Nie można wciąć czynić emoty z braku obietnic ekonomicznych.

Poza tym młodzież nasza jest przeważnie źle wykorzystana pod względem zawodowym. Władysław Adamski twierdzi, że we wszystkich krajach socjalistycznych istnieje mniej lub więcej widoczna sprzeczność między umiejętnościami intelektualnymi młodych roczników a niskim poziomem wyznaczonych im wymagań pracy.

Jestem przekonany, że energiczne i skoordynowane działania wszystkich ośni systemu politycznego mogłyby szybko spowodować zasadniczy przełom w świadomości młodego pokolenia. Potrzeba tylko jakiejś wyraźnej wizji ustrojowej i odpowiedzi na pytanie, dokąd naprawdę zmierzamy...

EDMUND LEWANDOWSKI

Fot. Olgierd Cielinski

tam wie, co we wojnę robił? Do swoich przyjeżdżał. Więc: zobaczyłbym co by było, gdyby tak granicę otworzyli. Zostali- byśmy se na tym Śląsku we dwóch: ja i ten mój kolega — taki sam mądry.

Kolega wtrącił, że ma rodzinę we Francji, która też przyjeżdża i paczki przysyła, a mimo to, on się wcale Francu- zem nie czuje.

Więc ona dalej: o tym, co było po wojnie, to niech ją je- lepiej nie opowiadają. Bo, co ja mogę powiedzieć? No, co? Co im się takiego stało? Okupację mieli? Nie mieli. Rozstrzelania mieli? Nie mieli. Pacyfikację, getta, partyzantkę mieli? Nie mieli. Siedzieli se za Hitlera jak u Pana Boga za piecem. Po wojnie też im się nie wiel- kiego nie stało. Ona, jakby wtedy usłyszała takiego, co po- niemiecku mówi i chodzi po wolności — wyprętała po pysku jak nie.

A miało być o panu Pawle.

Krótko przed tą rozmową rozmawiałem z panem Pawłem. Pan Paweł zalicza się do tych, co to by wtedy dostali od tej pani po pysku. Pana Pawła za- mierzałem uczynić bohaterem tego reportażu i wszystko tu miało być o nim. Ale tak się nie stało. Będzie zatem trochę o nim i trochę dla tamtej pa- ni z podziękowaniem. Będzie o pana Pawła miejscu i czasie — czyli Opolu i w pierwszych la- tach powojennych. Bo chociaż pan Paweł miał już wtedy 19 lat, to wcześniej nie miał swo- jego czasu. Czas pana Pawła zaczął się dopiero po wojnie.

Niewiele wtedy powie- działem.

Nie wiedziałem od czego za- częć i jak zamknąć kilkun- krotne problemy w paru przy- padkowych zdaniach. Teraz wiem — jak zwykle po nie- wczasie.

— Proszę pani — tak nale- żało powiedzieć — pani opinie były po wojnie bardzo popu- larnie. Niewiele ludzi osiedla- jących się wtedy na Śląsku miało pojęcie o tym, co zasta- ło. Repatrianci pozostawiając gospodarstwa na Wschodzie wiedzieli tyle: tam dali, a tu mają dostać. Dla nich wszystko tu było niemieckie: pejzaż, za- budowania, kościoły, szczyty na szczytach i solniczki w domach. I ludzie — mówiący jakimś dziwnym, twardym, „niemiec- kim” językiem. Zderzyli to ze świeżą pamięcią niemieckiego okrucieństwa, ze wspomnieniami świątecznych grobów najbliż- szych. Wiedzieli jedno: Niemiec narobił zła i trzeba mu teraz za to zło zapłacić. To była je- dyna lekcja historii z tego te- matu.

Niechętnie mówi się dziś o tamtych czasach.

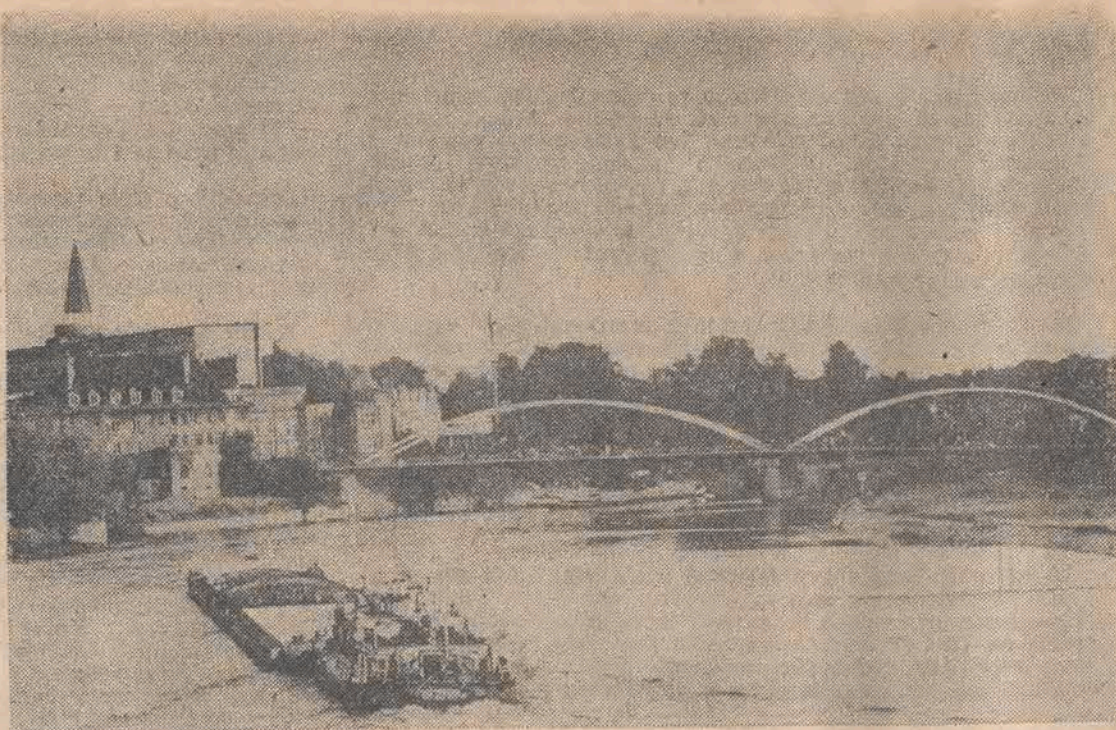
Jedni zaczęli i przerwać w pół zdania: „Nie ma do czego wrac-ać”. Inni powiedzieli wprost: „Nie chcę o tym mówić”. Ale pan Paweł opowie, chociaż po- prosi, aby nie pisać jego naz- wiska. Dlaczego? Bo to, co od- cydował, stało się i tak za póź- no. Więc jak chce, to opowie, chociaż wątpli, czy się to ko- mu na coś przyda. On jest zwykły człowiek. O takich nie pisze się w gazetach.

Władza nie miała tu łatwego życia. Kłopotów było przynaj- mniej parę razy tyle, co funkcyj- nariuszy. Najpoważniejsze to: niemieckie bandy, sabotaż, dy- wersja, samowola osadników i szabrownictwo — czyli wojen- ny rewant. Słyszała pani na pewno.

Kohorty szabrowników spada- ły jak szarańcza. Odważniejsi — szli krok w krok za fron- tem. Zdarzało się — wpadli do opuszczonego domu zastając stół zastawiony do obiadu. Zu- pa jeszcze nie wystygła. Zupy nie ruszały. Szabry mogli za- truć. Brali co się dało, rujnując mieszkania w poszukiwaniu kosztowności, albo tak — z zemsty. Później będą mówili: „Wiedział to kto w czterdzie- tym piątym, że to będzie na- sze?”. Szczególnie wzięcie miały maszyny do szycia, „Singer”. Zna pan na pewno: czarne, o- ksydowane, z narysowanym na obudowie Slinkem. Przed woj- ną w Kieleckim taką maszynę mieli najbogatsi. Potem była w co pięć chłupie. Wszystko z za- bratu. Rzeczka Rekompensata zamieniała się w Morze Rabun- kowe.

Wspomnienia pana Pawła.

Pierwszy obraz pana Pawła z rodzinnej wsi po powrocie z alianckiej niewoli: Chłupysto-



Szósta prawda Polaków na Śląsku

ja jakby nigdy nie. Parę opu- szczonych, z wybitnymi szymba- łą. Dym leci z kominów. Zboże na polach już ładnie po- szło w górę. Świeci słońce. Lud- dzie kręcą się w obejściach. Sąsiedzi zza płotu — Ernest, co ma najładniejszy dom we wsi, kiwa do niego ręką.

Pierwszy epizod pana Pawła z rodzinnej wsi po powrocie z alianckiej niewoli: Na podwór- ku Ernesta weszło ich sześciu, albo siedmiu. Była też z nimi jedna baba. Z miejsca zaczęli płać i wodzić. Ernest wybiegł z domu i zawołał: „Lu- dzie! Co robicie?”. Staneli zdziwieni. „Wyscie Polaki?”. „Polak”. Zaczęli patrzeć po so- bie pytająco. Bracie nie bracie. Trochę nie godzi się bracie swo- jemu. I wtedy wyszła jego żo- na. Wyszła przed siebie, przysio- niła oczy od słońca i spytała: „Ernest, co się dzieje?”. Jak tamta baba, co była z nimi, nie zawiąże: „Ernest?”. Odwróciła się do swoich: „Chłopaki! To Szwab! Ma pan Paweł opo- wiadać co było potem? Ernest pokazał mu na drugi dzień wy- bite zęby i rzekł: „Widziałś syn- ku, pół roku wstecz, tyż tak pe- dził, żeś ja Polak i tyż mie ciępli bez pysk”. Tylko że wtedy bili Niemcy.

Poprzednie krzywdy —

— wiadomo. Pochodzili od Niemców. Im zawsze zależało na wytepleniu tu polskości. Kiedy Łokietek jednoczył kraj, czeski król wykorzystał sytuac- ę i zajął Śląsk orężem. Kazimierz Wielki też musiał to przeżyć. Chciał „posprzątać” w centrum — trzeba mu było pod- pisać dokument, na mocy któ- rego rzekł się praw do tej ziem- ni. Daremnie szedł lat później próbował ją odzyskać. Śląsk zo- stał czeski. Ale tylko formalnie. Naprawdę panoszyli się tu ro- dy Hohenzollernów i Habsbur- gów. W 1437 roku postawiona została kropka nad „i”: nie- miecki król Albrecht został je- dnocześnie władcą Czech. Już wtedy się zaczęło.

Ala lud trwał. Kiedy Jan III Sobieski szedł tedy na Wiedeń, jego francuski kronikarz za- chwycił się, że jeszcze tadeń monarcha nie miał tak owacyj- nych powitań ze strony ludno- ci obcego państwa. Bo i skąd paryżanin mógł wiedzieć, że na drogach wiwatowali ludzie tej samej, co Sobieski narodowości? Minęło przecież dwadzieście lat. Potem przyszli Prusacy i bar- dzo się zdziwili, że na niemiec- kim Śląsku nadal mówi się po- lsku. A dalej to już Bismarck. Kulturkampf. Hakata. Hitler. Nic dodać, nic ująć. Na woł- wej skórze nie spisać, ile pol- ski lud tu wycierpiał, ile długo i beznadziejnie czekał. Aż stał się cud: Śląsk wrócił do ma- cierz.

Świat rodziny pana Pawła składał się z paru lanych móg, zmiennych pólów żyta, kro- wic rożąc, przednówek, żniw, wykopków, niedzielnej mszy i codziennej pracy. Kli- kaneście lat życia, uważanych powszechnie za najpiękniejsze, pan Paweł zamknął słowami: „Byłem na gospodarce przy o- jcu” i tym samym powiedział

o swojej młodości wszystko, co miał na ten temat do powie- dzenia.

W domu mówiono po polsku, ale czy zastanawiano się kiedy- kolwiek nad narodową tożsa- mością? Wiedzieli tyle: mowy człowiek uczy się w kołysce i zanim zejdziesz do grobu, prze- kazuję ją dzieciom i wnukom. Mowa jest naturalna jak pole, niebo, ziarno i chleb.

We wladzach znalazło się wówczas wielu ludzi przypad- kowych, obcych, przyjezdnych. Część z nich było zwykłymi oszustami, którzy przyjechali tu odkuś się za wojnę i wzboga- cić. Część może i miała dobre intencje, ale nie miała pojęcia. Czas i historia nakazywały ko- nieczność odsiania ziarna od plew. A historia nie lubi dro- biazgowych analiz i podobne zabiegi rzadko się jej udawały. Gdyby we wladzach zasiadli wtedy śląscy Polacy — to je- szcze pół biedy. Oni znali sy- tuację, wiedzieli kto może zo- stać, a kto nie. Ale im nie u- fano. Byli tak samo skażeni niemieczną „jak wszyscy inni”. A niemieczna to było w w 1945 roku coś wyjątkowo paskudnego.

Rodzice pana Pawła urzędo- wo byli obywatelami niemiec- kimi. Czy czuli się Niemcami? Urząd traktował tak samo jak chłopci w Grecji, Francji, Szwec- ji i wszędzie tam, gdzie są chłopcy i urzędy. Wiedzieli, że urząd jest od wydawania na- kazów i od rządzenia. Kazał uzyć się niemieckiego i mó- wić w tym języku do urzędni- ków — to i mówili. Na to, kto we wsi czuje się Polakiem, a kto Niemcem — nie zwracali uwagi. Dla nich to była polity- ka, a polityka nie ma ich rozu- m. Byli chłopami z gatunku tych, którym ziemia i praca starcza za cały świat, dla któ- rych ojczyzna zawsze znaczy- ła więcej niż ojczyzna.

Po wojnie kazano składać po- dania o przyznanie polskości. Dziesiątki lat trwania przy- mowy i obyczajach, dziesiątki lat represji — miały się zmieścić na kilkudziesięciu centymetrach kwadratowych papieru. Kto nie był represjonowany — był nie- pewny. Kogo rodzice nie na- uczyli pisać po polsku — tym bardziej. W podaniach, które zbuntowały z czasem w archi- wach, są przekształcenia: Fran- ciszek, Hajrich, Chmielewicz, Majhertschik. Dziś wiadomo, że były efektem wynaradaw- niania. Czym były wtedy, dla u- rzędnika „z Polski etnicznej”, któremu kazano zachować czuj- ność, bo znał się na wyjątko- wo trudnym terenie? Dla świętego spokoju wołał wysłać do Niemiec dwóch niepewnych Polaków niż zostawić w Pols- cie jednego Niemca.

Kwestionariusz narodowości- wy miał pomóc panu Pawłowi w określeniu, kim jest i zde- cydować, czy może zostać. Zo- stać. Na swojej ziemi, w swojej chłupie, obok ojcowego pola i grobu dziadków. Zostać. Ale jako kto? Na początku bardzo się bał kwestionariusza, ale gdy przeczytał pierwsze pytania, o- detchnął z ulgą. Tak. Modlił się po polsku. W domu też używał tego języka. Sprawy polskiej

nie szkodził. Do niemieckich organizacji nie należał. Służył w niemieckim wojsku we Fran- cji. Kazał iść w 1944 to i po- szedł. Wszystko to starannie wykaligrował i zamógł do ur-zędu. Pracownik starostwa na- pisał na górze blankietu: „Przyznaje się”. Pan Paweł za- stanawiał się gorączkowo, do czego to się, zdaniem urzędu, przynajmniej chodziło o to niemieckie wojsko? Wreszcie nie wytrzymał i zapytał. Pra- cownik starostwa wyjaśnił, że „przyznaje się” panu Pawłowi prawo do pozostania w Polsce.

Czy widział ktoś podania o przyznanie polskości?

Jedne pisane są czystą polsz- czyną, inne koślawe, pełne kulonów i słów naukowych z domowego sylabozka. Jedne pełne pokory, inne żalu powo- dowanego nieufnością. Jest w nich o plebscyście i o powsta- niach, o represjach i „za Niem- ca” i kijach za śpiew w pol- skich chórach. O ojcach w Bu- chenwaldzie i braciach siłą wcielonych do Wehrmachtu. Pod podaniami są opinie: Związku Polaków w Niemczech, władz, partii, stronnictw, mili- cji. Pod podaniami jest bałagan. Wójt pisze: „Wysiedlić”. Gmin- na Rada Narodowa: „Nie wy- siedlić”. Posterunek MO: „Wy- siedlić”. Starostwo: „Uznać wnioskodawcę za Polaka”.

Kwestionariusz i podanie da- ły panu Pawłowi wiele do my- ślenia. Wreszcie zrozumiał, kim jest. Wreszcie przestał być ni- Polakiem, ni-Niemcem. Wresz- cie zrozumiał dlaczego Haupt- mann w wojsku gniebił go za to, że rodzina po 1933 r. nie zmie- niała nazwiska na niemieckie. Deklarację wierności wypełniał z przekonaniem: „Oświadczam, że zostalem wpisany przez nie- mieckie władze okupacyjne do trzeciej grupy niemieckiej listy narodowej wbrew własnej wo- li. Przyrzekam uroczystie pom- nyć swej polskiej przynależno- ści narodowej dochować wierno- ści Narodowi i Państwu Pol- skiemu”.

Zweryfikował mnie — mówi pan Paweł. — Byłem dumny. Niemcy wpisali mnie na listę i szli. Teraz wybrałem sam. Zweryfikowanie wcale nie o- znaczało spokoju. Nadal pano- wała nieufność i nadgorliwość urzędników, którzy postanowili być w pierwszych szeregach nowego kursu. Wiedziałem akta lwowiaka, pochodzenia angiel- skiego, któremu wytoczono spraw- ę o niemożność, że względu na obce pochodzenie nazwiska. Sprzedawca z kiosku obok teat- ru w Opolu oskarżono o sprze- dawanie towaru w torebkach z niemieckimi napisami. Lo- dzianka z ulicy Ozimekiej o „wygrywanie na płytach Hite- rowskiego przeboju „Rosamun- de”. Kogoś innego o „posiada- nie to domu kszątki niemiec- kiego autora Dante pt. „Die Goetliche Komödie”.

Na odwołanie niemieckiego dokumentu wystawiono panu Pawłowi świadectwo obywatel- stwa polskiego, z ostrożną u- wagą, że może być ono „w każ- dej chwili odebrane”. Nie prze-

jął się tym. Wrócił do domu i zaczął pracować. Na wsi poja- wiły się wówczas dwa nowe pojęcia: „zweryfikowany” i „repatriant”. Ci ostatni byli po- dejrzliwi, nieufni. Wehrwolf wysadził tory kolejowe do Ko- zia i cały pociąg repatriantów wyładował w ich wiosce. Z jed- ną z zaburzających rodzin mie- szkali pod jednym dachem. Dach należał do nich, ale oj- ciecie tamtej rodziny robił wszy- stko, aby ich spod tego dachu wykurzyć. Pisał donosy, skła- dał zeznania w starostwie, szczerł innych. Pan Paweł po- detknął mu kiedyś pod nos swoje zaświadczenie. Tamten złapał i byby podał, gdyby nie szacunek do wszystkiego co urzędowe. Więc tylko dał pa- pier swoim do obejrzenia i po- kazal na znaczek skarbowy: — Patrzcie się! Polak! Za 25 złotych!

Wielu zweryfikowanych przeżyło weryfikację po raz wtóry. Wielu nie sprostało ko- lejnej próbie. Wyjechali do Niemiec i są teraz Niemcami. Inni uporczywie bronili swojej polskości. Jeden z członków komisji weryfikacyjnej w Kluczborku odpowiadał jak zno- sił do urzędu „herbowiznę po starych”: polskie książki, mo- dliłowniki, dokumenty, relacje świadków. Watpiący w zbioro- wy rozum starostwa stali od- wołania do Katowic, nawet do Ministerstwa Ziemi Odzyska- nych. Skierowani do wysiedle- nia mieszkańcy podopolskich Wądrog pisali:

„Za czasów niemieckich by- łem człowiekiem i starołem się ludzkom zagrożonem po- móc. Podczas powstania u- krywałem tych, co walczyli z Niemcem. Język polski znam i to jest mój język. Dzieje mi się krzywda, że jestem na li-ście”.

Albo: „Naprawdę zdziwiony by- łem, gdy mnie wezwano przed komisję. Przecież jestem Po- lak, nie żaden kolonista. Moje dzieci w ogóle niemieckiego nie znają”.

Albo: „Mojego brata gestapo za- brało do łagru. Tu jest mój kraj. Moje i słabo mówię po polsku, ale ucze się i będę je- szcze dobrze mówić. Bardzo proszę mnie nie wysiedlać”.

Zaburzańscy często mówili: — Zobaczmy jak to je- szcze będzie z tymi waszymi zaświadczeniami!

Nie wiadomo czy były to słowa wypowiedziane w zia- godzinie, gruntu ze tu i ówdzie zaczęły się sprawdzać. Gdzieś odkryto, że zweryfikowany był przed wojną niemieckim do- nosicielem, gdzie indziej — podczas badania lekarskiego okazało się, że posiadacz za- świadczenia ma esemeski ta- tuaż pod pachą. Słyszało się o specjalnie przeszkolonych dywersantach, których zadaniem było niszczenie polskiego życia od wewnątrz.

Nie wiadomo, w jakim sto- pniu zaburzańscy przyczyni- li się do powtórnej weryfi- kacji pana Pawła. Grunt, że jego akta pełne są od tej chwili zaświadczeń, opinii, ankiet, kwestionariuszy, na- kazów wysiedleńczych, wez- wań, protokołów wiezien- nych przesłuchań, zeznań i formularzy. Powtórna weryfi- kacja była nader drobniaczka.

Jest blisko Opola wieś (dziś stolica gminy), która od wie- ków była Niemcom sola w oku. W czasie trzeciego pow- stania wyszykowała własny, kilkudziesięcioosobowy od- dział, urodziła wielu bojowni- ków o polskości, wydała wielu absolwentów polskiego gim- nazjum w Bytomiu. Niemieckie represje były tu na porządku dziennym. W 1945 roku zło- żono tu... 6 wniosków o wyjazd do Niemiec. I jak na ironię — te właśnie wieś pokarało szczególnie „pionierami no- wej władzy”. Nauczyciel przy- był z Częstochowy przygo- towywał prywatną listę re- patriacji, na którą zapisał byłego powstańca śląskiego oraz plekarza — znanego w okolicy działacza polonijnego. Naczelnik konsekwentnie wy- siedlał tych, których majatki były najbardziej apetyczne. Rządził pół roku, ale owoc- nie. Dla siebie — rzecz jasna. Paru innych przedstawicieli władzy wyjechało stad peł- nymi ciężarówkami. Ile zda- żyli zdzielać?

W opolskim archiwum za- choowały się podania miesz- kańców tej wsi skierowanych do repatriacji. Te podania, to plekna polszczyzna polaczona z zapisem patriotyzmu. Nie- mał na wszystkich widnieje adnotacja: „Odrzucone”.

Ze śledztwa w sprawie pana Pawła zebrał się niemały tom dokumentów. Być może było- by ich mniej, gdyby pan Pa- weł przyjął któryś z nakazów wysiedlenia. Ale on zaparł się

być Polakiem. Kosztowało go to wiele mordegi po urze- dach, komisjach, areztach, referatach, biurach i komi- sariatach. A dla chłopca nie ma nic gorszego. Wszędzie pan Paweł chodził dobrowolnie i cierpliwie znosił upokorzenia. Tak do 1949 roku. Innym może dawno by wszystko rzucił i wyjechał, ale on nie. Zaparł się na te polskości i chociaż nie wiadomo ile w tym było „świadomości narodowej pol- skiego chłopca ciemno- nego przez wieki pod aermajskim jarzmem” — jak pisało wtedy w gazetach — to pan Paweł wybrał narodo- wość na swój rozum i to jest cenniejsze od sloganów. Pan Paweł sam się sobie dziwi, że był wtedy taki spo- kojny. Dziś jest już skołata- ny życiem i chyba by nie dał rady. Ale wtedy pan Paweł był opanowany. Raz tylko po- wiedział w starostwie: — „Nie zrobili ze mnie Niemca za Hitlera to i wam się nie uda”. A tak, to nie denerwował się, nie obraził z powodu urzędowego niedo- wierzenia. Wcisnął czapkę na głowę i chodził po urzędach z chłopskim uporem. Aż wy- chodził. Po trzech latach śle- dztwa i ciarłych apelacji, na wniosek pana Pawła, noszą- cym numer 23133 napisano czerwonymi drukowanymi li- terami: POLAK.

Słyszał ktoś o Związku Polaków w Niemczech?

Oni nie milczeli w tamtych latach. Kiedy tylko mogli — pomagali, wyjaśniali, dawali świadectwo prawdzie. Sami też niejedno przeszli zanim wyosposodarowano im kacie w narodowym pantonie. Dope- ro niedawno na posiedzeniu Zarządu Głównego ZBoWiD i przedstawicieli byłego ZPwN, przyznano działaczom przed- wojennych towarzystw i zwi- azków polonijnych prawa kom- batanckie. Wcześniej byli przeszkodzą. Trzeba było 40 lat, aby je zlikwidować. Wielu za- brało te gorzkie prawdy do grobu. Inni...

Znałem dobrze tego czło- wieka. Ale wszystko, co o nim wiedziałem, pochodziło z dru- gich ust. Był uczniem pol- skiego gimnazjum w Bytomiu. Za noszenie mundur polskie- go harcerza, przed wojną, nie raz go nobito. W czasie wojny współpracował z Polakami i Rosjanami wywiezionymi na Śląsk na przymusowe roboty. Kolportował prasę podziem- ną, zbierał informacje o ru- chach wojsk hitlerowskich. Przekazywała je później ra- diostacja ukryta w jego mie- szkanie. Pomagał zbiegom z obozu w Lambinowicach. Pa- rokrotnie, cudem, uniknął śmierci. W 1944 r. wcielono go do Wehrmachtu. Umierający dowódca plutonu ostrzeż- ę: — Uciekaj! Wiem o to- bie, grozi ci śmierć.

Parę dni później trafił do niewoli radzieckiej. Po powro- cie zza Uralsu zgłosił się do pracy. Odrzuconywał War- szawę, potem wrócił na Śląsk. W 1972 roku zgłosił się do ZBoWiD. Podanie odrzucono. Dowiedział się wów- czas, że działalność w zwi- azkach polonijnych na terenie Rzeszy „nie była niczym szczególnym”.

Byłem u niego przed dwa- ma laty. Zagadnałem o prze- szłość, wspomniałem o poście Edmundzie Mielewskim i przy- znał mi praw kombatanckich dla działaczy byłego ZPwN. Nie odpowiedział. Wspomnia- łem, że chce pisać reportaż o tym, co działo się na Ślą- sku po wojnie. Napięty za- myślił się, spuścił wzrok. Po- tem spojrzał na mnie: — Pan zna Pięć Prawd Po- laków?

— Znam.

— Proszę powiedzieć.

— Pierwsza: Jesteśmy Po- lakami. Druga: Wiara Ojców naszych jest wiara naszych dzieci. Trzecia: Polak Pola- kowi bratem. Czwarta: Co dzień Polak Narodowi służy. Piąta...

— Długo. Piątą powiem ja: Polska Matka nasza, o Matce nie wolno mówić źle. Jest jeszcze szósta prawda: Matce uobaczaj najciężniej. Chciał pan opisać moje doświadczenia i Śląsk zaraz po wojnie. Niech pan pisze. Ale ja panu nie o- powiem o sobie. — Przepraszam, że nie temat, ale przesyłał pan o wiele lat za późno.

MACIEJ SIEMBIEDA

Turyści przejeżdżający 19 listopada 1987 roku przez Nowe Złotno przecierali ze zdumienia oczy, przekonani, iż wytworzył sobie fałszywy obraz Spółdzielni Kółek Rolniczych. Bo oto na rozległym placu miejscowej SKR, z którego wygarnięto resztki wapna nawozowego, stał pod gołym niebem gotowy do boju kombajn zbożowy. Rozrzućnik do obornika z porzucanymi trybami i łańcuchami był mniej sprawny bojowo, ale za to między budynkami unosiło się sporo pyłu.

Turyści mogli mniemać, że to jakaś wycieczka z zaprzyjaźnionego obwodu korzysta ze spółdzielczych doświadczeń na Złotnie. Natomiast bardziej zorientowany domyslał się, że albo pracownicy SKR wchodzą szturmem w drugi etap reformy, albo też dla uczczenia referendum zasympiają szlak kolejiny i błoto na drodze wjazdowej.

Na terenie SKR grasował indywidualni z Nowego Złotna, członkowie samorządowego kółka rolniczego i organizacji ZSL. Rząd wkopywał betonowych słupów wzdłuż budynku z napisem „Dom socjalny”

py ze stalowym uzbrojeniem leżały spokojnie u Ireny Brzezińskiej, jakby z góry było wiadomo, że się teraz przydadzą. A ogrodzenie ponoć konieczne, bo jak kobiety z KGW mają wieczorem zebrania, to brama musi być otwarta. A w SKR gnieły podobno jakieś walki od maszyn. Ktoś chyba pomyślał, że baby używają tych walków do zakręcania włosów...

W czerwonym fiaciku leży duży kłęb białego sznurka do wiązanki lub prasy wysokiego zgniotu, czyli w rolnictwie coś drgnęło, bo dawno po żniwach, a sznurka nie brakuje. Pietrzałek opowiada, że w czynnie społecznym wyhodowali w mieście zdrową żywność. Już po terminie agrotechnicznym posadzili resztę przebranych ziemniaków i bez nawozów i opryszków zebrał dorodny plon. W zamian opryski na Nowym Złotnie przeprowadził energetycy, malując za pomocą pistoletów wysokie słupy. Rozrzuć był znaczny, a rolnicy dowiedzieli się po fakcie, że farba jest nasycona, że farba jest nasycona na ołówek. Byłoby poszło na trawę i u Aleksandra Kacprzaka z ulicy Podchorążych padły trzy krowy, a u Stanisława Pa-

gazową z butlą. Pod sufitem kolorowe girlandy stoły pod obrusem, wycielane krzesła. Wyburzy się tylną ścianę, zajmnie magazyn SKR i będzie sala jak w remizie strażackiej. Kółko rolnicze zarobi na wynajmie sali na zabawy i wesela, KGW zaś na wypożyczeniu zastawy stołowej.

Na koniec całodzienną pracę, jak to na ws. wedle zwyczaju, musi być jakieś pepkowe, bo coś się dziś urodziło. Jest więc i słodkie pieczywo, i prawie wiejski chleb, marynaty z dyni, kwaszone ogórki, musztarda, kiełbasa i parówki na gorąco.

Parzę sobie usta, a pod stołem podgryza mnie wesoła czarula o imieniu Finka, więc się z nią dziele. Moczę wasy we wzmocnionej na ludowo herbatce, aż mi fasy oblepiają ostatni zab w górnej szczyście i słyszę, że z woli rady sołeckiej na ogólnym zebraniu wiekszość głosów przyznano Pawłowi Manowskiemu 9,28 na gruntu z PFZ, bo ma lat 28 i jest, jak to mówią, mocno rozwojowy. Uzyskał kredyt, sprowadził na Cieplarnianą stado bukatów i produkua-

Jaka Łódź?

3882-4

Gwałtowny i żywiołowy rozwój Łodzi w XIX wieku doprowadził do tego, że potem dość długo nazywano ją Wielką Wsią, „Kominogrodem” lub Brzydkim Miastem. Po roku 1945 miasto rozwijało się powoli, przemysł łódzki był nie doinwestowany, ale przecież budowano dziesiątki kilometrów torów tramwajowych, dróg, sieci kanalizacyjnej i wodociągowej, wznoszono osiedla mieszkaniowe, i zmiany te były widoczne. Ponieważ jednak następowały wolno, uznano to za nieudolność, brak wyobraźni i konsekwencji w działaniu u władz, które oskarżano o skąpstwo i minimalizm. Nikt nie powiedział wówczas głośno, że może po prostu na więcej nie było nas wówczas stać.

Przełom nastąpił z początkiem lat 70, kiedy to ponownie nastąpił gwałtowny i żywiołowy rozwój miasta. Niemal z dnia na dzień na oczach mieszkańców ścierało się z przeszłości łódzkiej. Rodziły się śmiałe projekty, a plan zagospodarowania przestrzennego województwa łódzkiego na lata 1976-90 przedstawiał wspaniałą, fantastyczną wizję Łodzi i aglomeracji łódzkiej.

Sęk w tym, że już wówczas kończyła się dekada naszych sukcesów. Mówiąc delikatnie, dziś na skutek zmian zaistniałych i zachodzących w życiu społeczno-gospodarczym wynikała potrzeba opracowania nowego planu regionalnego województwa łódzkiego. Wydaje się, że plan ten winien zawierać nie tylko myśli urbanistyczne dostosowane do naszych możliwości w obecnych warunkach gospodarczych, ale i uwzględniać wszystkie dziedziny życia społecznego człowieka i służyć zaspokojeniu przyszłych potrzeb społecznych.

Należy przede wszystkim zmniejszyć albo wręcz zlikwidować strefy ciągłego zagrożenia, tj. takie tereny, gdzie od lat ani chłopom, ani robotnikom nie wolno się było budować. Bo „tymczasowość” wpływa negatywnie nie tylko na ludzi, ale i na otoczenie. Jeśli przez lata całe ludzie żyją z myślą, że na ich ziemni stanie zakład przemysłowy lub przebiegnie tamtędy autostrada, to zaczyna na wszystko machać ręką.

Z drugiej jednak strony zbyt szybkie decyzje lokalizacyjne podejmowane pod naciskiem, z potrzeby chwili, także przynoszą znaczne szkody, materialne i społeczne. Trudno bowiem stworzyć coś pozytywnego i sensownego bez analizy i rzetelnej oceny przydatności i walorów terenu. Dylematyzm i brak właściwego rozważania nigdy nie popracują.

Swego czasu beton załaził najbardziej żyzną, typowo ogrodniczą ziemię — z krajobrazu miasta zniknęła zielona Retkinia. Mądry Polak po szkodzi, toteż obecnie zakłada się, że koncentracja nowego budownictwa nastąpi w części wschodniej i południowo-wschodniej miasta, gdzie znajdują się gleby niższych klas. Sprzyjać temu mają udogodnienia komunikacyjne, skupienie wysiłku budowlanego w jednym miejscu, racjonalne wykorzystanie transportu i użycia terenu oraz towarzyszącej inwestycji niezbędnej infrastruktury. Chodzi tylko o to, aby na drodze budownictwa nie stało przylągnięcie do Łodzi Wiskitno, gdzie przynajmniej dobrze gospodarująca Spółdzielnia Produkcyjna wymaga specjalnej ochrony.

Wiadomo, że województwo łódzkie mają przeciąć dwie autostrady. Jedną, A4, przebiegnie w północnej części z zachodu na wschód, drugą zaś, A1, przebiegać ma we wschodniej części województwa z północy na południe. W pobliżu skrzyżowania ma się znajdować Centrum Autostradowe z serwisem i ewentualną strefą wolnocłową oraz port lotniczy. Ponadto planuje się budowę dwóch linii metra.

Problem w tym, że mamy już 26 miliardów zadłużenia i Bank Światowy chyba nie pozwoli nam na kolejne miliardowe luksusy, i to nawet za dwadzieścia lat. Bank Światowy jest bowiem za inwestycjami, które szybko dadzą zysk. Budowa portu lotniczego i metra ciągnie się latami, pochłaniając setki miliardów złotych, a osiągnięcie zysków, zwłaszcza z metra, wcale to nie gwarantuje.

Może by więc zbadać możliwości rozbudowy dla miejskiego ruchu pasażerskiego elektrycznej linii kolejowej Koluszki-Łódź? W Trójmieście taka szybka kolej o dużej częstotliwości przejazdów łączy Gdańsk z Sopotem i Gdynią, zaspokajając w znacznym stopniu potrzeby komunikacyjne. Ponadto można by także wrócić do koncepcji uruchomienia w Łodzi kolei obwodowej. A gdyby na przylągnięciu do miasta terenach Lublinka i Łaskowej rozwinęło się budownictwo jednorodzinne, pociągi elektryczne mogłyby kursować z większą częstotliwością na trasie Łódź-Pabianice. Kolej elektryczna jest mimo wszystko tanim i bezpiecznym środkiem lokomocji.

Pamiętamy jeszcze te pełne euforii wspaniałe czasy, gdy ekipy górnicze pomagały nam z precyzją i znajomością rzeczy wysadzać stare kamienie w śródmieściu. Dzisiaj niezwykle istotnym i słusznym byłby więc zamiar planistów, aby zachować to, co utrwalił w rysunku Wacław Kondak, a na fotografiach Andrzej Wach. Aby bowiem Łódź pozostała Łodzią, rodzące się nowe musi być harmonijnie powiązane ze starym, gdyż tylko w ten sposób uda się zachować klimat oraz indywidualny obraz przemysłowej Łodzi. Zamiast w sposób planowy burzyć, trzeba szybko zatrzymać proces rozsypania się starej Łodzi, zahamować zjawisko niszczenia charakterystycznych form środowiska i zabytków kultury. I to nie tylko ze względów estetycznych czy sentymentalizmu, ale i z konieczności, gdyż w sytuacji kryzysowej, kiedy to z braku środków i materiałów budownictwo mieszkaniowe znalazło się w dołku, każdy stary łódzki dom musi być nie tylko zabytkiem, ale i służyć jako mieszkanie. Niezwykle przeto pilną jest potrzeba ochrony, remontów, konserwacji i rewitalizacji starych zespołów urbanistycznych, bez czekania, aż budynki dojrzeją do remontu kapitalnego i rewolucyjnej. Bo we-

dług zdrowego rachunku ekonomicznego pięć razy taniej jest modernizować niż budować nowe. Chodzi tylko o to, aby robili to dobrze zorganizowani fachowcy.

Niemal w każdym mieście śródmieście równoznaczne jest z pojęciem „centrum”, chociażby niejasniej bardziej ze względów topograficznych niż funkcjonalnych. Śródmieście satelitarne Łodzi, takich jak Pabianice, Zgierz, Konstantynów, Aleksandrów, są zaniedbane i brudne, a przecież nie chodzi nam o to, aby przypominały slumsy, w których rodzi się patologia społeczna.

Śródmieście Łodzi także nie ma się najlepiej, choć doczekało się już swego Manhattanu. Aby jednak śródmieście mogło należycie funkcjonować, a jednocześnie zachować łódzki koloryt, rewitalizacja nie obędzie się bez koniecznych wyburzeń. Trzeba jednak stworzyć bariery uniemożliwiające wyburzenia bezzwzględne, pochopne, takie na zapas.

Na plus łódzkich planistów należy zapisać to, że zaczynają oni już patrzeć, skąd wieje wiatr. A ponieważ przeważają u nas wiatry zachodnie, trzeba robić wszystko, abyśmy nie zadusili się we własnych wycieczkach. Chodzi o to, aby od strony nawiętrzej, czyli od zachodu, nie wznosić na kresach miasta obiektów przemysłowych, dzięki czemu zapewni się należytą przewiewność. Jest to o tyle istotne, że w dużym mieście temperatura jest zawsze wyższa niż w terenie otwartym, a wilgotność powietrza o wiele niższa. W Łodzi duże powierzchnie zajmują asfalt, beton, dachy domów, stąd też zwiększone parowanie, natomiast słabsze jest następczenie i mniejsza szybkość wiatru. Dlatego tak ważna jest przewiewność, dzięki której ogranicza się skażenie powietrza. A skoro już to rozumiemy, należy mieć nadzieję, że nie podejmie się już takich decyzji, jak np. zezwolenie na lokalizację Spółdzielni Chemicznej „Xenon” w Rąbieniu. Pamiętajmy, że sprawą pierwszorzędą jest poprawa klimatu Łodzi, szczególnie śródmieścia.

A nader pozytywny wpływ na klimat Łodzi może mieć ochrona zachodniego zespołu zieleni, wszystkich zielonych klinów, terenów leśnych, gruntów wartościowych rolniczo, a także prowadzona systematycznie akcja zalesień.

Aby pomóc zieleni w udrzwicielskim dziele, należałoby wyeliminować źródła zanieczyszczające powietrze od strony nawiętrzej. Dlatego też w takich dzielnicach, jak Górna, Polesie i Bałuty oraz w leżących za nimi wsiach powinno się zaplanować szeroko pojętą gazyfikację, likwidując tym samym emisję spalin z pieców c.o. i pionów kuchennych.

Jeśli chodzi o wodę, to Łódź można już nazwać asfaltowo-betonową pustynią, do której trzeba ciągnąć drugą nitkę rurociągu z Pilicy. Stąd też niezbędne jest restytuowanie i ochrona już istniejących zbiorników na tych ciekach wodnych, które jeszcze nie są zatratę.

Rolnictwo łódzkie zostało podzielone na trzy obszary, spośród których znalazło się miejsce dla rolnictwa podmiejskiego o małej powierzchni gruntów. Gdyby tereny te były zagazyfikowane i nie zagrażały środowisku, na działkach można by zwiększyć produkcję specjalistyczną: warzywnictwo gruntowe, owoce jagodowe, ogrodnictwo foliowo-szkłarniowe, co w połączeniu z bliskim i chłonnym rynkiem byłoby zjawiskiem nader korzystnym.

W warunkach łódzkich występuje zmasowana zużycie energii cieplnej i energetycznej oraz emisja gazów spalinyowych zawierających związki rakotwórcze. Przewiduje się, że około 2000 r. niemal jedna czwarta powierzchni Łodzi objęta będzie zasięgiem strefy o ponadnormatywnym stężeniu pyłu zawieszonego. Dramat polega na tym, że istnieją niewielkie tylko możliwości ograniczenia emisji pyłów i gazów z podstawowych istniejących źródeł.

Z najnowszych łódzkich elektrotechników puszczają się po cichu pyły noca, a w najstarszej puszczały filtry, bo są już zużyte. Nie ma miliardów na budowę dodatkowej elektropiękowni, a gdyby były, to węgla nam raczej nie przybędzie. A Łódź odczuwa już niedostatek ciepła. Może więc dla dobra mieszkańców i dla dobra środowiska trzeba będzie zbudować ciepłociąg z elektrowni w Bełchatowie?

A tu jeszcze, jakby nie dość kłopotów, stężenie decybeli. Hałas miejski wywołuje zaburzenia psychiczne i wegetatywne, z czego zdają sobie sprawę także planiści, i dlatego zapowiadają wprowadzenie rygorystycznej polityki przestrzennej, nie dopuszczającej do lokalizacji hałaśliwych obiektów w strefie zagrożenia akustycznego. Trudniej jednak wyeliminować hałas związany z transportem, bo Łódź jest ciasną, szczególnie w śródmieściu.

Budowa GOS ciągnie się latami, a tymczasem Pabianice i Głowno potrzebują już własnych oczyszczalni ścieków. Kiedy powieje wiatr od Neru, w Konstantynowie koty kryją się w szafach. To jest tak śmieszne, że aż płakać się chce...

No cóż, wizja Łodzi w najbliższych latach nie będzie wizją Eden. O tym, co mamy dzisiaj, zdecydował start miasta w 1945 r. Kiedy cała Polska budowała Warszawę, kiedy przekształcono kraj z rolniczego na przemysłowy, nie zniszczono Łódź ze swoimi dziewiętnastowiecznymi fabrykami wciąż pracowała na potrzeby kraju, niewiele dostając w zamian, a właściwie to prawie nic.

Nielatwo uporać się z taką spuścizną. Ale trzeba. Bo w osiedlu zurbanizowanym ma miejsce największy wpływ współczesnej cywilizacji na gatunek ludzki. I odwrotnie. Człowiek kształtuje środowisko, ono zaś wpływa na niego. Otoczony szarym, skażonym powietrzem i wodą, brudem, szpetną architekturą, zatracając poczucie piękna, ładu, harmonii, zapomina o przeszłości, staje się szary jak środowisko, w którym żyje.

Grodzenie świetlicy

świadczył, że rolnicy okopują się, aby na skrawku wydzielonej enklawy okupować siedzibę SKR.

A zaczęło się to przed kilkunastoma laty, gdy dla przyspieszenia procesu socjalistycznych przemian w polskim rolnictwie utworzono nowe formy spółdzielczego gospodarowania, które miały świecić przykładem i pomagać strudzonemu chłopom, czyli Spółdzielnie Kółek Rolniczych. Ponieważ jednak SKR nie miały ziemi ani bazy, przyjęły grunty, budynki i maszyny należące do chłopskich kółek rolniczych. I tak świeć przykładem, że w słownictwie chłopów skrót SKR przysłał zgola inną treść, a mianowicie Smutny Koniec Rolnictwa.

Stary Zarycha mówi, że jak było kółko, to były zyski, a później to chłop nie miał tu wstępu. Ale jak przyszedł nowy prezes i wybrano nowego zarządcę SKR, dogadali się i zaczęliowo będą mogli korzystać ze swojego. Trzeba tylko odgrodzić ten budynek.

Przy stawianiu ogrodzenia pracują podsołtysi. Pietrzałek i Terpiak, a z rana przyjechał ciągnikiem z łychą przez kółka, inż. Marek Szymczak, ale musiał odejść do pracy społecznej w komisji. Pietrzałek opowiada, że z części kółkowej ziemi zrobiono boisko piłkarskie, reszta zaś poszła na działki dla pracowników SKR. Budynki spółdzielni dzierżawiła obcym i brała czynsz, a konserwować nie umiał kto. Dachy takie zniszczone, dodaje Józef Terpiak, działacz kółkowy i strażacki, że sami smarowali w czynnie, bo rolnieśnik chciał za tę drobną usługę 620 tys. Teraz mogą korzystać z świetlicy, ale pod warunkiem, że wygrodzą teren na własnej ziemi, bo po spółdzielczej nie wolno chodzić.

No, ale powoli, zaraz się wszystko wyjaśni. Wpierw trzeba zalać żelazne słupki i zawiesić furtkę, żeby SKR mogła wchodzić do wydzielonego kantorka. Zaprawe urabia w taczce Paweł Manowski, którego chciałem zaprezentować w odrębnym reportażu. Gospodaruje na ul. Cieplarnianej, lecz w warunkach przypominających raczej zimny wychów, który zresztą prowadzi, hodując w prymitywnych warunkach bydlę i świnię. Hartują go potyczki ze złodziejami i wandalami z bloków i z tymi, co wdzierają się na jego ziemię z budownictwem jednorodzinym.

Latem 1987 roku zapowiadał, że solo długo nie pociągnie na Cieplarnianej, rzuci w cholerę te 12 ha i znajdzie gospodarstwo w gminie poza miastem. Paweł Manowski się zniżył. Wyszczupiał i jakby wydelikatniał. Zgolił brodę. A gdy wlewa z taczki zaprawę wokół obłożonego gruzem słupka, to w tych ochronnych rękawicach, z wierzchu jeszcze bielejących, wygląda tak dostojnie jak przodownik pracy z afisza. Gadać mu się jednak specjalnie nie chce. Tyle tylko, że te stu-

jora z ulicy Rąbieńskiej dwie sztuki. Wtedy dopiero malarze pozakładali maski...

Później wysłannicy administracji próbowali trawy spod słupa i nie zasmakowali trzciny. Ale rada sołecka z Nowego Złotna była szybka i operatywna, zebrała wcześniej dowody rzeczowe i dała do przebadania. No, bo jeśli trzy krowy wycenia się na 180 tys. zł, a ZUS płaci tylko 40 tys. odszkodowania, to ktoś musi dbać, żeby chłop na tym nie stracił.

Nadal nie wiadomo, co słychać u Pawła Manowskiego, gdyż ten albo mierzy coś sznurkiem, osadza słupki lub wsiada na traktor i za pomocą tej łychy wyrównuje część dołu po wapnie. A w czynnie to pracuje jeszcze młody Krobiranda, bardzo dobry gospodarz, któremu społeczna decyzja przyznano leżącą odległości działkę. Wziął kawałek ziemi z woli ludu, więc pracuje z sąsiadami dla wspólnego dobra.

Paweł Manowski stwierdza, że nie ma nic do gadania, bo gdy sąsiad oszalał na zebrań, że utuczył 15 świń i 9 sprzedal państwu, gdyż pozostałe 6 oddałby za darmo, to mu powiedziano, że owszem, uwaga słuszna i święta prawda, ale publicznie lepiej tego nie wygłaszać.

No i jest trochę polityki przy ogrodzeniu. Demokracja i reforma konieczna, tylko nie wiadomo, czy każdy przetrzyma ten drugi etap. Ci, co mają po kilka hektarów lichej ziemi i żadnych maszyn, ponoszą wyższe koszty niż rolnicy zamożni. A jak nie będzie rozdzielnika i nowe traktory pójdą pod młotek, to kto je kupi?

Kółko rolnicze z Nowego Złotna ma zwrotny, mały kombajn, który pod folią rdzewieje. Przydałby się zużyte wojskowe namioty, ale odpowiedź z wojska odmowna. Ciągnikiem do tego kombajnu nie będzie jedził Manowski, oo jako kawaler nie wyrobiłby się we własnym gospodarstwie, gdyż przybyło mu ziemi. A jednak coś się tam zmienia... Pogoda też się zmienia. Pod wieczór wygląda nawet słoneczko, sprzyjając wykonaniu ogrodzenia. Trzeba jeszcze zdjąć fragment betonowego plotu i wstawić bramkę, żeby rolnicy nie deptali gruntu SKR. Musowo zabezpieczyć w dwóch miejscach przejazd dla kombajnu, którego nikt nie uprowadzi, ale który musi jeszcze wyjechać do koszenia lubini.

Wreszcie zjawia się sołtyś Irena Brzezińska w towarzystwie Barbary Zarychy, skarbnika KGW, i starszej Zarychowej, Genowefy. Światła nie ma, Genowefa mówi, że to chyba sobota, ale okazuje się, że trzasło coś w kuchence elektrycznej. Po wymianie bezpleczników wszędzie płoną żarówki pod płaskimi białymi kloszami.

Panie pokazują, co już zdziały z pomocą mężczyzn. Powiększyły kuchnię i wybiłakowały salę, zakupiły kuchenne

je wołowinę. Ma teraz ponad 20 ha, więc kulać. A on się obrusza.

— Kulać to był za Stallan. Teraz mówią w telewizji, że chłop może wziąć tyle ziemi, ile tylko zechce. Tylko gdy ja się idę na traktorze, powiada Manowski i on mi tak szarpie „prrr-prrr!”, to jakby mówił: „Po coś wziął tę ziemię?” Ale tę reformę to chyba przetrzymam...

Jan Figiel, mistrz województwa w hodowli trzody chlewniej, stwierdza, że taki kawaler jak Paweł babę sobie załatwi, trudniej jednak z ożenkiem. Nic, tylko trzeba go jakoś wspólnie ożenić...

Dają temu spokój, ponieważ Pietrzałek uderza w ton poważny. Bo oni dziś postawili słupki przed świetlicą, im zaś postawiono betonowe słupy na Azotowej, samochodem nie wolno wjechać, a ludzie płacili za budowę tej drogi. Młynek elektryczny nie zatrubili środowiska, ale uruchomić nie wolno, choć rolnicy chętnie by z usług korzystali.

Teraz z kolei zwracają uwagę na ob. Świdę, że to jedyny w tym gronie bepartijny. Ale za to żona jest w ZSL i uświadamia go dniami i nocą. Jedną z kobiet podpowiada, że to znakomity zapładniacz, bo Świdę pracuje na Złotnie jako inżynier.

Ktoś mówi, że jeśli do skrzyżowania z milicjantem pośredku podjedzie zionący fiacik, w którym przystojna blondynka podnosi ręce do góry, to wiadomo, że samochód jest ze Złotna. Bo na widok munduru we fiaciku klaskom włącza się bez udziału kierowcy.

Za oknami mrok lepi się do szyb, w dali promukuje miasto, a w świetlicy jak przy rodzinnym stole. Z podsumowania wynika, że rolnicy z Nowego Złotna pod względem ekonomicznym i przedsiębiorczości są już w połowie drugiego etapu reformy. Gdyby bowiem zlecił tę dzisiejszą pracę jakiejś państwowej firmie, płaciłaby za opracowanie planu i kosztorysu, za materiały, robotę i koszty manipulacyjne. Robota trwałaby zapewne tydzień, a koszt wyniósłby jakieś 120 tys. Oni zrobili to za 20 tys. w jeden dzień.

Istotne, że to ogrodzenie nie symbolizuje zamknięcia się w sobie ani wrogości podziału. Chodzi tylko o zachowanie ładu i porządku, bo przecież z jednej strony SKR, z drugiej zaś kółko rolnicze i KGW — także organy społeczne, działające na niwie chłopskiej spółdzielczości.

A jak chodzi o małowartość Pawła Manowskiego, podeszła mu się kiedyś incognito reporterka na weselisko. Jeśli Paweł nie zmienił, przyszła małżonka wystąpiła jako rzeczniczka pracowni chłopskiej gospodarki rodzinnej.

— Nie. Zapewniłam. W „Żelaznym wilku” jej nie ma. Nie. „Skrzypce” wyjechały do Warszawy — mówi do słuchawki urodziwa blondynka z buzią. Słucham, a pamięć krzesze już iskierki wyobraźni. Gdybym nie wiedział gdzie jestem, gotów bym uwierzyć, że uczestniczę w tajemnych wydarzeniach, a w uśmiechniętej blondynie dopatrywać się przebiegłej osobki posługującej się sztyfem.

Powieściowa atmosfera potęgą zjawiający się w szparze drzwi co rusz to nowi ludzie z dziwnymi pytaniami:

— Jest coś dla mnie? — Po nieuchwytnym geście pani z buzią znikają za drzwiami, lecz w chwili później scena powtarza się z udziałem kogoś nowego.

— Pani Beata, ta robota pasuje do mnie, jak ulał. Mogę się ucharakteryzować... — I znów ten nieuchwytny, przypominający grymas uśmiechniętej twarzy i rozochrana głowa znikają, by za jakiś czas ktoś inny zaczął solennie zapewniać:

— Potrzebny gołą? Mogę na gołasa! — Pani z buzią uśmiechem pokrywa zakłopotanie i śpieszy z wyjaśnieniem.

— Potrzebny jest tylko goły... tylek do okładania różgami...

Dlaczego nie poprobować?

I próbują. Piszą listy, a nuż...

„Jako młoda dziewczynka już posiadałam pseudonim „Aktorka”. „Artystka”. W wieku siedemnastu, dwudziestu lat miałam przydomek „Sipińska”, ponieważ mam urodę i wygląd zewnętrzny, coś między Ursulą Sipińską a Marylą Rodowicz (...)

Mam 162 cm wzrostu, szczupła, włosy, oczywiście, blond jasny. W tej chwili mam już 30 lat, ale może czasem mogłabym się do czegoś przydać, a co mogę o sobie sama powiedzieć to to, że nie bałabym się odegrać nawet bardzo poważnej roli, a szczególnie pasjonuję mnie tragedie.

Nie za bardzo mi się życie układa, to chciałabym się czymś zająć czy czasem odżyć w tym co lubię. Proszę nie traktować mego listu źle...”

„Szukam odpowiedniej osoby, która mogłaby się zainteresować moją osobą. Już od dwudziestu lat nakładuję głos Kaczora Donalda. Do tej pory nauczyłam się śpiewać i dość wyraźnie rozmawiać. Do tego dokładam jeszcze różne dźwięki raczej niespotykane, oczywiście, głosem Kaczora Donalda. Mam 26 lat i cichą nadzieję, że Ktoś mi pomoże”.

Wszyscy dobrzy ludzie w filmie! Jestem gotów grać!

Każdy śni swój piękny sen

MARIAN ZDROJEWSKI



Foto: Grzegorz Gajdański

— Niech okładają, co za różnica! Mogą okładać, mogą zgolić głowę...

I znów ten gest, grymas, a gdy drzwi zamknęły się urodziwa blondynka wyjaśnia, jakby odgadła moje rozbuchane myśli.

O, do takich zadań mamy wielu ehentnych. Ludzie gotowi są na wszystko. Starzy, młodzi. Mam osiemdziesięcioletnią starszuskę, naszą stałą współpracownicę, lekko utykającą, gotową w każdej chwili wcielić się w urodziwą młodkę. Ta praca fascynuje, urzeka, raduje, ale też pozabawia samokrytycyzmu...

Tak, to jedyne miejsce, gdzie świat książkowy uniesień może stać się rzeczywistością, pełną poezji sennych marzeń.

Sen z kłatk.

Ludzie mają różne marzenia. Często bywają to — jak śpiewa Iga Cembrzyńska — małe, intymne światy. Marzą o szczęściu, powodzeniu, sławie. Marzą o podróży, zdobyciu czegoś spoza zasięgu ręki, dokonaniu rzeczy z pozoru niemożliwych, marzą o samochodzie i rowerze, o wielkiej miłości w rodzaju „Love story” i... nienawici uosobionej w kimś młocnym. Ba, znam takich, którzy marzą o życiu wśród Indian nad Górą Xingu, o stanowisku... prezydenta Islandii, a i zetknęłam się z kimś, kto w skryciu marzy o stanowisku naczelnego gazety i zasiadaniu wśród członków KC.

Lubię marzyć. Dzięki nim poszerzają się poznawalne granice świata.

Nadzieja ześrodkowana w marzeniach. A już w szarzyźnie życia, tam gdzie ledwo blikuje monter z SKR-u, soltyśa żona, Jadzia od Kobryniów, co się w mieście dochrapała męża doktora i samochodu, baśniowy kopciuszek z ekranu, służąca, dziewczyna, która wpadła w oko znużonemu reżyserowi w „Zonach Hollywoodu”, bądź jej chłopak z szansą na gwiazdora — to oglądana na obrazkach rzeczywistość. To nie są tylko sny z filmowego kadru. Życie Anny Magnani, Apolonii Chałupiec, Rudolfa Valentini i wielu, wielu innych potworzyło tę prawdę ogladaną na ekranie w włoskowej rzeczywistości, w amonimowej szarzyźnie wielkiego miasta.

„Wszyscy dobrzy ludzie w filmie. Jestem gotów wam grać i to co! Wszystkie fajne kawałki wam zagram. I moja osoba nie kosztowała by tyle ile biorą te różne uszmiłkowane ludzie. Ale mogę grać tylko role kobiece. Mam 54 lata i jestem teraz lisy. Ale mogę wdziać perucy. A co, ten z telewizji co się przebiera za kobietę to nie chłop! To chłop, tylko w wiejskich fatałachach. Ja mogę inaczej grać fajną kobietę, a nie taką. Jeżeli nie mogę grać roli kobiecej to nie chce roli męskiej. Gdyby film był zainteresowany to zaraz mogę się stawić i przebrać. Moja osoba niekosztowała by tyle, ile prawdziwa, a to ważne, nie!”

Pierwszy krok

Beata Krzeszewska-Just od lat kieruje działem angażowania statystów. Objęła to stanowisko po swojej matce. Zna przemiosło, ludzkie tęsknoty i możliwości. Sama zresztą w dzieciństwie statystowała w „Młodości Chopina”. Zadenego z listów (przypisane tutaj pochodzą z innych źródeł — dop. M.Z.) nie lekceważy. Wie bowiem, że kryją się w nich ludzkie marzenia, których bagatelizować nie wolno. Wszak to ci ludzie zapelniają plany filmowe, nierzadko tyśiami postaci: od maszkar po piękności, od ułomnych po bicepsiatych herosów, od szaraków w tłumie po zasiadających za biesiadnym stołem panujących, od utykających po rozlanionych w mazurze pięknościach.

Każdy zgłaszający się może być kiedyś potrzebny. Do tego służy prowadzona troskliwie kartoteka statystów z pełnym opisem wyglądu i możliwości. A zapotrzebowanie bywa wielkie, często na tysiące statystów. Potrzebni są młodzi i starzy, nastolatki i dzieci.

W „Czarnych stopach” potrzebowaliśmy dużo dzieci, podobnie jak teraz, w „Jance” — mówi pani Beata. — Rzecz nie sprowadza się do zaangażowania dużej ilości dzieci, skąd się da. Do statystowania bierzemy dzieci tylko w porozumieniu ze szkołami. Dzieciom zaangażowanym do filmu trzeba zapewnić właściwą opiekę, nie tylko wychowawczą lecz i pedagogiczną. Dzieciom wyjeżdżającym z ekipą na plan zdjęciowy, w teren, musimy zapewnić opiekę sprawowaną nierzadko przez rodziców bądź nauczycieli, a co najważniejsze — zajęcia lekcyjne, prowadzone przez specjalnych korepetytorów. Są to sprawy delikatnej natury i niezwykle ważne. Przygoda z filmem nie może dzieciom przynieść szkody.

Oczywiście, zdarza się, że ta przygoda staje się załaskiem kariery, jak chociażby w przypadku Stasia z „W pustyni i w puszczy”, który jest dziś już aktorem, czy Nel, choć dzisiejsza pani Monika to asystent w Akademii Muzycznej.

Gdy idzie o dorosłych statystów są to najczęściej ludzie na rencie bądź emeryturze, mający wolny czas. Chęć bycia wśród ludzi, do wartościowania własnego, nielubianego życia, a i zarobienia, „pokazania się” w kostiumie rodzinnym, znajomym, sąsiadom, chęć bycia „artystą”, w innym świecie — oto motywy. Co prawda z tym zarobkowaniem w statystowaniu jest więcej plotki, mitu aniżeli prawdy. Cóż znaczy 750-złotowa dziówka, za którą trzeba się w terenie utrzymać, żyć. To prawda, w małym miasteczku można pobuszować, nabyć to i owo, ale to są już nawyki wyniesione z codziennych kolejek, z prawdziwego życia. 750 złotych dziówka, a w przypadku dodatkowego zadania — np. ogolenia głowy, neglezu — 1.800 złotych. A przecież i takie są potrzeby.

Teraz np. swój kolejny film kręci w Oświęcimiu pani Wanda Jakubowska („Kornblumenblau”), statysty muszą zgolić włosy... — mówi Beata Krzeszewska-Just. — To znów kole-dy z „Semafora” potrzebowali statystę z... gołą pupą, którą różgami okładają aniołki. Takie zapotrzebowania też bywają. Z obsadzeniem podobnych epizodów nie mamy kłopotu. Dzięki naszej kartoteczce, z której korzysta zarówno Wytwórnia, jak i „Semafor”, Szkoła Filmowa, Estrada, Szkoła Sztuk Plastycznych potrzebuje modeli, widowiska plenerowe... Zresztą, potrzeby Wytwórni są duże, pracujemy nad wieloma filmami — Zbigniew Kuźmiński realizuje „Desperacje”, „Jastrzębia mądrość” robimy w koprodukcji z Czechosłowacją, podobnie jak „Pogranicza” Andrzej Konic w koprodukcji z radzieckimi filmowcami, czy „Przeprawę”. Pan Koprowicz kręci „Alchemik”, kto inny „Trójkąt bermudzki”, Henryk Kluba „Gwiazde Piotruni”, pan Hass — „Niezwykła podróż Balthasa Kobera”, pan Beer „Kancelaria”...

Co proszę? — pani Beata zwraca się do słuchawki telefonu, który brzęczy co rusz. — Już mówiam: „W żelaznym wilku” jej nie ma. „Skrzypce”? Wyjechały do Warszawy...

Zerowisko

Słowa przypominające sztyr, brzmia konfiden-cjonalnie, urzekają swoją tajemniczością, jak cały świat filmu swoją romantyczną barwnością, poetyckością.

Jak światło, które kusi śmy, po zgasnięciu staje się zerowiskiem pajaków, tak blask filmowych Jupiterów nęci marzycieli, wśród których buszują różnego autoramentu naciągacze i oszuści. O, znają filmowe mamidia, tak jak ludzkie słabości, zakamarki, w których uwiły sobie siedlisko skryte marzenia. Podchodzą, osaczają obietnicami i nęcą zarazonych bałkylem filmowej nadziei...

Owszem, są przypadki, że gdzieś pojawia się jakiś naciągacz, hochsztapler — wspomina pani Beata. — Film jest wielką przynętą, a ludzie...? Cóż, nałowi, Zdarzyło się kiedyś, że jakiś sprytny, pod pretekstem angażowania do filmu, naciągacz ładnie dziewczyny. Wśród nich studentkę V roku. Ktoś inny, gdyśmy kręcili film w koprodukcji z Bułgarami, sprowadził sobie dziewczynki i chłopce, rzekomo do filmu, i robił jakieś... pomiary, czy coś tam. Innym razem znów, podczas kręcenia „Kleksa”, jakiś facet wyłapał chłopca z ołkiem przywołanego domu i wioził go po Polsce, rzekomo w poszukiwaniu skłupy filmowej, która miała się przenosić z miejsca na miejsce. Jaki był finał tych spraw, nie udało się domyślić — rozpierała się, wywrócił i... rozczarowanie ofiar oszuństwa.

Na jednej z rozpraw musiałam świadczyć, że nie mamy z tym nic wspólnego.

Dzień, w którym angażuje się statystów, a już wtedy, gdy potrzeba większej ilości na plan, o, wówczas prawie skrzydło budynku głównego Wytwórni przy ul. Łkowej staje się prawdziwym zerowiskiem. Nie filmowców. Kandydatów do obsady. Nowicjusze z wypiekami na twarzy oczekują werdyktu i krawa, dręcząc niecierpliwie. Za to starzy bywalcy zbierają się w znajome gromadki, z takiego bądź innego nakreconego wspólnie filmu i filują zza głowy sąsiada, czy aby jakiś nowicjusz nie przechwyci szansy. Dla pani Beaty nastają chwile wielkiej próby charakteru.

— Pani Stasiu, niechże się pani zastanowi — tłumaczy cierpliwie leciwej i kształtnej jej-mości. — Przecież to ma być osoba młodzieńcza, z towarzysztwa, dystyngowana, towarzysząca na wykwintnym przyjęciu...

— A co? — ucina jejmość. — Stara jestem? Kostium z fiszbinami, dobra charakterystyka i osiemnastka ze mnie, jak się patrzy — zaperza się, poprawiając językiem górną szczękę.

— Dobrze, dobrze. Innym razem — decyduje pani Beata. — Pan, panie Jasiu, do roli partnera? To ma być człowiek młody, szykowny i...

— A ja nie jestem młody i szykowny? — podchwytuje załotnie pan Jasu z białą plerazą długich, siwych włosów na kolturze. Wciągając brzuch przyjmuje postawę amanta i wyrzuca z siebie, niczym wyzwanie: — A jak pani myśli, pani Beato, więcej mam lat, niż ten kogo trzeba zagrać?

— Panie Jasiu, mam zająć do kartoteki! — Oho! Zaraz do kartoteki!...

Stali bywalcy znają się, przychodzą i wy-siadają kąty nawet wtedy, gdy nie ma naboru do obsadzenia jakiegoś planu zdjęciowego. Przy-chodzą „towarzysko”, pogadać, zdobyć zajęcie, wspólnie ruszyć w plener małego miasteczka i tam zadać sztyku gawiedzi, sprzedawcy w sklepie, gospodyni, u której przyjdzie mieszkać. Jest się przeczci artystą. Sąsiadki mogą to potwierdzić, uprzedzone co idzie na ekranach, widziały i wiedzą z kim mają do czynienia...

— Więc żyje tu człowiek ze swoimi w tym baśniowym świecie — wyznaje pani Jadzia, która w niejednym filmie można spotkać w tle. — Jest przynajmniej czym żyć. Zarobki? Iluim. Rencę mam, na zakąskę wystarczy. Przecież nie o to tu idzie...

Przymiarka z własnego życia

Każdy człowiek ma własne marzenia. Jedni na miarę małego szczęścia, inni sławy, lotela prezydenckiego w małym kraju, stołka naczelnego. Jeszcze inni żyją własnym, udręczonym życiem i ono jest największym i najważniejszym światem, który ludzie powinni poznać. Oczywiście z ekranu. Gdyby tylko ktoś chciał się zainteresować... Więc piszą, gdzie i do kogo można, a nuż znajdzie się cierpliwy, chętny i zdolny słuchacz...

„Znamy, że ani „Isaura” choć w ładnej oprawie z murzynami, ale ciekawie były tylko trzy odcinki i zakończenie, ani „Oshin” w egzotycznych scenach biedy, ani „Powrót do Eden” z krokodylami, czy choćby „Zaloba przy-stoi Elektrze”, ładnie i dobrze zrobiony zgra-bny dramat przez panią Dymną (teatr) TV. To wszystko nic! w porównaniu z moimi mini-powieściami, które mogą posłużyć jako scenariusz do filmu, czy teatru z dreszczem. Czy dopiero po śmierci! zdobywa się uznanie, tak zwykłe bywa z mało znanymi, choć tyle ciekawych myśli moja do przekazania. Oto: Pajęcza nie opowieści snuje się przez prze-strzeń życiową dworu jodłowego...” I snuje się jedna nia rozbełtananych myśli. potem druga: „Na szlaku orlich gniazd, wśród lasów i pol, na wzgórzach z dala od miast...”

„Moja moja film” — czytamy w innej propozycji. — „Aż was zjadacie chleba w anio-ly przerobi” Tytuł filmu: Piekarnia. Treść: Społkanie po latach w sklepie z chlebem. Je-go dawna miłość, która wykrzesza z niego talent i iskry. Obecnie właścicielka warsztatu rzemieślniczego. On po sześćdziesiątce, trochę siwy. Był reżyserem filmowym, członkiem Związku Literatów, komendantem milicji, nie-udany aferystą, agentem obcego wywiadu. Przespał się z kobietą — szefem rządu itd.

Ona: Proszę o bochenek chleba. Tylko do-brze wypieczony.

On: Może potrzymać siatkę.

Ona: Ach, to ty. I co, nie miałam racji?

On: Jasne, że miałaś. Dziękuję ci. Ale szyb-ciej kupuj, bo mi się spieszy. Muszę zamó-wić trumnę dla taci. Może masz doświadcze-nie?

Ona kupuje chleb i odchodzi w stronę dal. On kupuje chleb i kieruje się do zakładu po-grzebowego. The End.

Ktoś proponuje swoje przeżycia ze skrzyń w tapczanie, w której podsluchiwał uprawia-ną „złą miłość przez osobę kochaną”. Inny znów przestępce przygody, miłosny zawód, cierpienie i ból, a wszystko to z „życia uzięte”.

Lecz zdarzają się wśród tych „perelek” listy-proponycje prawdziwie wzruszające. Swoja prostota. I samotność. Listy, po których przewraca się coś w trzewiach, że schwiek mo-że być taki i taka parszywa samotność, wśród ludzi, a nadzieja jest już tylko ten list bez odpowiedzi:

„Interesuje mnie rola filmu i to, co on nie-sie, daje ludziom, jaki ma wpływ na osobo-wość. Jestem już na rencie, u schyłku. Moje życie zawodowe, indywidualne było bardzo bogate w wiele zdarzeń. Najpierw obca zie-mia, która stała się moją ziemią, potem pra-ca z ludźmi, publikacje, konferencje, sesje, odznaczania, wyjazdy zagranicę, wpisy do ksiąg i praca, praca. Potem emerytura, zdro-wie, zdrowie i oczekiwanie pomocy. Niektóre z tych zdarzeń są podobne do zdarzeń z dzie-dziny fantastyki. Myślę, że moje przeżycia mo-gą stanowić interesującą kampe filmu. Jeżeli to was interesuje, proszę...”

Każdy śni swój piękny sen. Nie ma złych snów. To życie, pozabawione marzeń i nadziei, bywa koszmarem.

Ten zjazd nie był bynajmniej grzecznym spotkaniem w przededniu modelowych zmian decydujących o kontynuuacji całego organizmu kinematografii. Wprost przeciwnie. Jak na mój gust tych wypowiedzi skrajnie pesymistycznych, wywołujących poczucie najgłębszej frustracji było nawet trochę za wiele. No bo gdzie byli przedstawiciele braci filmowej, gdy dwanaście razy przedstawiano im projekt reformy? I dlaczego — jeśli budzi tak pleknie dużo uwag, środowisko nie odrzucało go po raz trzynasty?

Jest kilka powodów, dla których jednak ten zjazd nie mógł mieć innego przebiegu. To przyznaję. Ale żeby to sobie uświadomić, trzeba spojrzeć na ten świat pomazaniów sztuki, ludzi nigdy nie zaspo-kojonych do syta w swych ambicjach, bardziej nerwowych i rodygotanych niż w innych sferach kultury, gdzie akt twórczy nie angażuje zawsze kilkudziesięciu milionów złotych trochę z dystansu. Albo z góry jak kto woli. I nie dlatego, że kocha się akurat „wła-

wych nazwisk do kinematografii. Co rok przecież opuszcza łódzką szkołę kilku absolwentów, którzy chcieliby pracować zgodnie ze swoim zainteresowaniem, a do tego dołączają się wychowankowie Wydziału Reżyserii Radia i TV, którzy także ubiegają się o możliwości realizacji.

Jak sprostą temu wszystkiemu, gdy nie bardzo jest jak, a wielokrotnie przyrzeczenia o poprawie tego stanu rzeczy nie przyniosły w przeszłości rezultatów? Śmiem przy tym twierdzić, iż ta różnica „odległości od decyzyjnego fotela” jest w równym stopniu jak przeciwnie stawiane zdanie w przekonaniach politycznych przyczyną dezintegracji środowiska. Reżyser filmowy nie może bowiem tworzyć do szuflady, jak pisarz, grafik czy kompozytor mając zawsze nadzieję na lepsze czasy. W kinie jeśli się czegoś nie zrobi z pomocą niezbędnej maszyny technicznej, nie można mówić o dziele schowanym na lepsze czasy. Ono po prostu nie istnieje. A przecież zgoda na realizację oznacza dziś wydatkowanie np. stu milionów złotych. Oto powód do dość surowego traktowania kolegi —

nej strony reforma, której przepisy wykonawcze zaczęła się sprawdzać dopiero w praktyce z początkiem nowego roku, z drugiej jednak pewien rodzaj przesilenia. Piastkowanie pomiędzy „starymi”, którzy nie tylko zaliczyli ileś filmów, nagród, ale i związanych z nimi apanaży i zaszczytów i tych, którzy z całą mocą domagają się swego miejsca na panteonie — „młodych” czy też tych wywodzących się ze średnich generacji. Dobrze, iż w tych emocjach upominano się o twórców takich jak Wajda, Zanussi, Kieślowski. Bez konsolidacji, pewnego rodzaju porozumienia w środowisku kina rodzima wiele traci ze swego blasku. Czy jednak układ sił w zarządzie nie świadczy, iż nastąpiła dość nieoczekiwana zmiana warty. Czy jednak zawsze pałeczkę przyjmują ci najlepsi? I czy oni nadawcą będą ton środowisku?

Albo co takiego oferuje ta reorganizacja kinematografii, owe zmiany dotychczasowych struktur, iż wywołały tyle dramatycznych okrzyków na VII Zjeździe (przypomnijmy 12—13. XII ub. r.)? Ba, nie wahano się nawet zaatakować

wykorzystywanie dla potrzeb kinematografii tego, co się w niej wypracowało. Może to za- trzyma widmo braku pieniędzy na wszystkie potrzeby związane ze sprzętem, produkcją itd.?

Osiągnięciem Ustawy o Kinematografii jest także nadanie wreszcie wytwórniom statusu „instytucji filmowej”, co wiąże się z zaznaczeniem ich odrębności od fabryk produkujących serki homogenizowane i guziki, ale również oznacza znaczne ulgi podatkowe. Mogą one starać się o dodatkowe zarobki. Niezmiernie istotną sprawą jest przełamywanie monopoli państwa na dystrybucję filmów i całkowita zmiana systemu rozpowszechniania. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat pracownikom kin będzie się opłacało sprzedawać rodzime filmy, wśród których szczególną promocję zapewni się tytułom ambitniejszym i wartościowym, służącym czemuś więcej niż tylko rozrywce i relaksowi, choć w żadnym wypadku nie zrezygnuje się z coraz bardziej rozwijającego się nurtu kina popularnego. On ma funkcjonować nie zamiast kina ambitnego, ale obok, co daje obydwu rodzajom kina te same prawa. W dystrybucji dopuszczone zostaną zupełnie nowe formy operacji handlowych. Może to przynieść zupełnie inną jakość kinu?

Zamierza się także specjalne miejsce zapewnić krótkiemu metrażowi. Komitet dysponuje już raportem o stanie animacji wyznaczającym kierunki rozwojowe i sposoby istnienia w kontakcie z widzami, a planuje się podobne opracowania poświęcić filmom krótkometrażowym: dokumentalnym i oświatowym. Jest to tym bardziej konieczne, że coraz bardziej podstawowym kanałem rozpowszechniania małego kina staje się telewizja. Jest to pole wymagające starannych, przemyślanych działań. Rok 1988 ma zrealizować wszystkie postulaty w tej mierze.

I wreszcie sprawa młodych. Jak powiedział przewodniczący Komitetu Kinematografii Jerzy Bajdor w ostatnich 4 latach, odnotowano 40 debiutów fabularnych i 50 krótkometrażowych. Tylko rok 1987 przyniósł 12 startów, co na 34 ogółem zrealizowane pozycje, nie jest liczbą mało znaczącą. O tym, że jest to tendencja w ostatnich latach wzrostowa może świadczyć fakt (wynotowa- lam to ze sprawozdania ustępującego zarządu wygłaszanego przez Janusza Majewskiego) — 2 zaledwie pozycje debiutan- ckie na ogółem 32 tytuły w r. 1984. Z początkiem r. 1988 u- ruchomiony zostanie także fundusz debiutów z kapitałem wyjściowym 0,5 mld zł.

W ostatnim czasie bulwerowały środowisko sprawy „półek”. Nie ulega wątpliwo- ści, że nareszcie zaczęto tu tzw. działania pozytywne, czego dowodem zwolnienie z zatrud- niania wielu wartościowych po- zycji fabularnych i rozpoczę- cie sam proces w odniesieniu do filmów krótkich. Miejmy jednak nadzieję, że ta praktyka przyniesie tak wiele ziej- kwi, nie powróty się w na- stępnych latach, zwłaszcza że znaczna odpowiedzialność w tej mierze przy dopuszczaniu określonych scenariuszy do produkcji spadnie na zespoły filmowe. To reszta część dy- skutantów Zjazdu formułowała jako zarzut twierdząc, iż au- tocenzura może być zjawiskiem bardziej niebezpiecznym niż cenzura. No, ale zacytujcie zespoły otrzymują dużą swo- bodę programową, produkcyjną i finansową. Co także znaczy luz przy zatwierdzaniu sce- nariuszy.

Oczywiście można by tutaj przepisać całą Ustawę, ale nie o to przecież chodzi. Nie wiado- mo dziś, jak te nowe struk- tury przyjmą się w prakty- ce, jaką wypełnią konkretną treścią. Może jedyną przynaj- mniej część zmian okaże się naprawdę korzystną i to koło zamachowe kinematografii za- kręci we właściwą stronę?

Na zakończenie powiem, że to, bo to jest rzecz ogromnie ważna dla środowiska, że za- powiedziano od nowego roku zwiększenie stawek autorskich i honorariów o 110 proc. oraz rewaloryzacje uposażeń. Myślę, że to najwyższy czas. Mł- artyści obywatelskiego są tylko tym, co niezbędne dla życia, w końcu w. XX przestał mieć gdziekolwiek rację bytu. I to była kolejna przyczyna, dla której ten zjazd miał taki przebieg jak miał.

Sądzę, że jutro będzie jednak lepiej.



Mówi: Henryka Tośa

— Czy w czasach dyskotek, magnetowidów, gramofonów lase- rowych i gier komputerowych jest jeszcze miejsce na teatr ama- torski?

— Myślę, że tak. Chociaż na podstawie 35 lat mojej pracy in- struktorskiej mogę stwierdzić, że ostatnie lata są zdecydowanie najuboższe. Pamiętam okres, kiedy w pierwszych dniach wrze- śnia nie mogłam dostać się do mojej pracowni w pałacu młodzie- ży, gdyż drzwi blokował tłum młodzieży chcący grać w ama- torskim zespole teatralnym, jaki wówczas prowadził. Dziś że- by mieć u siebie młodzież, trzeba wiele starać i zachodu, więc — diametralna zmiana sytuacji. Nie uważam jednak, żeby w o- góle należało zrezygnować z teatru amatorskiego. On nadal jest potrzebny, tyle że chyba trochę inaczej niż dawniej.

— To znaczy — jak?

— Kiedy pracowałam w pałacu młodzieży, wystarczyło, że by- lam panią instruktorką, panią profesor — bo i tak mnie nazywa- no. Teraz jestem panią Henryką, mamą, powiernicą... Młodzież, ja- ka ostatnio do mnie trafia, oczekuje czegoś więcej niż tylko obcowania z literaturą, sceną. Jest bardzo wrażliwa, trochę za- gubiona we współczesnym świecie, często nie potrafiąca znaleźć w nim sobie miejsca. W teatrze amatorskim szuka więc oprócz możliwości rozwijania zainteresowań także jakiegoś oparcia, a- zylu, nierzadko — drugiego domu. Przecież wielu z tych młodych ludzi zwraca się do mnie za swoimi bardzo osobistymi sprawa- mi, o których — jestem pewna — nie powiedziałobyjciej ojców ani matek. I od tej strony patrząc, to, co robię, jest bez wątpienia potrzebne.

— Dawniej teatr amatorski rozwijał się przede wszystkim tam, gdzie nie było teatru zawodowego. Zastępował go. Obecnie — przynajmniej w Łodzi — nie ma chyba takiej potrzeby. Zespoły amatorskie istnieją dużo bardziej dla samych siebie, dla czerpa- nia radości z zabawy w teatr.

— Rzeczywiście, można by tak powiedzieć.

— A przecież w każdym teatrze, nawet amatorskim, potrzeb- na jest również i druga strona, czyli widzowie, prawda? Tych zaś nie mać zbyt wielu.

— Na pewno nie tylu. Hu byśmy chcieli, chociaż na przed- stawieniach dla dzieci na frekwencję na widowni nie narzekamy.

— A na innych?

— Jeżeli przychodzi nawet mała grupa, ale ludzi zaintereso- wanych tym, co robimy, gotowych porozmawiać z nami po spek- taklu, a tak często bywa, to też chyba nie jest aż tak źle. A że nie są to setki... W każdym razie o naszych występach zawsze powiadomiona jest dyrekcja kolei, na wydziałach porozwieszane są plakaty...

— Może to zbyt mało?

— Widocznie mało, ale kto miałby się zająć lepszą reklamą?

— A może jest to również sprawa repertuaru?

— Swego czasu wydawało mi się, że nasze spektakle mogą być zbyt poważne, zbyt trudne dla kolejarzy, bo dla tego głów- nie środowiska pracujemy. Zrobiliśmy więc „Kram z piosenka- mi” — oczywiście nie w całości — ale przecież rzecz lekka, ta- tawa... Na ogólnopolskim przeglądzie amatorskich teatrów kole- jarskich przyznano nam za niego pierwsze miejsce. Gdy jednak wystawialiśmy go w naszym domu kultury, na widowni — jak zwykle — było zaledwie kilku pracowników PKP.

— Nie ma też w waszym zespole kolejarzy-aktorów.

— Teraz nie ma. Ale to jest zupełnie odrębne zagadnienie. Swego czasu odwiedziłam łódzką szkołę kolejarzką, chodziłam nawet po dworcach, zachęcając młodych ludzi do pracy w tea- trze amatorskim. Okazało się, że młodzież ze szkół w większości mieszka poza Łodzią i codziennie dojeżdża, więc nie mogłaby raczej uczestniczyć w popołudniowych zajęciach w domu kultury. Kolejarze zaś podróżują, często zmieniają miejsca pracy, poza tym — jak prawie wszyscy ostatnio — nie mają czasu.

— Jeszcze jedno, kiedy rozpoczynałam pracę w Domu Kultury Kolejarza w 1978 roku, wyobrażałam sobie, że będę tu mogła bardzo dużo zrobić, bo i scena dobra i warunki pracy nie naj- gorsze. Z roku na rok było jednak coraz gorzej — głównie z po- wodu trudności finansowych. Dawniej mieliśmy możliwość wypo- zyczania kostiumów, rekwizytów, dekoracji. Teraz za wszystko trzeba płacić, a nie ma z czego. Był nawet taki okres, że brako- wało pieniędzy na nasze pensje. Stąd ostatnio i kostiumy, i de- koracje mamy bardziej niż skromne. Staramy się je robić sami. Nie dysponujemy dobrym magnetofonem czy gramofonem...

— Nie uwierzy pan, ale od dwóch lat obdarowuję przed waka- cjami młodzież z zespołu książkami kupionymi za pieniądze z własnej kieszeni. Czy wobec tego możemy być atrakcyjni? Czy mamy ścigać tę młodzież do domu kultury?

— No, i chyba przekrzyła się już sama formuła takich domów kultury, jakie powstawały i dobrze funkcjonowały 20, 30 lat te- mu.

— Ma pan rację. Należałoby spojrzeć na to trochę inaczej, uatrakcyjnić ich ofertę, lepiej wyposażać — między innymi w sprzęt audiowizualny. Za tym wszystkim kryją się jednak pie- niądze, których nie ma skąd brać. Instruktory zarabiają bardzo mało, uciekają do innej pracy. U nas z 9 osób zostały zaledwie 3. W innych placówkach tego rodzaju jest podobnie. A młodzież szlifuje bruki, nie wie, co z sobą zrobić.

— Z tego, co pani mówiła, wynika, że osoby, które teraz są w zespole, tak czy inaczej trafiłyby do niego same.

— Chyba tak. Ona wiedza, czego chcą, czym jest teatr amato- rski, czego się mogą spodziewać. I jestem przekonana, że wyros- ną z tej młodzieży dojrzały, wartościowi ludzie.

— Jak jednak zachęcić do teatru amatorskiego tych młodej zdecydowanych i świadomych?

— To jest właśnie największy problem. Bo ktoś przecież po- winien się nimi zająć. Ale kto? Szkoła? Nie, bo przedłowane programy, nauczycielki po lekcjach śpieszą do domów, niewiele je obchodzi. Dom, rodzice? Często także nie, bo ojciec i matka pracują, dorabiają, nie zawsze potrafią.

— Wydaje mi się, że popełniamy ogromny błąd w wychowa- niu naszej młodzieży. Błąd, z którego w pełni zdamy sobie sprawę dopiero w przyszłości. Oczywiście nie chodzi mi o to, że wszy- scy powinni być aktorami, czy interesować się literaturą. To tylko przykład. Bo zjawisko to dotyczy wszystkich dziedzin kul- tury.

— A co uważa pani za swój największy życiowy sukces?

— Wydaje mi się, że mimo wszystko cała moja praca jest sukcesem. To, że kształtuję w jakimś stopniu charakter mło- dzieży, że ci, którzy odchodzą z zespołu potrafią poprawnie mó- wić po polsku, że na całe życie zarażeni zostali teatrem, poezją. A mam na to dowody, gdyż wielu moich dawnych wychowanków utrzymuje wciąż ze mną kontakt.

— Poza tym cieszę się, że harcerski zespół „Krajkę” tak dobrze sobie radzi, że jest popularny, wyjeżdża, koncertuje. Tak się bo- wiem składa, iż jestem jego współtwórczynią.

— Dziękuję za rozmowę i „mimo wszystko” życząc dalszych sukcesów.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI

Może jutro będzie lepiej?

Co się dzieje w tej kinematografii!

MALGORZATA KARBOWIAK

„dę” lub też reprezentuje jej interesy, bo to w ostatnim cza- sie przestało przynosić jakie- kolwiek profity. Rzecz w tym, iż jedynym kluczem do zrozu- mienia sytuacji, w jakich zna- lazło się środowisko filmowe, może być w miarę obiektywna informacja o faktach i „rze- czach”.

A więc jest niezbita prawda, iż kinematografia rodzima zna- lazia się, w najśmieszniej ujawnia- jącym się po wojnie kiniecu, jeśli idzie o sprawy bazy, wy- posażenia w sprzęt, możliwości produkcyjno-techniczne. Rzecz nie tylko w strasznej wręcz dekapitalizacji tego co jest „na stanie” w wytwórniach fil- mowych, i co zostało wywoła- ne wyjątkowo beznamiętną i szkodliwą decyzją automatycz- nego „podpiecia” przemysłu ki- nematograficznego pod reformę gospodarczą bez uwzględnienia specyficznych cech kina jako sztuki i zarazem towaru z przedmiotu transakcji handlo- wych. Wynikiem tego, choć nie tylko tego jest duża praca na kamerach przytrzymywanych sznurkiem, brak taśmy, wyso- kie ceny usług, kłopoty z trans- portem itd. Ale również waż- ne jest jeszcze co innego. Je- śli nie udaje się nadać za tym, co w zakresie nowych technik dzieje się w świecie, jeśli nie próbuje się wykorzy- stać możliwości, jakie one nie- są w unowocześnianiu języka kina, z góry jest się skazanym na pozostanie w tyle. Na świa- towych rynkach, ale także na festiwalach, bo „ręczna robota” nawet jeśli jest wysokiej pró- by, nie zawsze już dziś zdo- bywa aplauz. Środowisko zda- je sobie z tego sprawę i nie może mieć świętego samopo- czucia. Ale rozwalający się sprzęt niesie jeszcze ze sobą niemłą perspektywę wyzdu- żania kolejki po robotę. No bo jeśli jest go mniej i coraz bar- dziej niesprawnego, to zwiększa się czas czekania na realizację. Nie bez znaczenia jest to także naturalny proces dopływu no-

wszczęśliwca, który dorwał się do kamery. Chyba że milcze- nie jest aktem samodzielnego wyboru. Demonstracja o cha- rakterze politycznym. Ale jak się zdaje, że tylko do czasu artykułowanym. Jeśli się nie funkcjonuje na rynku sztuki przez długi czas (a nie ma się możliwości pracy za granicą) wychodzi się z obiegu.

Do tego zmienia się formuła współczesnego kina. Czyż trud- no zdać sobie sprawę, że dziś na ambimie kino artystyczne robione na trochę snobistycz- nych zasadach mogą pozwolić sobie tylko najwięksi lumina- rze kina? Tacy jak Fellini czy Bergman, którzy zresztą mają także swoich widzów? I jeśli uznaje się za rzecz konieczną, ba, o niesłychanie wielkim znaczeniu, wytyczanie dalszych torów rozwojowych kina, do- skonale jego narzędzi, cyze- lowanie środków wyrazowych, trzeba zdać sobie sprawę z te- go, iż kino nie istnieje bez wysiadujących na widowniach lub kupujących je na kasetach ludzi. Nie powinno to oznaczać w żadnym wypadku rezygnacji z ambicji, wprost przeciwnie. Ale nie wolno lekceważyć od- bioru. Nawet przywołany Fel- lini coraz częściej sięga po te- maty i sprawy mogące zyskać mu przychylną widownię. Wy- daje się jednak, iż u nas czę- sto, może zbyt często i to za- równo wtedy, gdy robi się fil- my tak źle, iż widzowie nie chodzą lub tak hermetyczne, iż nie potrafią sobie z nimi po- radzić. Do tego nie celuje się w konkretnego odbiorcę. Do- tychczasowe formy rozpowsze- chniania podporządkujące pol- skie kino zyskowi ekonomicz- nemu musiały budzić zrozumiałe rozgoryczenie. Było więc nie- spokojnie, nerwowo, chwilami dramatycznie.

Okazało się bowiem, że tak wiele ten przełom kosztuje, owo przejście ze starego do nowego modelu funkcjonowa- nia kina tak wiele wywołuje wątpliwości, niepokojów. Z jed-

własnych kolegów. Kazimierz Kutz wręcz podzielił środowi- sko na „kinarzy” i „artystów”, wytykając po nazwisku mło- demu Juliuszowi Machulskie- mu, iż chce założyć zespół stu- dujący wyłącznie robieniu kina rozrywkowego co z pewnością spotka się z zachwytem władz, ale zniszczy subtelna tkankę kinematografii. Wieszczęli ko- niec kina z jakimikolwiek am- bicjami, domagał się kontroli nad kierownikami zespołów fil- mowych, którzy dbają o własne interesy itd.

Można oczywiście i tak. I myślę, że nie tylko dla pokla- sku, tak bowiem niejednokrot- nie ten twórca dawał wyraz w przeszłości własnej odwadze i własnemu zdaniu. Może jed- nak trzeba tylko trochę pocze- kać, pozwolić, by coś się wresz- cie poczęło, dać wszystkim czas? Nie, nie zgadzam się ab- solutnie z min. A. Krawczu- kiem, iż do pełnego szczęścia potrzeba nam w kinematografii filmów takich, jak „Ogniem i mieczem” i „Quo vadis”. I że wystarczy kilka pozycji nie- złych w roku, aby mieć dobre samopoczucie. Wiemy także, iż nikt naraz nie wypełni naj- szlachetniejszym trunkiem wy- schłej czaraki.

Albo na razie bez emocji i komentarza, bo po prostu nie wiadomo jak to się sprawdzi w praktyce, zestawmy to co oferuje „druga strona”. O kon- dycji środowiska w momencie Zjazdu i na przełomie roku już wspominałam. Jakże ak- tywna są natomiast po stronie „władzy”?

Komitet Kinematografii, w którym na 35 ludzi, 16 osób to reżyserzy, ma być uspołecz- nieniem procesu zarządzania kinematografią, o co walczone od lat. Pozostawia się także znaczną samodzielność nowo powołanym z początkiem roku zespołom, stawia na ich samo- rządność.

Ważna sprawa to także — nareszcie — zamknięty obieg środków finansowych czyli



Foto: Grzegorz Golasinski

„Nie palę, nie piję i nic innego nie używam”

Lódzcy miłośnicy Czesława Niemena mieli przyjemność spotkać się z nim i jego twórczością w sali Teatru Muzycznego w grudniu 87 r. Korzystając z okazji poprosiliśmy artystę o rozmowę na temat jego upodobań i twórczości.

- Co Pan lubi? Jeść?
- Jestem wegetarianinem, także też nie pożywiam się, ale w polskich restauracjach nic innego nie jest podawane.
- Czytać?
- Bardzo różnie. Z poezji to Norwid, Herbert. Natomiast proza to Lem. Trzy różne nazwiska, ale według mnie jakieś wspólne zapamiętania na świat.
- Słuchać?
- Nie mam ograniczeń. Słucham od folkloru przez muzykę poważną do heavy metal. Jedynie nie gustuję w country.
- Tańczyć?
- Dobrze rytmiczne kawałki.
- Czego Pan nie lubi?
- Plotkarstwa, zależności od nalogów, głównie od alkoholu. W pracy nie lubię pośpiechu. To przerażające, ale ja przez cały czas nie śpię. Natomiast w muzyce nie lubię fałszu i fałszowania.
- Czy lubi i umie Pan opowiadać dowcipy?
- Lubie, ale nie trzymam ich w sobie. Wymyśliłem ich, ale nie trzymam ich w sobie. Wymyśliłem ich, ale nie trzymam ich w sobie.
- Czy Pan pali?
- Nie palę, nie piję i nic innego nie używam. Należy do szczepiarzy, którzy nie muszą się podniecać, aby tworzyć. Jestem cały czas twórczo podniecony tym światem, naturą, która nas otacza.
- Co by Pan zabrał ze sobą na bezludną wyspę?
- Nie bym nie zabrał. Wpływałbym się w piasek, roślinność i niebo. Takie spotkanie i życie z naturą. Sentencje wypowiedziane przez mądrych ludzi mam w głowie. Po co czytać to drugi raz.
- Gdyby nie został Pan muzykiem, kim by Pan był?
- Byłbym sobą. Człowiek rozgarnięty potrafi z grubszą zrobić wszystko. Ja lubię prace stołarskie, które nie ma wychoda. Tak właściwie to chciałbym być malarzem. Nie jest wykluczone, że na stare lata to się stanie.
- Kiedy Panu najlepiej się komponuje?
- Nie zasładam i mówię, teraz będę komponować. To jest spontaniczne. Gdzieś w locie, jakiś temat, zarys, myśl. Czasem powstaje tekst, później muzyka.
- Dlaczego jest tak mało Pana płyt w sklepach?
- Nie ma ich wcale. Przez osiem lat nie nagrałem płyty. Od czterech lat tylko koncertuję. Mam repertuar na dwie płyty, ale to jeszcze nie jest nagrane. Następny rok powinien coś przynieść.
- Gdzie się Panu najlepiej koncertowało?
- To trudno powiedzieć. W Polsce: Łódź, Wrocław, Gdańsk, Bydgoszcz. Natomiast za granicą — ostatni koncert 28 lutego 87 w Queen Elizabeth Hall w Londynie — podobna akustyka do Filharmonii Bydgoskiej.
- Co chce Pan przekazać w swojej muzyce?
- Od czterech lat piszę teksty swoich piosenek. Można je określić jako bardziej detaliczne opisywanie piosenki „Dziwny jest ten świat”, tyle że z mniejszą wiarą w ludzi dobrej woli. Ironia i autoironia. Sporo nam się dostaje za naszą nierozważną działalność na ziemi.
- Dziękuję za rozmowę.
- I ja dziękuję.

Rozmawiał:
BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Autorka tomiku „Nieuleczalnie żywa”, Urszula Zybur, pochodzi z regionu kaskado-ostrowskiego i urodziła się na początku lat pięćdziesiątych. Tytuł, że debiutuje dopiero teraz, spóźniona o całą dekadę względem swojego pokolenia. To pierwszy próg, który będzie musiała przekroczyć, a właściwie przekraczać stale: próg twórczości osobnej, odrębnej, pozbawionej krępującej interferencji grupowego manifestu. Drugi próg stanowi pień, skazujący poetkę na ciągłe rozliczanie z kobiecością, z obecnością żeńskich pierwiastków w jej lirycie — w emo-

szy wyraźnie kontrastuje z wyrażeniami, prozajczny sposób wyrażania się przez poetkę w utworze „Codziennie umiera nas jakiś Bóg”. Efekt ten osiąga, posługując się prostymi w sumie zabiegami składniowymi — anaforą i enumeracją. Kilkakrotnie powtórzenie słowa „codziennie”, monotonna wyczerpana czynność ludzka („wylacz ten telewizor / włącz tamten telewizor”) oraz boskich („wylacz tę wojnę / włącz tamną wojnę”) prowadzi do logicznej, choć przerażającej poety: „codziennie jeden z nas nie popielnia samobójstwa a drugi z nas nazywa to życiem”

staże się celem samym w sobie — zdominowany całkowicie prymarny temat („Czas”, „Porządek”). Liryczne egzemplifikacje tzw. „intymnej prywatności” uzmniejszają jaskrawo, że poetka ma znikome szanse na odzyskanie łączności ze swoim pokoleniem: przynajmniej w zakresie środków poetyckiego wyrazu wydaje się nieco anachroniczna wobec koryfeuszek „Nowych Różnów” — Benki i Czekanowicz. Zupełnie nieznosne są zaś wiersze sentencyjne, które powinny właściwie nosić tytuły: „O człowieku”, „O miłości”, „O życiu”... etc., i co najwyżej wypełniać rubryki aforystyczne lokalnych gazet.

Pociąg zwany poezją

Jeszcze bardziej bogoburczą jest poetka w „Litani”, gdzie swe próby o zmilowanie kieruje do wojny i bólu, a do Stwórcy zanosi następującą suplikację: „a ty Boże kończ dzieło / póki my żyjemy”. Topos Boga, pojawiający się w takiej ilości utworów, której nie powstydziłaby się we własnym zbiorze zapewne ani Kamieńska ani Pogonowska, nie zawsze stanowi podstawową motywację konstrukcyjną wiersza. Często ma charakter akcydentalny lub pełni tylko rolę pretekstu. W „Moim białym Bogu” Bóg biały i bóg czarny przedstawia niechcący próbę ekstazyzacji wnętrza podmiotu lirycznego, rozdartego na naskórkowe „ego” i potężne „Ja”, wnętrza w którym raz po raz odzywa się wycie „stepowego wilka” (motyw wilka odnajdziemy także w kilku innych wierszach), ustawicznie głuszone przez dobrane, tytułowego Boga.

Innych wątków nie spotkamy już w tomiku Zybury w tak obfitej masie. Co gorsza, one same nie znalazły już tak oryginalnych ujęć. Seria wierszy antywojennych grzeszy banałem i pretensjonalnością, powiela ponadto stereotypy wypracowane przez pacyfistyczną poezję hippisów („Niebieski żołnierz”). Cykl utworów lingwistycznych lub lingwizujących ujawnia w wielu momentach nowofalowe epigony autorki: językowy eksperyment, mający być w założeniu jedynie punktem wyjścia,

Jak widać więc z powyższego omówienia, debiutancki tomik Urszuli Zybury ma dwa oblicza. Albowiem obok wierszy dobrych i bardzo, trafiają się autorce utwory słabsze lub wręcz złe. Jest to zjawisko naturalne i niepokładające usprawiedliwione sytuacji literackiego startu. O tym jednak, czy w przyszłości czytelnik skojarzy jej nazwisko z poezją, zdecydować będzie proporcja utworów udanych i kłótni w rodzaju „Matki polki od zgłiszcz, od popiołów”. By tak się stało, Zybur musi zrezygnować z efektywnych, lecz blawych konceptów na rzecz pogłębiania refleksji, jaka np. potrafiła się pojawić w najdłuższym bodaj z całego zbioru utworze, poświęconym pamięci „Innego artysty” — tragicznie zmarłego kaliskiego plastyka — Krzysztofa Marksa:

„ktokolwiek zna przyczynę katastrofy
proszony jest o nieujawnianie

pasażerowi grozi seria
bolesnych domysłów”

(„Pociąg relacji śmierci”) Słowa te mogłyby być dla wielu artystów dramatyczną przestroją, dla Urszuli Zybury, która posiadała świadomość ich wagi, niechaj będą chociaż mottem.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ
Urszula Zybur, Nieuleczalnie żywa, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 52, cena 35 zł.

Konkurs literacki

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury i Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Sródmieście, Międzyzakładowy Ośrodek Kultury Robotniczej w Łodzi ogłasza Ogólnopolski Konkurs Literacki w dziedzinie prozy, poezji, reportażu i satyry. Celem konkursu jest ukazanie przemian zachodzących w kulturze środowisk robotniczych w dziedzinie twórczości i upowszechniania kultury, wyłonienie autentycznych talentów twórczości nieprofesjonalnej z okazji IV edycji Łódzkiego Dni Kultury Robotniczej. Prace konkursowe o różnorodnej tematyce społecznej z uwzględnieniem zachodzących przemian polityczno-gospodarczych w Polsce, oznakowane godłem, w trzech egzemplarzach maszynopisu lub rękopisu, należy nadsyłać do dnia 30 kwietnia 1988 roku pod adresem: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, ul. J. Kilińskiego 95 skr. poczt. 189.

W konkursie mogą wziąć udział twórcy nieprofesjonalni, którzy nadesłali prace dotychczas nigdzie nie publikowane i nagradzane, zawierające minimum 6 stron maszynopisu lub rękopisu w dziedzinie prozy i reportażu oraz 10 utworów w dziedzinie poezji i satyry. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju 1988 roku w czasie obchodów Dni Kultury Robotniczej w Łodzi. Organizatorzy przyznają następujące nagrody i wyróżnienia: w dziedzinie prozy i reportażu: I nagroda — 15.000 zł, II — 10.000 zł, III — 7.000 zł, trzy wyróżnienia po 3.000 zł. W dziedzinie poezji i satyry: I nagroda — 15.000 zł, II — 10.000 zł, III — 7.000 zł, trzy wyróżnienia po 3.000 zł. W dziedzinie satyry na nagrody przeznaczają się ogółem 20.000 zł. Organizatorzy przeznaczają 20 proc. od nagród na rzecz rozwoju Fundacji Stypendialnej im. Anny Domagali-Jakub.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowa

STAN KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO

(Księstwo Warszawskie) był to dziwaczny polityczny twór Napoleona, który miał organizację francuską, mieszkancom i wojsko polskie, panującego niemieckiego księcia. Ta mieszanina szła jeszcze dalej, kiedy wspomnę szczytów i tak, ambasador Pradł był arcybiskupem, który po kilka miesięcy nie widział ołtarza, gubernatorem militarnym generał Dutailles, kateka bez ręki, przedzie zdolny, by mieć w szpitalu zajęcie, zastępca zaś ministra wojny, generał Wielhorski, którego dla zupełnej bezwładności nosiło dwóch granadierów; dalej marszałkiem sejmiku polskiego był austriacki feldmarszałek, a naczelnikami konfederacji legistów, mówcy, poeci itd.

ST. WODZICKI: Pamiętniki, Kraków 1869

ODPOWIEDŹ POETY

Gdy się Jan Zamojski dowiedział, że ów sławny rymotwórca Jan Kochanowski od dworu Zygmunta Augusta oddalił się i w dziedzinie wiose Czarneleśi osiadł, nie mógł znieść, aby ten wielki mąż rzadkie swoje przynosił w odległym kątku zakopywał. Dlatego wyrzucił mu kasztelan polaniek a króla i posłał mu na nią przywilej. Kochanowski podziękował za tę łaskę, krzesła jednak nie przyjął, mówiąc, że „na pomniejszych dochodach przesiada, a dumnego kasztelana do domu swego, wpuścić nie chce, który by przez swoje marnotrawstwo wszystko wnet strawił, czego się Kochanowski dorobił”.

„KURIER WARSZAWSKI” 1830 nr 153

EKONOM BEZ JAJEC

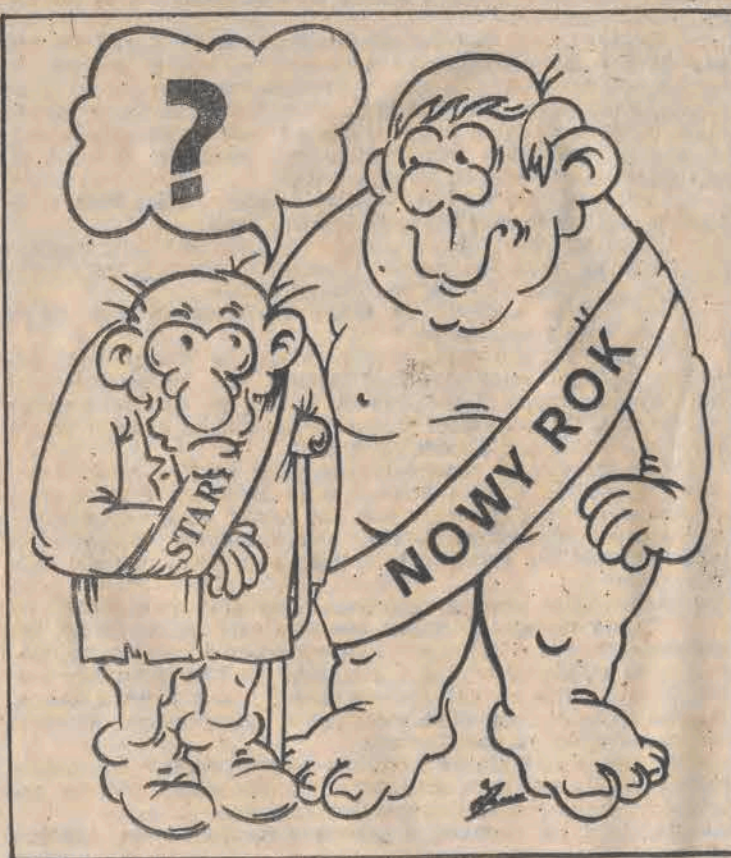
Józef Chrapowicki, instygator litewski, pan światły i mądry, mieszkał domem w Wilnie i na potrzeby swojej szpizarni rozmaite produkty z blisko leżących folwarków sprowadzał. Ekonom jednego z takich folwarków, pisząc do niego w podobnych okolicznościach pisał wiersz taki: „Pocieszam się, że w Wilnie, instygator wytłumaczył mi, że śmiecie robi dodając zawsze w listach swoich: „z którymi zostaje”. W młot z indykami nie zostaje niczym najniższym sługą. Uwaga: przyjęła się. Za pierwszą tedy znaczącą poprawę i napisał list taki: „JWPanie, posyłam do stołu Pańskiego indyków karmnych par sześć, kapłonów dziesięć, prosiat czworo. Jajec nie posyłam, bez których zostaje JWPana najniższym sługą”. ST. MORAWSKI. Kilka lat młodości mój w Wilnie (1818-1825), Warszawa 1959.

KANTATA NA CZEŚĆ PODKOMORZEGO

(W Darszynie) mieszkał w obecnym, piaskami obasypanym domu pan podkomorzy Bojdar Podhrodziński. Był to człowiek dawnej daty uczciwy, dobry, był bogobojnie oszczędny, ale często w potrzebie wspaniale występował. Lubił i miał u siebie muzykę, której z przykrym do ucha trąbka słuchał. Nie arcywyborna była to muzyka, złożona z sześciu podobno wirtuozów, okropnych repretów, ale jej dyryktor mistrz posiadał jeszcze odpowiedni jej talent poetyczny. Raz, na dzień imienia podkomorzego, ułożył poetyczno-muzyczną niespodziankę. Były to wiersze na cześć solentanta napisane strofami, do których skomponował klasyczną muzykę pół grana a pół śpiewana, coś na podobieństwo niby kantaty, niby poloneza. Orkiestra niemiłosiernie rozpoliła i śpiewała a każda strofa kończyła się tą sentymentalną zwrotką: Ego, ego, ego. Jaśnie Wielmożnego, Eja, eja, eja. Pana Dobrodzieja Podkomorzego — ego. Najlaskawszy — ego. F. KOWALSKI: Wspomnienia (1819-1823), Kijów 1912.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Aktualności



Rys. Stanisław Łuczyński

WIELKIE WYDARZENIE

Tak ocenili świadczki świat muzyczny festiwal poświęcony Witoldowi Lutosławskiemu, jaki odbył się tam niedawno. W programie festiwalu przedstawiono sześć koncertów, wśród nich takie dzieła jak: III Symfonia i „Livre pour orchestre”. W czasie festiwalu czynna była wystawa dorobku kompozytora. Do udziału w festiwalowych imprezach zaproszono Jadwigę Rappe, Małgorzatę Nosowską i Kwartet Wileński.

Bristol, Sheffield, Coventry — oto pełna sukcesów trasa koncertowa orkiestry Filharmonii Narodowej pod dyr. Kazimierza Kordy pod Wielkiej Brytanii z solistami: Barbarą Górzayńską (skrzypce) i Piotrem Palecznym (fortepian). W programie koncertów znalazły się dzieła muzyki polskiej — Chopina, Wieniawskiego i Lutosławskiego.

DZISIEJSZY WIZERUNEK

„Zastąpił wizerunek wroga wizerunkiem partnera — to naj-

ważniejszy element nowego myślenia” — tak Oryginaliści Afematów stręśliw przebieg drugiego już Międzynarodowego Spotkania Intelektualistów, jakie pod jego przewodnictwem odbyło się nad Jeziorem Lemnańskim w Szwajcarii. W spotkaniu uczestniczyli ludzie dobrej woli — uczeni, filozofowie, artyści i pisarze, a wśród nich m.in. Friedrich Dürrenmatt, Arthur Miller, Peter Ustinov. Pierwsze odbyło się przed rokiem w radzieckiej Kirgizji.

WERSZE BRODSKIEGO

Grudniowy numer miesięcznika „Nowyj Mir” opublikował wiersze ubiegłorocznego laureata Nagrody Nobla Jospa Brodskiego, wybrane z powstałych w ciągu ostatnich 15 lat. „Bez Brodskiego nie można sobie wyobrazić współczesnej poezji” — oświadczył w imieniu redakcji Oleg Chuchonow, który ma nadzieję, że ta publikacja przyczyni się do wzrostu zainteresowania rosyjską i radziecką poezją na Zachodzie. Poeta wyraził zgodę na publikowanie niektórych jego wierszy w Związku Radzieckim.

CHCĄ ZMAZAC WINY OJCÓW

Powszechnie znane są ostatnie, dramatyczne lata życia wielkiego Holendra — van Gogha, spędzone w Arles nad Rodanem, niewielkim miasteczku w Prowansji. Wątpliwe zdrowie, skłonny do epilepsji, skryty i nadmiernie drażliwy wzbudzał wśród mieszkańców w równym stopniu zainteresowanie, co... niechęć. Nie rozumiany i wyszydzany skończył życie w miejscowym domu dla umysłowo chorych.

O tym traktowaniu artysty przez ówczesnych mieszkańców Arles wspominał wszystkie przewodniki. Dzisiejsi jego mieszkańcy robią więc wszystko, aby zmazać złą opinię ojców. Wraz z władzami miasta ogłoszono tu 1988 „Rokiem van Gogha”. Postanowiono nawet dom dla umysłowo chorych, w którym zmarł van Gogh przeznaczyć na ośrodek sztuki, w którym pierwszą wystawą będzie ekspozycja prac genialnego malarza. Miejscowi artyści zwrócili się z apelem do najwlepszszych sław świata sztuki o ofiarowanie prac dla stałej kolekcji, która będzie nosić imię van Gogha.

NIE TYLKO U NAS

Z powodu małej frekwencji zamknięto 1180 kino-teatrów. Głównym powodem odchodzenia publiczności jest słaby repertuar i brak nowoczesnej techniki — oto oceny ciężkiego kryzysu, jaki przeżywa od trzech lat hiszpańskie kino.

Skąd my to znamy?

AMERYKANIE NIE ZNAJĄ

Interesujące badania przeprowadził wśród 8 tys. młodych Amerykanów National Endowment For The Humanities. Otóż badania wykazały bardzo skąpe wiadomości, jakie posiadają młodzi Amerykanie w zakresie historii i literatury. 68 proc. badanych nie wie o... wojnie secesyjnej, nie umieją też wymienić nazwisk autorów „Zbrodni i kary” czy „Opowieści Kantaberyjskich”. Lynne Cheyney, autorka ankiety uważa, że obecny system nauczania nastawiony jest na przekazywanie wiedzy praktycznej kosztem historii i literatury...

A u nas? Odwrotnie. Skutki? Tam — jak wyżej. U nas... To już inny temat.

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Debiuty

Dominika Iza Brunowicz

biały chleb
kiedy smaruję co dnia
białym masłem
biore kromkę
przekam
biała prawda
czyste słowo
chciałabym aby ta mała
cząstka chleba we mnie
uświadczyła mi samą

czasami życie zawieszam
odchodzę
zostawiam czas
świat
i zwyczajny tok myśli
czasami mnie nie ma
zamieram
by odetchnąć od życia
chowam się do szafy
nie chce nic słyszeć
ani nikogo widzieć
czasami tak właśnie robię
przesypiam czas
przechodzę drzwie godziny
niedorzeczne
złoty
odchodzę
i wiem życie
w szafie

Byłem zazdrosny o te teksty...

Mówi tłumacz i wykonawca pieśni
WŁODZIMIERZA WYSOCKIEGO — BOGUSŁAW POPOW

Spektakl rozpoczyna się piosenką Okudźawy, napisaną po śmierci Włodzimierza Wysockiego. Piosenkę śpiewa Diana Stein. Ona również a z nią Czesław Pawłowski czyta słowa wieszcz: trochę prostych słów o zmarłym siedem lat temu moskiewskimi bardami.

Potem pojawia się na estradzie zwały, nie-dźwiędzący młody człowiek. Śpiewa Wysockiego. Nie trzeba być absolutnie Akademikiem Muzycznym, żeby stwierdzić od razu: nie mamy do czynienia z zawodowcem, piosenkarzem estradowym z rury i estradowym obcym, z repertuarem Terceci Egzotyckiego itp. Piosenkarz śpiewa chropawym, nie szkolonym barytonem. Bardzo efektywnie współbrzmiały z gorzkimi tekstami Wysockiego. Bo też nie są to piosenki dla słodkich tenorów...

Wysockiego śpiewa Bogusław Popow, rocznik 1942 (a więc wcale nie taki znów młody) znany skądinąd działacz studenckiego ruchu teatralnego, reżyser, m.in. w Łódzkiej Teatrze 77. Kilkakrotnie nagradzany za swoje realizacje. Ten recital, również przez niego reżyserowany, przyniósł mu drugą nagrodę w Trzecich Ogólnopolskich Zmaganiach z Piosenką Znaczącą, wiosną tego roku w Warszawie.

Zupełne zaskoczenie i pełna zmiana emplot! Jak to się stało, że zostaliśmy tłumaczem (wszystkie teksty spektaklu pt. „Wysocki” są tłumaczeniami Bogusława Popowa. Z wyjątkiem fragmentu poematu Majakowskiego i „Moskwy karczemnej” Jesienina). Nie tylko tłumaczem, ale i wykonawcą?

— Z twórczością Wysockiego zetknąłem się stonkunkowo niedawno. Byłem i jestem nią zachwycony. Jest mi bardzo blisko. Jest coś w jego spojrzeniu na świat, w jego osobowości twórczej, w jego postawie życiowej, co — będą nieskompany — odczuwam jak własne. Stąd pomysł tłumaczenia. Znam nieźle rosyjski, ale nie na tyle, żeby tłumaczyć teksty poetyckie. W końcu to nie są pioseneczki o nieszczerliwej panience, której chłopiec pokochał inną. Takie teksty tłumaczyć bardzo łatwo — ot, ma się zgadzać rytm i wersyfikacja, treść, tylko w ogólnych zarysach, jest przecież nieważna. Z Wysockiego chciałem przekazać polskiemu słuchaczowi nie tylko kształt formalny. Bardzo ważna jest warstwa językowa — pisał języ-

„Idąc napotykaś siedem różnych źródeł dźwięku. Muzyka czeka na Ciebie, trwa stale. Sam decydujesz jak długo słuchasz. Tworzysz swoją własną wersję utworu, zależnie od wybranej przez siebie drogi oraz czasu przebywania w Labiryncie. (...) Spróbuj słuchać — chodząc”.

Taki właśnie sposób odbioru swojej muzyki zaproponował kompozytor Zygmunt Krauze, który zechciał jej wysłu-

dziło muzyczne nie jest pomysłem nowym. Eksperymentów w tej dziedzinie próbowało już w epoce renesansu, a problem ten fascynuje wielu kompozytorów współczesnych. Z propozycjami tego rodzaju rzadko jednak spotykamy się u nas w Polsce, toteż kolejny eksperyment Zygmunta Krauzego wart jest tego, by się z nim zapoznać.

Kompozytor proponuje tu odbiorcy nowy sposób słuchania

Strzeżnińskiego. Zafascynowany tą teorią, od dawna próbował przełożyć ją na język muzyki. Efektem tych prób jest między innymi „Rzeka podziemna” — utwór pozbawiony początku i końca, jednorodny, o siedmiu autonomicznych warstwach.

Nurt „Rzeki podziemnej” jest spokojny, jej meandry nie kryją gwałtownych niespodzianek. Ta muzyka jest — niech mi to słowo wybaczy awangardowy

Dokąd płynie „rzeka podziemna”

chać w Łódzkim Muzeum Sztuki, gdzie 15 grudnia 1987 r. odbyła się polska prapremiera „Rzeki podziemnej” — aranżacji przestrzenno-muzycznej, której współautorami byli architekci — prof. Wiesław Nowak i zamieszkały w Paryżu Jan Muniak.

„Rzekę podziemną” Zygmunt Krauze skomponował na zamówienie rządu francuskiego, zaś wykonana została ona po raz pierwszy 19 listopada 1987 r. na festiwalu muzyki współczesnej w Metz we Francji.

Wykorzystanie przestrzeni jako elementu współtworzącego

Zygmunt Krauze wyjaśnia, że inspiracją była dla niego koncepcja unizmu Władysława

kompozytor — ładna. Toteż spacer po labiryncie, na który zaprasza Zygmunt Krauze, jest nader przyjemny. Zaś dla bardziej leniwych melomanów, którzy wolą wygodny fotel w filharmonii, pocieszająca informacja — kompozytor stworzył także koncertową wersję tego utworu.

D. S.

planie gra i całość opracował Zbyszek Włodarczyk, na gitarze basowej Zbyszek Banasik, na trąbce Mirek Kulawski. Bardzo mi pomogli. I jeszcze kierownictwo DDK Łódź-Górna, które umożliwiło realizację recitalu.

Dziękuję za rozmowę. Powodzenia!

Rozmawiał:
ANDRZEJ KAROLCZAK

NIECH MI NIKT NIE PLUJE DO DUSZY

Słowa i muzyka: Włodzimierz Wysocki
Przekład: Bogumił Popow, współpraca filologiczna Anna Pakula

Nie lubię dni po źle zrobionym kroku
Chodź życiem nie zmęczymy jeszcze się
Nie cieszy mnie najlepsza pora roku
Gdy z nią nie idzie w parze moja pieśń.

Nie godzę się na cynizm oczywisty
W entuzjazm nie uwierzę, drażni mnie
Gdy obcy gość otwiera moja listy
I w moje życie wchodzi w butach kiedy chce.

Nie znoszę wręcz tych rozmów niedoświadczonych
Przerzniętych słów, nim zdążył wybrzmieć głos.
Pogardzam tym, kto chce mi strzelić w plecy
I tym, co broń podsuwa mi pod nos.

Ja nienawidzę plotek i dywersji.
Powątpiewania, padania do nóg.
Jeśli mnie ktoś chce gładzić „przeciw sierści”
Lub stroić nerwy — na szkiełkach noż.

Nie lubię też pewnością tej sobaczkiej
Juz waleć by hamulce porwał czar
I przykro mi gdy „honor” nie nie znaczy
Lub gdy honorem się frymarchy — bo coś wart.

Zaś kiedy widzę podcięte orle skrzydła
Nie czuję żalu w sobie — nie wybaczam wam —
Bo przemoc, tak jak słabość już mi szkodzą
A tylko za Chrystusa pięciu ran...

Dla siebie mam pogardę, kiedy ktoś prze-
Wstyd targa mną — gdy słaby smaga knuti
Precz z tymi, co chcą wpaść w moją duszę
I wara tym — co chcą mi do niej pluć.

Ja nienawidzę cynizmu i aresztu!
Z milionów tam zostało tylko ślad.
Wierzę choć nie wierzę, że coś się może zmienić.
Temu co złe ja zawsze powiem „pasztor won”

Fraszka dopowie przysłowie

TADEUSZ GIGIER

INAUGURACJA

Na Nowy Rok barani skok
ten robi, co się upił w sztok.

NIE MA

Bez woli
nie ma rosółu.
Bez cen regulacji
nie ma demokracji.

DEWALUACJA

Skromność i enota
droższa od złota.
A dziś ta para
niewarta dolara.

CHYBA

U skapego zawsze po obiedzie,
chyba, że ktoś wpływowy przyjadzie.

Kronika

19 GRUDNIA ub.r. I sekretarz KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa Wojciech Jarecki odwiedził wystawę prac Józefa Szajny, eksponowaną w warszawskiej „Zachęcie”.

Tego samego dnia odwiedził również warszawskie Muzeum Narodowe, gdzie zapoznał się z planami rozbudowy tej placówki.

ŁÓDZKIE MUZEUM KINEMATOGRAFII, dla uczczenia sześćdziesięciolecia filmu dźwiękowego, zorganizowało interesującą wystawę pn. „Dźwięk i projektor”.

Eksponacja udośćpioną została zwiędzającym 17 grudnia, w siedzibie muzeum (Plac Zwycięstwa 1).

OD 10 DO 13 GRUDNIA UB.R. w DĄBROWIE GÓRNICZEJ odbywały się XIV Międzynarodowe Barborkowe Spotkania Teatralne. Udział w nich wzięło 10 teatrów amatorskich (w tym 3 zespoły zagraniczne — 2 z Czechosłowacji i 1 z Jugosławii).

Duży sukces odniósł zespół Teatru „Orfa” ze Zgierza, który za spektakl „Wywieziony z Hrabala” (w reż. Mariana Glinkowskiego), decyzją Rady Artystycznej otrzymał nagrodę zespołową.

Trzy nagrody indywidualne przypadły również aktorom tego teatru: Agnieszce Krakowiak, Henrykowi Kaźmierczakowi i Antoniemu Spanawskiemu.

W DNIACH 18—20 GRUDNIA w Łódzkiej Domu Kultury odbył się — po wielu latach przerwy — Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich.

Wystąpiło dwanaście zespołów działających w Łodzi i województwie łódzkim (m.in. Teatr „Orfa” — MOK w Zgierzu, Teatr „Antidotum” — ŁDK, Teatr Uliczny — DDK Łódź-Górna, Teatr „Słup” — DDK Łódź-Widzew).

GALERIA ŁÓDZKA, przy Muzeum Historii Miasta Łodzi, zaprasza na ciekawą wystawę malarstwa, rysunku i grafiki znanego artysty plastyka, Jerzego Krawczyka (1921—1969).

W KONINIE rozstrzygnięty został IX Ogólnopolski Konkurs Poetycki o nagrodę „Młodego słońca”.

Jury, któremu przewodniczył Krzysztof Gąsiorowski, przyznało pierwszą nagrodę Lechowi Śniepiewskiemu z Warszawy, drugą Lechowi Lamentowi z Turku, trzecią — Krzysztofowi Jurkowi z Łodzi. Nagroda za najlepszy debiut przypadła w udziale Andrzejowi Arczewskiemu z Łodzi.

Gratulujemy!

W OGŁOSZONYM przez Mazowieckie Towarzystwo Kultury konkursie na wiersz o Mazowszu i nagrodę otrzymał Andrzej Rutkowski z Warszawy, dwie równorzędne II — otrzymali — Józef Bułatowicz z Wyszkowa i Aleksander Pesta z Płocka, dwie równorzędne III — Zbigniew Kostrzewa z Łowicza i Anna Stolińska z Warszawy.

Wśród wyróżnionych znalazł się znany łódzki powieściopisarz, poeta i tłumacz — Tadeusz Chrościelewski.

NAJDRÓŻSZY BAL SYLWESTROWY odbył się w hotelu „Victoria” w Warszawie.

Mimo bardzo wysokiej ceny karnetu — wynoszącej 40 tys. złotych od pary — wszystkie miejsca zostały wykupione.

NA PO RAZ PIERWSZY ZORGANIZOWANEJ W TYM ROKU W KIOTO (w Japonii) wielkiej imprezie przeglądowej z dziedziny najnowszych osiągnięć i kierunków twórczości artystycznej duży sukces odniósł Polacy. Grand Prix otrzymała Emilia Bohdziewicz z Warszawy, natomiast dwie inne nagrody przyznano Łódzianom.

Młoda artystka, absolwentka PWSSP w Łodzi, Jolanta Rudzka-Habisiak otrzymała za relief ze skóry drugą nagrodę, zaś białoczerwony gobelin Andrzeja Rajcha wyróżniony został nagrodą Międzynarodowego Sekretariatu Welny.

Rzwalizowało 1700 artystów z 30 państw, w tym 3 z Polski.

VIOLETTA VILLAS ujawniła, że wychodzi wkrótce za mąż za amerykańskiego milionera polskiego pochodzenia.

Jej ślub z Tadeuszem Kowalczykiem odbędzie się w styczniu, w Chicago.

Na wesela para nowożeńców zaprosiła 1500 osób. Potrwa ono siedem dni.

W podróż poślubną nowożeńcy zamierzają wybrać się na Hawaje i Korsykę.

Na stałe mieszkać będą w Wisconsin.

W PRZEDŚWIATECZNYM NASTROJU odbyły się w dniach 18 i 19 grudnia ub.r. koncerty symfoniczno-oratoryjne Filharmonii Łódzkiej w Kościele Ewangelickim św. Mateusza.

Orkiestrą Symfoniczną i Chórem FL dyrygował Tomasz Bugaj.

W programie zaprezentowano II Symfonię „Wigilię” K. Pendereckiego oraz Vesperae solennes de confessoro W.A. Mozarta.

Jako solisci wystąpili: Elżbieta Walaszczyk — sopran, Beata Morawska — mezzosopran. Roman Werliński — tenor, Józef Frakstein — bas.

(JAK)

PRESTIŻOWA NAGRODA

„Dzień egzekucji” — rozrachunkowa powieść azerbejdżan-
skiego pisarza Jusufa Samode-
glu o represjach lat 30. wyróż-
niona została doroczną presti-
żową nagrodą Związku Pisarzy
ZSRR. Podkreśla się wysokie wa-
lory ideowe i artystyczne utwo-
ru, którego akcja rozgrywa się
w trzech płaszczyznach czasu:
wchodzących w rok 1937 i w
średniowieczu. Lata repre-
sji i ubezwłasnowolnienia mni-
śli nie mijają bez śladu — glosi
ideowo-etyczne przesłanie autora
— rodza duchowy konformizm,
odbijają się negatywnie na życiu
tak jednostki, jak i społeczeń-
stwa.

„FEMME FATALE”

W Los Angeles zmarła nieda-
wno Mary Astor (prawdziwe na-
zwisko — Lucille Langhanke).
W swojej czterdziestoletniej ka-
rierze artystycznej wystąpiła w
ok. 100 filmach. Debiutowała ma-
jąc 14 lat. Swój styl osiągnęła
wielkimi kreacjami eleganckich
kobiet obdarzonych silnym cha-

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Witold Gombrowicz, „Dzie-
ła” — 20.000 zł (antykwarjat —
24.000); „Kuchnia polska” 4.500
zł (antykwarjat 5.000); Albert
Speer, „Wspomnienia” —
10.000 zł; Georgos S.
Patton — „Wojna — jak ją
poznałem” — 3.500 zł; J. M. Ro-

berts — „Ilustrowana historia
świata” (tom I, Wydawnictwo
Łódzkie) — 3.500 zł (cena nomi-
nalna, tylko w subskrypcji 1000
zł); Alexander Walker, „Gar-
bo” (Portret) — 900 zł (cena
nominalna — 650 zł); Martin
Buber, „Opowieści chasydów” —
700—800 zł (cena nominalna
400); „Koran” — 4.500 zł (an-
tykwariat — 5.800 zł); Witold
Tyloch, „Judaizm” — 450 zł (ce-
na nominalna 250 zł); „Bożni-
ce drewniane” (album) — 12.000
zł; Umberto Eco, „Imię róży” —
1.600 — 1.800 zł (cena nomi-
nalna 900 zł); Franz Halder,
„Dziennik wojenny” (3 tomy) —
5.000 zł; Zbigniew Nienacki,
„Wielki las” — 2.000 zł (cena
nominalna — 500 zł); Mieczysław
Lepecki, „Pamiętnik adju-
tanta Marszałka Piłsudskiego” —
1.800 — 2.000 zł (cena nomi-
nalna 600 zł); „Encyklopedia po-
pularna PWN” (jednotomowa,
wydanie krajowe) — 18.000 zł;
„Encyklopedia popularna PWN”
(jednotomowa, drukowana w
Jugosławii) — 20.000 zł; Marek
Hlasko, „Utwory wybrane” (4
tomy) — 4.000 zł (antykwarjat
4.500 — 5.000 zł); Cezary Chle-
bowski — „Wachlarz” — 4.000
zł (antykwarjat do 4.500 zł).
Jędrzej Tuchołski, „Cichociem-
ni” — 4.000 zł (antykwarjat do
4.800 zł).

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Szarok nawet nie podejrzewał, że właśnie ta jego dobroduśna, „szczerą” opinię o Saszy Pankratowie zdecydowała o jego losie. Na niego, na Szaroka przeniosł Bieriezin swój stosunek do Saszy, tak jak w Pankratowie, zobaczył w Szroku dobrego, uczciwego chłopca. To był potworny błąd, drogo potem kosztował Bieriezin.

A tymczasem powiedział:
— Przemysłowy waszą kandydaturę. Ale najpierw sami powinniście podjąć decyzję: chcecie pracować dla nas, czy nie. To wielki zaszczyt organa CzeKa są zbrojnym ramieniem państwa. Nie zmuszamy nikogo na siłę, odmówcie — nie pogniemy was.
Znowu odwrócił się do Djakowa.
— Dajcie towarzyszowi Szarokowi swój telefon.
— Tak jest — Djakow się uniósł z krzesła.
— Sprawa nie jest zakończona — rzekł Bieriezin — i rozmowa pozostaje między nami.
— Rozumiem — powiedział Szarok.

Dlaczego właśnie on? Jest przeciętnym studentem, nie prymusem. I działaczem społecznym też jest przeciętnym — wykonuje, co mu każą. Widać, potrzebni są właśnie tacy przeciętni.

Próbował wyobrazić sobie ich rozmowę na swój temat. Bieriezin będzie się wahał. Dlaczego ma brata kryminalistę? Dlaczego chodzi po lokalach? Na pewno tamten, kryminalista, też lubił luksusowe życie, no i ograbił sklep jubilerski. Dlaczego akurat takiego mieliśmy brata do siebie? A Djakow będzie popierał Szaroka, wysunął jego kandydaturę i musi bronić swojego wyboru. Coś się nawiązało pomiędzy nimi jakby wzajemne zrozumienie. Z nim by się Jurze dobrze pracowało.

Za to z Bieriezinem...
— Bywacie z ojcem na wycieczkach? — spytał Bieriezin.

— Nie, nie bywam.
To pytanie wydało się Jurze najbardziej przykre. Wiedzą o nim wszystko, wiedzą wszystko o wszystkich. A on się zawsze obawiał Budagina. Nie Budagina trzeba się obawiać, ale Bieriezina. Budagina jest znany, Bieriezin nie, a jednak Bieriezin stanowi główną siłę. Posiadając ukrytą władzę, stoją za plecami tych, których władza jest jawna.

I Djakow też stanowi siłę, chociaż wstawał za każdym razem, gdy Bieriezin zwracał się do niego. Jura przypomniał sobie swoją pierwszą rozmowę z nim, to, jak pewnie Djakow usiadł wtedy na krześle. Nie, nie przeciętniaków wyszukiwali w instytucjach, po co im przeciętniacy. Wybór Djakowa jest dokładnie przemyślany — on, Szarok, jest stworzony do tej roboty, on, a nie prostoduszny inteligent Maksim Kostin, nie mięczakowaty inteligent Wadim Marasiewicz, nie nazbyt samodzielny Sasza Pankratow. Szarokowi nikt by się nie wykreślił, przed nim nikt by się nie wybronił, nie wierzy w niczyją szczerść — nie można szczerze wierzyć w to wszystko, i ten, kto twierdzi, że wierzy, kłamie.

To wszystko. Decyzja jest słuszną. Trzeba pozostawić wszystko losowi. Wyraził zgodę, a oni niech robią, co chcą. Będą chcieli — to wezmą, nie będą chcieli — nie wezmą. Tam właśnie będzie bezpiecznie. Tam nikt go nie ruszy, oni sami wszystkich ruszają.

Jura zadzwonił do Djakowa i powiedział, że podjął decyzję pozytywną.

— Zajdźcie wieczorem — rzekł Djakow.
Z przepustką w rękach szedł Jura długim korytarzem, wpatrując się w numery gabinetów. Czy naprawdę będzie tu pracował?

Djakow przyjął go w maleńkim gabinecie, ale to był jego gabinet, był tu gospodarzem. W mundurze wojskowym, z trzema belkami na naszywkach bluzy. To dziwne, ale dobrze mu było w mundurze, jego cherlawą figurą robiła się postawniejsza.

— Słusznie postąpiłeś.
Zwracał się do niego per „ty”, rozmawiał życzliwie, jak ze swoim, wyciągnął teczkę z biurka.

— To twoje akta. Zaraz wszystko załatwimy. Jura czuł, że się mu podoba.

— Słuchaj Jura — powiedział Djakow — ze szłym razem wymieniliśmy nazwisko Pankratowa, co to za człowiek?

— No — Jura wzruszył ramionami — już mówiłem... W szkole był sekretarzem organizacji komsomolskiej. Wtedy sprawiał wrażenie uczciwego człowieka. Do jego wad zaliczylibym chęć, żeby wydawać się mądrzejszym od innych, więcej wiedzącym, lepiej uświadomionym.

— A może rzeczywiście był lepiej uświadomiony?
— Możliwe — zgodził się Jura. Zrozumiał wszystko i teraz już wiedział, co ma mówić. — Jego wujek, Riazanow, jest szefem budowy. Do naszej szkoły w ogóle chodzący dzieci wielu znanych działaczy. Pankratow bywał u nich w domu. Powiedziałbym o nim tak: lubił przewodzić, być pierwszym.

— To to właśnie — poważnie wyrzekł Djakow. — No i narobił. I sam się wplątał i pociągnął za sobą dobrych, uczciwych młodych ludzi.
— Mówią, że wypuścił jakąś gazetkę ścienną. — I to, i inne jeszcze powiastania wchodziły w grę... Powiedział, u kogo ze znanych działaczy bywał?

Interesuje go Budagina, ale nazwiska nie wymienił — jest zbyt wielkie. Jura też go nie wymienił, taka informacja nie od niego wydziel. W rozmowie z Bieriezinem wspomnieli Lenę, wystarczająco.

— Z nami uczyła się młodzież z Plątego Dozmu, u nich bywał.

Djakow zerknął na Szaroka.

— Wypełnisz ankietę i napiszesz życiorys... — I dodał wesoło: — Myślę, że będzie się nam dobrze pracowało.

Jura od razu odnalazł się w nowych warunkach, pasował do tej instytucji, nawet przyzobdobił ją swoją młodością, serdecznym uśmiechem, szczerą rosyjską twarzą, z czasem nabrała ona pewnej skandynawskiej prawidłowości. Postawny, zreczny, był przy tym pojętny, rzeczowy, opanowany — cechy, które umieli ocenić i Djakow i Bieriezin.

Poparcie Bieriezina zapewniało Szarokowi szybki awans, ale Jura obawiał się tego poparcia, bał się Djakowa. Bieriezin jest wysoko, nie widzi Jura tygodniami i przypomina sobie o nim wtedy, kiedy go zobaczy. Djakow jest blisko, może w każdej chwili wykorzystać nieodświadczenie Jura, żeby go zniszczyć. Bieriezin

jest jeden, Djakowów wielu. Ale właśnie drobiazgowy formalizm Djakowa był Jurze bliższy od prostoduszności Bieriezina. Bieriezin wierzył, Jura nie wierzył w nic, Djakow udawał, że wierzy.

— Ale z Djakowem trzeba być czujnym, to intrygant — Szarok od razu to wyczuł i miał się na baczności. Djakow przekazał mu szereg osób, z którymi pracował, między nimi była Wika Marasiewicz.

Przekazał przypadkiem, czy też wie coś o łączących ich stosunkach?

— Na wszelki wypadek Jura powiedział:
— Ja znam tę Wikę Marasiewicz, chodziłszyśmy do jednej szkoły. Z jej bratem byłem w jednej klasie, ona albo klasę wyżej albo klasę niżej, już nie pamiętam.

— Ale Djakow niczym nie zdradził, czy wie coś na ten temat, czy nie wie, powiedział obojętnie:

— Ta damulka wpadła na cudzoziemców, przejrzył jej dossier, zobaczysz. Ale u jej ojca, profesora Marasiewicza, bywa Głiński, właśnie na te powiastania należy ją naprowadzić. Przyjmować będzie na Marosiejce. Jej dzień — wtorek, godzina jedenasta. Przychodzi punktualnie, nie spóźnia się.

Wika rzeczywiście zjawiała się punktualnie o jedenastej. Jura otworzył jej drzwi. Zobaczyw-

sząc bezpośrednich swiadców z Międzynarodówka, powiastania pośrednie sprawiała, że sprawa stała się tajemniczą i bardziej przekonującą. Każdy fakt ma swoją wagę, istotne są nawet niedzne zeznania Wiky, jeżeli powiastanie te z wersją nazwisko Głińskiego wyłania się obok nazwisk ludzi, o których Czer, niewątpliwie, wspomni jako o kurierach Lomnadze. Z drugiej strony, żona Głińskiego jest dyrektorem Instytutu, w którym działało trockistowskie podziemie, kierowane przez jej zastępcę Kriworuczkę.

Szarok jeszcze ze szkoły znał syna Głińskiego Jana, słyszał jego ojca, występował ze wspomnieniami o Leninie, widywał jego matkę, pełną godności damę, została potem dyrektorem tego Instytutu, w którym studiował Sasza Pankratow, i nawiasem mówiąc, wydała go z Instytutu. Nie wiedziała, głupia, że sprawa Saszy stanie się z czasem częścią sprawy jej męża, a potem także jej własnej.

Teraz tym zajmował się on, Szarok. Zetknęli się tutaj, w tym nowym świecie, ze znanymi nazwiskami, zwiastowało przeszłość z teraźniejszością. Po raz pierwszy Szarok uświadomił sobie realność zemsty nad tymi, którzy w tamtym życiu podziłali go, pomiatali nim Sasza Pankratow już dostał za swoje, nie od niego, ale dostał. I pozostali też dostaną.

ANATOLI RYBAKOW

(29)

Dzieci Arbatu



sz Szaroka, Wika cofnęła się do windy. Wiedziała, że Jura pracuje w NKWD, ale nie przypuszczała, że to właśnie on będzie ją prowadził.

— Wejść, wejść, moja droga, nie krepuj się — Jura uśmiechnął się szeroko — dawno się nie widzieliśmy.

Wprowadził ją do pokoju, uprzejmie podsunął krzesło, postawny i przystojny w mundurze. Wszystko na nim — pas, kufki na białej wojskowej, buty — było nowiutkie, lśniące, błyszczące. Ucieleśnienie siły, władzy, sukcesu, rozmawiał z nią przyjaźnie, nawet wesoło, jakby w tej roli nie było nic niezwykłego.

— Ale gdy na następne spotkanie Wika zjawiała się w wydekolowanej letniej sukience, ciasno przylegającej do bioder i zrecznym ruchem opuszczała ramię, Jura przesłiznął się po nim obojętnym wzrokiem i patrzył jej prosto w oczy, powiedział:

— Chodziłszyśmy do tej samej szkoły i jeśli całowaliśmy się ukradkiem w przerwach, to nikomu nie interesuje. Nic poza tym między nami nie było. Jasne?

Podniosła ramię, jakby zawstydzona wymamrotała:

— Tak, tak, oczywiście.

W swoim czasie Djakow wciągnął Wikę do pracy dlatego, że powstała konieczność przeniknięcia do domu profesora Marasiewicza, wywołana z kolei sprawą Lomnadze.

Głiński, wspólnik Lomnadze, odwiedza dom Marasiewiczów — ni to krajem, ni to krewniakiem — i spotyka się tam z cudzoziemcami. Dlatego go nie nawiązać za ich pośrednictwem potajemnej łączności ze zwolennikami Lomnadze w zagranicznych partiach komunistycznych?

Taka, w pierwszej chwili zaskakująca koncepcja, pozwalała stworzyć wersję, przydać wiarygodności chwilowym zeznaniom Czera, podeprzeć je nazwiskami ludzi, nie mających

13.

Mieszkanie, w którym Jura przyjmował Wikę, należało do Djakowa, ale sam Djakow mieszkał u żony, Rebeke Samojłowny, arabej, garbatej, uderzająco brzydkiej, za to politycznie wykształconej — wykladała ekonomię polityczną. Dzięki niej Djakow też się wyrobił politycznie, chociaż, jak zaobserwował Szarok, czytał tylko jedną książkę — „Problemy leninizmu” Stalina.

Rebeka nie podobała się Szarokowi. Prawde mówiąc, w ogóle nie lubił Żydów. Na podwórku i w szkole nikt nie odróżniał Żydów od nie-Żydów, a Jura odróżniał. Ojciec i matka też odróżniali.

Antysemityzm Szaroków był głęboki, nie usypiający. W ich pamięci tkwił jakiś Żyd jeszcze od czasów, kiedy ojciec i dziadek byli krawcami na Moskiewskiej, a obok w zaułkach Zariadki, koło Głebowskiego zajazdu, mieszkali Żydzi, tam też mieli swoją synagogę. Z nich — krawców, czapników, kuśnierzy — wyróżniały się sklepowe zuchy. Teraz z pozabawionych praw nagle urosł w kierowników. Jeżeli swój, brat Iwan, niepiśmienny chłop, zagarnął władzę, to jest nie do zniesienia, ale jeszcze nieznośniejsze jest to, że dzieli te władzę z Janikiem. Swoją protest przeciw nowemu ustrojowi stary Szarok obrócił w nienawiść do Żydów. Zbyt niebezpieczny byłby protest przeciw samemu ustrojowi.

To, że Djakow ożenił się z Rebeką, Jura kładł na karb jego własnej brzydoty. Djakowowi nie o Żydach nie mówił, w ogóle o nich nie mówił. Nawet w domu, kiedy ojciec ćwiczył na te tematy, Jura tylko się uśmiechał.

Rodzina stanowiła teraz dla niego poważny problem. Matkę ustawił szybko, zabronił napisać na podwórku. Ale nawet nie miała na to czasu, codziennie jeździła do zamkniętej rodzinnej

jednego dnia, wydała to, drugiego tamto. A na podwórku nie zatrzymywała się — po co ludziom wiedzieć, co ma w torbie. Z ojcem sprawa była trudniejsza. Nadal żył w domu. Niedużo, dwa-trzy garnitury na miesiąc, ale to, ukrywane przed urzędem podatkowym, zajęcie, pozwalało staruszkowi jeździć na wycieczki, grać w totalizatora. Wszystko to kompromitowało Jura, mogło złać mu karierę.

Zrezygnował z prywatnych usług staruszek nie chciał za nic na świecie, to była dla niego forma niezależności od przekletej władzy. W fabryce jest nikim, prostym robotnikiem, tu jest panem. Pchał się do niego najszybkowlejsze moskiewskie damulki i nie mogły się do niego schylić, schlebiały mu, nie śmiały się targować. Podobały mu się te ślicznotki, ich nóżki w szurowych podkoszulkach, ich kokieteria, nawet jeżeli była wywołana chęcią przypodobania się. Wolal klientki młode i ładne, niż nawet zgadzając się z młodym Żydówkiem, takie się zdarzają czarulki, że aż się w głowie kręci. Żeby tylko baba była młoda, świeża, ładna, lubił korpułentne, nieśmiałe, stare, nawet tylko starzejącym się kobietom nie szły, nie miała talii, nie ma tego efektu.

Ojciec był jedynym człowiekiem, którego Jura szanował, do którego był przywiązany, cenil jego życiową mądrość. I wiedział, dla ojca też stanowił jedyny przedmiot przywiązania. Włodkie ojciec był bezbożnie, Jura nie tknął ołcem. Oba przystojni, podobni do siebie, kochający życie, byli przeciwieństwami matki, lubiącej się kłócić na podwórku, i brata kryminalisty. Swojego stosunku do nowej sytuacji syna stary Szarok w żaden sposób nie zaakceptował. Tak samo w swoim czasie ani nie zganił, ani nie pochwalił jego wstąpienia do Komsomolu, do partii, nie zganił ani nie pochwalił jego związku a potem zerwania z Leną. Nie wynikało to z obojętności, ale z zaufania. Wszyscy pracowali, wszystko teraz jest państwowe, nie można pracować gdzie indziej, no a jak — kto jak potrafi. Osobiście obronił swoją niezależność i nie rzucił swojego fachu. Nalegać znaczyłoby obrazić go śmiertelnie.

Wyprowadzić się? Pozbawić i siebie, i rodziców rzadkiego w Moskwie luksusu oddzielnego mieszkania? Posporozeczować się z ojcem na zawsze?

Jura nie mógł nic wymyślić. Ale w pracy też nie śmiał ukrywać swoich komplikacji życiowych. Niech lepiej wiedzą o tym od niego niż od kogoś obcego.

— Mieszkaliśmy w tym domu jeszcze przed rewolucją — powiedział Djakowowi — wszystkich znamy ze wszystkimi jesteśmy w dobrych stosunkach, temu marynarce przelicowałem, tamtemu palto skrociłem, jeszcze innemu coś załatwiłem. I ojciec mój nie od tego, żeby ćwiartka pozardzić — krawiec, sam rozumiesz.

— Twój ojciec pracuje w fabryce — odpowiedział Djakow — przyszyję parę lat poza godzinami pracy to nie przestępstwo, wypić ćwiartkę — też nie przestępstwo.

Djakow gardził tym, co pomyślał i powiedział ludzi. Oni z Szarokiem decydują tu o losach i życiu ludzkim, stają na czele walki z wrogiem, spoczywa na nich odpowiedzialność szczególnie wagi i dlatego mają szczególne prawa. Nie tylko ich praca jest tajna, ale także ich życie osobiste. Zbyt nim zainteresowanie może być różnie zakwalifikowane.

Jura nosił teraz mundur pracownika NKWD. Do domu wracał nad ranem, do pracy wychodził po obiedzie, na podwórku nie spotykał prawie nikogo, a jak spotykał, udawał, że nie zauważył.

Klienci z domu przestali chodzić do ojca. Przedtem też nie było ich wielu, a teraz stary całkiem im odmówił. Jura zobaczył w tym takt i zrozumienie. Ojciec posunął nawet swoją delikatność do tego stopnia, że zaczął sam chodzić do swoich dwóch głównych klientek i do nich dopiero przychodziły inne. Uczyniło to Szaroka-seniora jeszcze mniej dostępnym, a tym samym jeszcze większą znakomitością.

W ten sposób ta strona by tu została urządzona, przódzawszy rodzinie Szaroków poczucie pewności, której tak długo byli pozbawieni, likwidując nawet częściowo uczucie strachu, którym byli owładnięci. Pozostała druga strona bytu — kobiety.

Jura i przedtem był ostrożny, bał się alimentów. W nowej pracy podobał się kobietom, ale nie będzie przecież romansował w swoim kole tywie. Nowe kontakty się nie trafiały, starych nie odnawiał.

Podobała mu się Waria Iwanowa. Zawsze coś miała w sobie, a teraz — Madonna! Ale ścięwo. Kiedyś spotkał ją na podwórku, uśmiechnął się przyjaźnie, odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nienawiści. Szarki kompania, ona i Nina tej siostrzyczka-histeryczka. Jura nie zapomniał przyjęcia noworocznego. Obrzili go Sasza, ale cała historia zamknięta Nina, ona zaczęła te awantury. Z Saszą skończona. Sasza wywieźli. I je też mogą wywieźć. Ale on do tego reki nie przyłożył, nie. Sa z jednego podwórka. Takie uczucie Djakow nazwałby drobniomieszczaniska pseudouczciwością. Ale tutaj jest jego dom, tu wyrósł, tu jest jego ojciec i matka, tu wrócił brat — nie chce otaczać ich wrogami.

Wspomnienie o jednej tylko kobiecie nie dawało Szarokowi spokoju. Lena. Nie mógł zapomnieć tej kochającej, cierplivej twarzy. Prócz ojca, była jedyną osobą, która budziła jego przywiązanie, w której oddanie wierzył, była gotowa do poświęceń dla niego i udowodniła to. Ta straszna noc szpitali i ani słowem, ani jednym westchnieniem nie wydała go. Kochała. Pamiętała tamten ostatni gorący zapach gorczycy, ten zapach podniecał go i dziś. Myśl, że mogłaby pokochać innego, być z nim, wyjęła z niego za mąż — dreczyła go. O mało jej nie zabił, rzucił ją, i jednak on jeden ma do niej prawo. Zatrzyma Lenę, zmusi ją, żeby wszystko zapomniała, znowu ją sobie podopieczną.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

zginął w obozie pod Kołymą. Roy Miedwiediew ukończył Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Leningradzkiego. Prace doktorską obronił z pedagogiki i następnie wykładał przez jakiś czas w Akademii Pedagogicznej w Leningradzie. Jest autorem dwu książek z pedagogiki. Pedagogika zajmował się przez 10 lat. Pracował jako nauczyciel, był dyrektorem wiejskiej szkoły na Uralu. Wydał w sumie 20 książek. Przede wszystkim poza granicami ZSRR. Wydał w Jugosławii Chłopskiej Republice Ludowej, we Włoszech nakładem Włoskiej Komunistycznej Partii ukazało się 7 jego książek. Jego książki ukazywały się też w Wielkiej Brytanii, RFN, Japonii. Utrzymuje się z honorariów za wydane książki. Nigdy nie wyjeżdżał poza granice ZSRR. Jego brat Zores Miedwiediew mieszka na stałe w Londynie.

Napisał między innymi o Nikicie Siergiejewiczu Chruszczowie, Nikołaju Iwanowiczu Bucharinie. W książce „Wszyscy ludzie Stalina” przedstawił sylwetki Władysława Molotowa, Lazara Kaganowicza, Anastasa Mikojana, Gieorgija Malenkowa, Michaiła Susłowa i Klimienta Woroszyłowa. Niektórzy imię Woroszyłowa piszą: Klimient. Utrzymam pisownię Klimient, gdyż wydaje się ona być bliższa rosyjskiemu oryginałowi.

W 1989 roku Roy Miedwiediew został wykluczony z KPZR za napisanie i opublikowanie książki o stalinizmie i następstwach stalinizmu. Książka nosiła tytuł „Pod osad historii” i ukazała się w Wielkiej Brytanii, we Włoszech, RFN, Japonii i innych krajach. Były to czasy Leonida Breżniewa, a więc czas odwrótu od programu zmian. Jakże zapoczątkował Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZR w lutym 1956 roku.

Klimient Jefremowicz Woroszyłow urodził się w 1881 roku

w rodzinie robotnika kolejowego w jednej z miejscowości guberni Jekaterynosławskiej. W 1903 roku zaczął pracować jako robotnik w fabryce parowozów w Lugańsku. Tam też wstąpił do SDPRR. W czasie rewolucji 1905 roku był przewodniczącym Rady Delegatów Robotniczych w Lugańsku. Organizował robotnicze drużyny bojowe. Był delegatem na IV i V Zjazd SDPRR. Od roku 1908 działał w Baku, Petersburgu i Caryncie. Przebywał na zesłaniu, a w lutym 1917 roku był w Piotrogradzie i działał w Piotrogradskiej Radzie Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. W marcu 1917 roku powrócił do Lugańska, został przewodniczącym lamtejskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, był też członkiem Dumy Miejskiej w Lugańsku. Uczestniczył jako delegat partii z Lugańska w VII Konferencji SDPRR(b) i w VI Zjeździe tej partii. Wziął udział w powstaniu październikowym w Piotrogradzie.

Po rewolucji współdziałał z Feliksem Dzierżyńskim przy organizacji Nadzwyczajnej Komisji do walki z kontrrewolucją. W marcu 1918 roku powrócił na Ukrainę, zorganizował oddział, na czele którego walczył z Niemcami, bronił Charkowa. Wstąpił do wojska i tak rozpoczęła się jego wojskowa kariera, która w 1935 roku dała mu stopień marszałka ZSRR. Klimient Woroszyłow — napisał Roy Miedwiediew — „odznaczał się ponad przeciętną odwagą, jako zawodowy żołnierz często znajdował się w złożonych sytuacjach. Był jednak świadom swych skromnych zdolności intelektualnych i sam zawsze szukał politycznego protektora i przywódcy. Człowiek taki był bardzo dogodny dla Stalina, by powierzyć mu kierowanie sprawami wojskowymi. Równocześnie człowiekowi takiemu łatwo było zachować swoje stanowisko także w czasach wszystkich następstw Stalina”.

Wybiegliśmy jednak trochę w czasie do przodu.

W latach wojny domowej Klimient Woroszyłow działał na Ukrainie. Dowodził 5 Armia Ukraińska, a następnie Frontem Caryńskim, był też zastępcą dowódcy Frontu Południowego oraz członkiem Rady Wojskowo-Rewolucyjnej tego Frontu. Później dowodził 10 Armia, a w grudniu 1918 roku został ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Ukrainy. Po wojnie domowej został mianowany dowódcą Charkowskiego Okręgu Wojskowego i dowódcą 14 Armii. Był też członkiem Rady Wojskowo-Rewolucyjnej i Armii Konej, która dowodził Siergiej Budionny.

W 1921 roku został członkiem Południowo-Wschodniego Biura KC RKP(b) i dowódcą Południowo-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego i funkcje te pełnił do 1924 roku, kiedy został mianowany dowódcą Moskiewskiego Okręgu Wojskowego i członkiem Rewolucyjnej Rady Wojskowej ZSRR. W 1925 roku został mianowany ludowym komisarzem obrony ZSRR. Do 1934 roku nazywano się to: ludowy komisarz do spraw wojskowych i morskich. Po mianowaniu go marszałkiem w 1935 roku został też przewodniczącym Rewolucyjnej Rady Wojskowej ZSRR.

„Nawet jako dowódca — pisze o Klimientie Woroszyłowie Roy Miedwiediew — miał na swym koncie więcej klęsk niż zwycięstw. Lecz — może właśnie ze względu na brak jakichkolwiek wyjątkowych zalet — Woroszyłow dłużej niż pozostali zachował swoje miejsce na szczytach partii — państwa. A im mniejsze były rzeczywiste osiągnięcia Woroszyłowa jako przywódcy, tym więcej różnych legend przepłytało się wokół jego nazwiska. Choć Woroszyłow nie był zawodowym żołnierzem, po zakończeniu wojny domowej zatrzymał go do pracy w armii”.

Jego zastępcą jako komisarza ludowego obrony ZSRR został mianowany bardzo zdolny, wręcz utalentowany ceniony przez Włodzimierza Lenina dowódca — Michaił Tuchaczewski, autor 120 prac z zakresu strategii i taktyki wojskowej. To między innymi z książką Michaiła Tuchaczewskiego o wojnie polsko-radzieckiej w 1920 roku polemizował Józef Piłsudski.

Mysle, że warto poświęcić trochę miejsca tej postaci, gdyż

Michaił Tuchaczewski jest mało znany

jako że jego nazwisko było przez wiele lat wykreślone ze wszelkich publikacji. Wydana przez Wiedzę Powszechną w 1987 roku „Ency-



Moskwa, 11 sierpień 1918 r.

Marszałkowie

klonedia Rewolucji Październikowej” hasła: „Michaił Tuchaczewski” nie zawiera.

Urodził się w 1893 roku. Do gimnazjum chodził w Penzie. Uczył się źle, choć był bardzo zdolny. Miał trójkę ze sprawowania, rozmawiał na lekcjach, opuszczał lekcje bez usprawiedliwienia, nie interesował się religią. Zrezygnował w końcu z nauki w gimnazjum i — wbrew woli ojca — przeniósł się do Moskiewskiego Jekateryńskiego Korpusu Kadetów, aby poświęcić się karierze wojskowej. Była ona jego powołaniem. W Korpusie Kadetów uczył się bardzo dobrze, był najlepszym kadetem. Po ukończeniu Korpusu Kadetów wstąpił do Aleksandrowskiej Szkoły Oficerskiej. Gdy zaczęła się pierwsza wojna światowa miał 19 lat i wyruszył na front. Walczył w stopniu podporucznika. Odznaczył się w wielu akcjach. Wraz z innym oficerem wysadził most na zaplecze wojsk niemieckich. Dostał się do niewoli, z której pięciokrotnie próbował uciekać. Udało się to dopiero za piątym razem.

W 1917 roku podjął decyzję i opowiedział się za rewolucją. W kwietniu 1918 roku wstąpił do SDPRR(b). W tym czasie wielu rosyjskich oficerów podejmowało taką decyzję i poświęcało swą wiedzę, umiejętności i życie rewolucji socjalistycznej. Włodzimierz Lenin wykończył tych oficerów i był za pełnym wykorzystaniem ich wiedzy dla zwycięstwa władzy radzieckiej. Przeciwni temu byli Józef Stalin i Klimient Woroszyłow. Włodzimierz Lenin powierzył Michaiłowi Tuchaczewskiemu zadanie utworzenia i Armii, której Tuchaczewski też został dowódcą. Walczył przeciw Korpusowi Czechosłowackiemu, który zbuntował się i wystąpił po stronie białych, walczył z białoskardzistami nad brzegami Wołgi, w Siewierskim Dońcu, przyczynił się do rozbicia wojsk admirała Aleksandra Koltzaka na Syberii, a także do rozbicia wojsk gen. Antona Denikina. Za zasługi w walce otrzymał w nagrodę pamiątkowy zegarek z napisem: „Mężnemu i uczciwemu żołnierzowi Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej” oraz honorową złotą broń z napisem: „Za osobiste męstwo, dużą inicjatywę, energię, sprawność i znajomość sprawy...”.

Był dowódcą Frontu Zachodniego w walce z Polską w 1920 roku. Po zakończeniu walk został mianowany komendantem Akademii Wojskowej Armii Czerwonej. W 1924 roku został zastępcą szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, a w listopadzie 1925 roku — szefem Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. W 1931 roku mianowano go szefem uśrobinia, a w listopadzie 1934 roku — pierwszym zastępcą ludowego komisarza obrony ZSRR oraz zastępcą przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej ZSRR.

Od 1934 roku był zastępcą szefa KC WKP(b). W 1935 roku — mając 41 lat — został marszałkiem ZSRR. I. Kramopolska napisała 2 sierpnia 1987 roku w „Moskowskiej Prawdzie” o Michaiłie Tuchaczewskim:

„Pierwsze dzieło Tuchaczewskiego „Strategia narodu i klasowa” czytał Lenin. W osobistej bibliotece Lenina znajdowały się i inne dzieła Tuchaczewskiego. (...) Sukcesy nie zawiodły go w głośnie. Był mądry, inteligentny, pełen uczciwości, wzbudzał sympatię. Jego mieszkaniem było swego rodzaju ośrodek kultury”. Lubli i rozumiał muzykę. Bywali u niego muzycy, kompozytorzy z Dymitrem Szostakowiczem. Miał dwa fortepiany, grał na skrzypcach, a nawet sam robił skrzypce. 25 maja 1937 roku mianowano go dowódcą Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego. Został aresztowany na podstawie fałszywych oskarżeń, przygotowanych przez hitlerowców wywiad i przekazanych via Czechosłowacja Józefowi Stalinowi. Skazano go na karę śmierci i stracono.

Po otrzymaniu nominacji nadepesował do rodziny:

„Cieszę się z nowej nominacji. Będę mógł pracować. Czuje, misja”.

Lidia Nord napisała książkę o Michaiłie Tuchaczewskim. W książce tej cytowała jego opinie o Klimientie Woroszyłowie:

„Trzeba przyznać, że Woroszyłow jest bardzo ograniczony, lecz jego pozytywną cechą jest to, że nie udaje mądrak i łatwo przyjmując również inne poglądy...”.

Nadeszły lata trzydzieste XX wieku.

Roy Miedwiediew pisze: „Od 1930 roku do 1934 roku dowodzenie i

techniczne wyposażenie Armii Czerwonej stawały się coraz bardziej skomplikowane i Woroszyłow ani umiał, ani wiedział, jak rozwiązywać złożone problemy rozwoju wojska. W Rewolucyjnej Radzie Wojennej często dochodziło do rozbieżności. (...) Woroszyłow jako ludowy komisarz obrony przesadnie wyolbrzymiał rolę kawalerii w przyszłej wojnie, a nie zapewnił potrzebnego rozwoju jednostek pancernych i obrony przeciwlotniczej”.

Co więcej, nie przeszkodził likwidacji kadr wojskowych, co miało miejsce w latach 1936 — 1938. „Zaden z wybitnych dowódców — napisał Roy Miedwiediew — nie mógł być aresztowany bez wiedzy i zgody komisarza ludowego obrony i Woroszyłow zawsze dawał zgodę. Pobudzał do rozpamiętania szpiegostwa w wojsku i marynarce”.

W 1967 roku Książka i Wiedza wydała książkę Aleksandra Niekricza pt. „1941 — 22 czerwca”. W książce tej Aleksander Niekricz pisze: „W kwietniu i maju 1937 roku nastąpiły aresztowania wśród wyższych oficerów Armii Czerwonej. Wśród nich był również M. Tuchaczewski. Aresztowani zostali także I. Jakir, I. Uborewicz, A. Kork, E. Bideman, B. Feldman, a jeszcze przedtem W. Primakow i W. Putna. Ci, którzy wydali rozkaz o ich aresztowaniu i skazaniu, powinni byli wiedzieć, że oskarżenia są bezpodstawne, a materiały fałszywe. 12 czerwca 1937 r. Tuchaczewski i jego towarzysze zostali rozstrzelani. Samobójstwo popełnił szef Głównego Zarządu Politycznego J. Gamarnik. Aresztowania i likwidowanie kadr wojskowych trwały również po 1937 roku. Tak np. na skutek fałszywego oskarżenia zginął marszałek W. Blucher, bohater wojny domowej, przez wiele lat dowodzący armią na Dalekim Wschodzie, były szef Sztabu Generalnego i pierwszy zastępcą ludowego komisarza marszałek A. Jegorow, dowódca armii G. Sziern, bohater walk w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie, i wielu innych. „Historia Wielkiej Wojny Narodowej” stwierdza, że „ofiarą represji padło około połowy dowódców pułków, prawie wszyscy dowódcy brygad i dywizji, wszyscy dowódcy korpusów i dowódcy wojskami okręgów wojskowych, członkowie rad wojennych i szefowie zarządów politycznych okręgów, większość pracowników politycznych korpusów, dywizji i brygad, około jednej trzeciej komisarzy pułków, wielu wykładowców wyższych i średnich zakładów naukowych”. Marszałek Związku Radzieckiego I. Bagramian w wywiadzie udzielonym korespondentowi pisma „Literaturnaja Gazeta” 17 kwietnia 1965 roku stwierdził: „Istotnym w przeddzień wojny jako „wzrost ludu” wybitnych radzieckich dowódców było istnienie rzeczy jedną z przyczyn niepowodzeń w pierwszym okresie wojny”.

Adolf Hitler — szkląc się do wojny z ZSRR — nie miał racji zadowoleniem. Miał on ponad stwierdzić nie bez racji:

— Stalin wyniszczył najwybitniejszych radzieckich kadr wojskowych.

„Największą odpowiedzialność — pisze Roy Miedwiediew — za klęskę w pierwszych dniach wojny narodowej spada, oczywiście, na Stalina. Lecz odpowiedzialność Woroszyłowa jest także wielka. Wintem jest, że pozwolił na wyniszczenie kadr wojskowych. Uspokajał kraj, mówiąc, że Armia Czerwona ma rzekomo większą siłę ognia niż jakikolwiek inna armia, podczas gdy wojsko niemieckie miało przewagę w różnorodności typów broni”.

Już niebawem starcia nad Chalcim-koł w Mongolii z Japonczykami i wojna fińska na Półwyspie Karelekim miały pokazać, jakie były skutki czystek w armii z drugiej połowy lat trzydziestych XX wieku. Na szczęście nad Chalcim-koł wojskami radzieckimi dowodził Gieorgij Żukow — dowódca, który nie przegrał żadnej bitwy. Gorzej już było w Finlandii.

WITOLD BOROWY

Panorama

BULGARIA

1. Popularny w Bułgarii tygodnik „Anteni”, ukazujący się w Sofii, rozpoczął druk głosnej już na świecie powieści Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu”.

2. Wiceprezes Akademii Medycznej prof. dr Swetosław Todorow stwierdził na posiedzeniu Rady Programowej do zwalczania AIDS, że Bułgaria należy do trzeciego typu szerzenia się AIDS, podobnie jak Japonia i kraje Europy Wschodniej. Charakteryzuje się to powolnym przenikaniem wirusa spoza granicy, przenoszonym przez cudzoziemców.

W Bułgarii poddano testom na wirusa AIDS 287 264 Bułgarów i cudzoziemców. U Bułgarów wykryto 51 przypadków nosicielstwa wirusa, u cudzoziemców tylko samo. Dwóch Bułgarów było już chorych. Większość cudzoziemców, nosicieli wirusa, wyjechała z Bułgarii.

Miesięcznik „Zdrowie”, wychodzący w Sofii, opublikował obszerny artykuł na temat niebezpieczeństwa AIDS. W artykule tym stwierdza się, że w Bułgarii nie ma środowisk narkomanów a zarażenie może następować głównie za przyczyną kontaktów seksualnych. Pismo podkreśla, że w Bułgarii jest wiele osób o zmniejszonej pobudliwości płciowej. Przeprowadzona niedawno ankietą wśród nieletnich dziewcząt wykazała, że niektóre z nich nie są nawet w stanie podać listy partnerów, z którymi miałyby stosunek w ciągu miesiąca. W Bułgarii daje się zaobserwować dużą swobodą seksualną. Z innych ankiet wynika, że kobiety rodzące swoje pierwsze dziecko podają takie liczby partnerów, z którymi miały stosunki płciowe w ciągu 12 ostatnich miesięcy, że żadna z bułgarskich gazet nie odważyła się wyników tych opublikować.

„Zdrowie” sugeruje, że zapobieganie zachorowaniom na AIDS powinno polegać nie tyle na poszukiwaniu bezpiecznych technik uprawiania seksu — prezerwatywa — ile na stałości partnerów. A z tym nie jest najlepiej.

CSRS

1. W CSRS żywo dyskutuje się o wyderżniach z 1968 roku. Głos w tej sprawie zabrali Wasil Bilak — sekretarz KC KPC. Powiedział on między innymi, że głównie ci sami ludzie domagają się zmian ocen przeszłości, którzy opowiadali się za realizacją programu sił prawicowych i oportunistycznych. Takie zadania są zbędne z zamiarami centrali antykomunistycznych.

— Zmiana oceny wielu wydarzeń historycznych jest możliwa, zależy tylko, z jakich czyni się to pozycji i z jakim celem... Ale prawda podstawowa, mówiąca, że w roku 1968 wytworzyła się w CSRS szeroka koalicja antykomunistyczna i że rozdziła się nowa struktura systemu politycznego, mająca na celu zawrocenie z drogi socjalistycznego rozwoju — pozostaje niezmieniona. Znajomość rzeczywistej sytuacji, uwarunkowań i wszystkich motywów wejścia wojsk sojuszniczych w sierpniu 1968 roku ukazuje w prawdziwym świetle wszelkie kłamstwa, pomówienia i świadome wypaczenia w zachodnim obrazie wydarzeń sierpniowych”.

2. „Rude Pravo” poinformowało, że 10 grudnia 1987 roku, w „Dniu praw człowieka”, na Rynku Staromiejskim w Pradze doszło do manifestacji grupy obywateli CSRS, którzy wypowiadali się przeciw rzekomemu gwałceniu praw człowieka w CSRS. Rada narodowa dzielnicy Praga i zwróciła się do milicji o zaprowadzenie porządku w jednym z najciężniej uczęszczanych miejsc Pragi i przywołanie prowokatorów do porządku. Milicja, zgodnie z prawem — stwierdziło „Rude Pravo” — doprowadziła prowokatorów do najbliższego posterunku. Inni uczestnicy tego zgromadzenia rozeszli się. Wydarzenie to obserwowało kilku zagranicznych dziennikarzy.

JUGOSŁAWIA

3 września 1987 roku rozegrała się w koszarach wojskowych w Paracicie tragedia. Żołnierz narodowości albańskiej Aziz Kelmendi zabił czterech żołnierzy innych narodowości i kilku ranił. Jak opublikowała jugosłowiańska agencja „Tanjug”, dochodzenie prowadzone przez prokuraturę wojskową ujawniło, że Aziz Kelmendi nie działał sam. Dzień przed popełnieniem zbrodni spotkał się on z sześcioma kolegami albańskimi narodowości, którzy pomogli mu w dokonaniu zbrodni i później w ucieczce. Prokurator wojskowy wniosł przeciw sześciu kolegom Aziza Kelmendiego oskarżenie, zarzucając im znajomość planów Aziza Kelmendiego, jego postawy zagorzałego nacjonalisty oraz to, że propagował on nienawiść w stosunku do innych narodowości.

KOREAŃSKA REPUBLIKA LUDOWO-DEMOKRATYCZNA

Naczelne dowództwo Koreańskiej Armii Ludowej opublikowało komunikat, w którym stwierdza się, że w pełni zrealizowano decyzję o demobilizacji 100 tysięcy żołnierzy. Agencja KCNA pisze o tej okazji: „100 000 zdemobilizowanych generałów, oficerów i żołnierzy trzymano obecnie w rękach sierpy i motyły zamiast broni”.

IANUSZ JARZĄBSKI

Polemiki • Listy • Opinie

RODZICE MŁODYCH NARKOMANÓW WOŁAJĄ O POMOC

Towarzystwo Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych „Powrót z U.” podjęło szereg nowych inicjatyw na rzecz rodzin dzieci uzależnionych. Obsługujemy telefony „Pogotowia Makowego”. Staramy się pomagać w rozwiązywaniu różnych spraw życiowych. Organizujemy obozy adaptacyjne dla młodzieży. Organizujemy szkolenia dla naszych członków.

Dyskutujemy tam o naszych problemach, ale także uruchomiliśmy poradnię dla rodziców. Pracowali w niej społecznie przedstawiciele „Monaru”, ZOZ, TZN, psycholog, lekarz, milicjant, prawnik, dyżurni z „Pogotowia Makowego”, a także ksiądz. Zainteresowanie tą formą pomocy było ogromne. Po raz pierwszy rodzice mogli porozmawiać w tak szerokim gronie o swoich sprawach i uzyskać poradę specjalistów z różnych dziedzin.

Zadajemy pytanie:

Kto udostępni nam lokal na utworzenie takiej poradni? Chcemy na oferty z całego kraju.

Przekazujemy nasze stanowisko w sprawie narkomanii i upraw maku w Polsce z prośbą o jego opublikowanie. Zostało ono przyjęte na naszym ostatnim zjeździe w Ryni.

Towarzystwo Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych „Powrót z U.” „Pogotowie Makowe” — tel. 31-30-11. Warszawa czynny od poniedziałku do piątku w godz. 17.00—19.00.

W naszym kraju, w ostatnich miesiącach 1987 roku, w środowiskach masowego przekazu rozpowszechniony jest pogląd o spadkowej tendencji zjawiska narkomanii. Jesteśmy tym głęboko zaniepokojeni. Działania takie uważamy za zdecydowanie szkodliwe. Prowadzą one do samoupszkodzenia się społeczeństwa oraz ograniczenia poczynań w zakresie profilaktyki, leczenia, resocjalizacji i readaptacji. W ciągu ostatnich siedmiu lat liczba narkomanów w Polsce wzrosła dwukrotnie. Obecnie obserwujemy narastającą, trzecią już falę narkomanii. Po środki odurzające sięgają coraz młodsi: trzynasto- i czternastoletnie dzieci!

Ilość osób, które je używają, według oficjalnych danych, wynosi kilkaset tysięcy. 40.000 z nich wymaga natychmiastowego leczenia, a umiera ich co roku ponad 100.

Od wielu lat domagamy się wprowadzenia na terenie kraju całkowitego zakazu upraw maku. Rozgoryczeni stwierdzamy, że najwyższe władze nie chcą podjąć decyzji, która uratowałaby tysiące młodych ludzi od nieuchronnej śmierci. Polska jest jedynym krajem w Europie, gdzie sieje się tę roślinę — surowiec do wytwarzania najbardziej trującego narkotyku na świecie „polskiej heroiny”. Pomimo wieloletnich starań ludzi, zajmujących się narkomania, nie udało się doprowadzić do podjęcia w tej sprawie radykalnych decyzji.

Jak mamy wierzyć w skuteczność działań najwyższych władz, skoro od siedmiu lat wciąż się tylko mówi o konieczności zaprzestania upraw maku?

Jesteśmy w pełni świadomi, że zakaz taki nie zlikwiduje zjawiska narkomanii, istnieje bowiem i inne środki odurzające. Jednak około 80 proc. polskich narkomanów używa narkotyków otrzymywanych ze słomy makowej i mleczka makowego, przy pomocy niezwykle prostej i szybkiej technologii. Łatwość ich zdobycia — mimo ograniczeń nałożonych ustawą z dnia 1985. 01.31 „O zapobieganiu narkomanii” — jest nadal ogromna. Rozwiązania dotyczące upraw maku, przyjęte przez wspomnianą ustawę, nie zdają w praktyce egzaminu.

Wierzymy, że władze naszego kraju podejmą radykalne działania prowadzące do wydanego całkowitego zakazu upraw maku, a tym samym uratują tysiące młodzieży polskiej od zagłady.

WSZYSTKIM JEDNAKOWO CZY WEDŁUG PRACY?

Jestem robotnikiem i nie mogę dyskutować naukowo, ale swoje zdanie mam. W pełni popieram pogląd, że to rządzący doprowadzili nas do nędzy, a teraz rządzeni mają przyciągać pasą? A oni mają czasować na Wyspach Kanaryjskich, bo oni są uczeni, zasłużeni budowniczymi, odznaczani, to muszą żyć ponad stan. Chrystus powiedział: niechaj wielcy usłużą małym. Uczeń zapomina, że dzięki chłopu i robotnikowi uczy się nie dla bogactwa, ale aby pomóc społeczeństwu w jego rozwijaniu. Wszystkie ognia tworzą łańcuch (jednakowe łańcuchy). Proszę mi powiedzieć, kto potrzebuje więcej, ten kto pracuje w smrodzie, w wodzie, na mrozie, deszczu, śniegu, dźwiga ciężary czy ten, kto śpi za biurkiem?

Alfred Miodowicz powiedział, że to nie jest tak, że ci co nie robią, a dużo zarabiają mają dwa łańcuchy, ale według przydatności zarabiają. Proszę mi powiedzieć, do czego by był przydatny Alfred Miodowicz, gdyby nie chłop i robotnik? Kto komu jest bardziej potrzebny? Uczeń są też potrzebni, aby użyć życia społeczeństwa, ale nie żeby zdzierać z niego skórę.

Lżej na duchu, że myślisz socjalistycznie jeszcze żyje w sercach ludzkich, a wrogowie socjalizmu nie zdążyli zniweczyć idei. Socjaliści mieli swój program oparty na zdrowej konstrukcji i wypracowanej koncepcji, mieli własną ideologię, idee, natomiast wrogowie bazowali na zapożyczonym programie i propagandzie, i teraz starają się zagłuszać zdrową myśl i rozsadek.

Nie chcę nikogo oceniać kim kto jest, ale zastanawiam się nad odpowiedzią Lucjusza Włodkowskiego, który nie przedstawia przecież lepszej koncepcji a polemizuje z dobrą. Przedstawia jakąś urawniłowkę, ona mogła być dobra, ale jak została sfałszowana — i wypaczone przez cwaniaków, to się nie sprawdziła. Pyta dlaczego w PRL ludzie nie mieliby się dorabiać swoją pracą, przecież w powyższym artykule jest napisane: — umożliwienie dorobienia się bez niczyjej pomocy ludziom młodym.

I druga sprawa. Lekarze mało zarabiają i niejednego wystąpił do placu. Proszę sobie przypomnieć Judy. Właśnie mało zarabiali i leczyli dobrze, bo był lekarzem z powołania, a karłowatość utrudniała mu pracę, bo myśleli o bogaceniu się. Jak ktoś nie będzie lekarzem z zamiłowania, zawsze popełni błąd. Jestem za tym, że by lekarze jak i nauczyciele i inni uczeni dobrze zarabiali, ale nie kosztem łańcucha robotnika i chłopu. Wiem, że list mój pójdzie do kosza, bo co to za mowa plebejsza, ale chciałbym wyrazić swoje zdanie.

PIOTR BUGAJSKI

Młoty mają to do siebie, że trudno je przewidywać. Taki twarde mają żywot. Błąka się po umysłach mit „jednakowych łańcuchów”. Jest to mit szkodliwy. Proszę mi wierzyć, to nie „ci wstępniki komunizmu” wymyślił podział pracy. Gdybyśmy uparli się oprzeć społeczny podział dóbr na zasadzie „równych łańcuchów” to szybko doprowadzilibyśmy nasze społeczeństwo do całkowitej stagnacji.

Istnieje różnica w jakości pracy, jej złożoności, w stopniu odpowiedzialności między sprzątaczką a dyrektorem, między woźnym a uczniem. Szuka polega na tym, aby umieć szanować każdą pracę: sprzątaczkę, woźnego, dyrektora i ucznia, ale obok szacunku, który każdemu się należy, płacić według ilości, wartości i wkładu pracy, a nie wszystkim po równo.

Przykro mi bardzo, ale Piotr Bugajski nie bardzo rozumie, co to jest „urawniłowka”. To właśnie zasada, że wszystkim daje się po równo, bo wszyscy mają „jednakowe łańcuchy”. Zasada ta jest sprzeczna z socjalizmem. Podstawowa zasada socjalizmu głosi bowiem, że „od każdego według jego możliwości, a każdemu według jego pracy”. My tej zasady nie umiemy szanować i sąd jakiś część naszych kłopotów. Piotr Bugajski cieszy się, że „myśl

socjalistyczna jeszcze żyje w sercach ludzkich”, a następnie chwalić coś, co jest z tą myślą sprzeczne.

Stefan Zeromski w „Ludziach bezdomnych” wcale nie propagował nędzy dla lekarzy, bo tylko źle opłacany lekarz może dobrze leczyć. On przeciw temu protestował! Poza tym od czasu, który opisywał Stefan Zeromski mają już prawie wieki. Coś się na tym świecie zmieniło. Nie widzieć tego, nie rozumieć, to niczego nie widzieć, niczego nie rozumieć. Przecież dziś lekarz musi się posługiwać skomplikowaną aparaturą, przeszczepia serca i inne narządy, operuje mózg. Jakaż to kolosalna różnica. I ten lekarz, który musi posługiwać się skomplikowanymi, najnowocześniejszymi aparatami, ma biegać z dyżuru na dyżur, aby sobie dorobić na dostatecznie życie? Ta droga nie osiągnie się postępu w medycynie. Proszę zobaczyć, ile aparatury stoi bezczynnie w szpitalach, proszę popatrzeć po aptekach, gdzie puste półki i nie ma lekarstw. To są zadania do rozwiązania w naszej medycynie. Kto to ma robić? Zagoniony, nie douchy lekarz? On tego nie zrobi. Powinniśmy płacić lekarzowi tak, aby miał czas nie tylko leczyć, ale uczyć się i myśleć. Podobnie uczeni. I powinniśmy się cieszyć z każdego wynalazku, który będzie podziwiał świat, bo jest w tym i jakaś nasza zasługa, choćby mieszcząca się w cenie naszych wyrzeczeń.

I ostatnia sprawa, którą zresztą zaproponowałem w materiałach VI Plenum KC PZPR. Przestańmy ludziom przyklejać etykiety, oceniamy ich po tym, co robią, i nie stawiamy przeszkód w wypowiadaniu różnych poglądów. Każdy pogląd, każda propozycja, jeśli opiera się na rzeczowych argumentach i wartościach, powinna się liczyć. Tak właśnie postępujemy w naszej redakcyjnej praktyce. Nie za wszystkich wypowiadaliśmy, które drukujemy, zgadzamy się, ale dajemy możliwość wypowiedzenia się każdemu, jeśli jego wypowiedź kwalifikuje się tylko do druku. Jeśli się z publikowanymi poglądami nie zgadzamy, tak jak w tym przypadku, dajemy temu wyraz.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAK REFORMA TO REFORMA

W dniach 8—9.06.85 r. odbył się XXIII Krajowy Zjazd Delegatów Polskiego Związku Wędkarskiego. Wybrano nowe władze związku, nakreślono zadania dla GZ PZW. Skończyły się emocje. W sercach zaś braci wędkarskiej zapanał duch optymizmu. Według postanowienia delegatów, gospodarka rybacko-wędkarska będzie prowadzona przez okręgi PZW, które gospodarować będą samodzielnie łódki, łódki. W każdym razie zaplanowano wiele pozytywnych reform oraz nowe zwiększone składki i prace społeczne członków na rzecz PZW. Naczelnym zadaniem PZW była ochrona wód i zarybianie oraz rejestracja połowów. Ważnym też zadaniem było dokonanie analizy podziału kraju na strefy, według kryteriów gospodarczych i zasobów wodnych. Znacząco to, że każdy wędkarz PZW zostanie usatysfakcjonowany.

Dlaczego o tym dziś piszę — bo nie z tych rzeczy nie wyszło, a na tutejszych wodach (woj. sieradzkie) jest wprost tragicznie. Rzeka Warta (północna rzeka) jest prawie martwa. Od Zjazdu PZW minęło trzy lata — nie ma żadnej ochrony wody i nie wpuszczono do niej żadnego narybku. Pozostawiono ją losowi na zatracenie.

Pytam więc władze PZW — co dalej? Woda ucieka, obniża się lustro wody, a z nią wody gruntowe, uboższe nie tylko ryboślan, ale gospodarka rolna, hodowlana i leśna. A przecież rzeka to nie tylko Eldorado dla wędkarzy. Rzeka stanowi również o klimacie, zasobach wody, jest wielkim bogactwem narodu, sprzymierzeńcem człowieka, daje mu odpoczynek i relaks.

Jest nas w kraju milion członków, przeciętna opłata tysiąc złotych, więc do kasy Związku wpływa rocznie jeden miliard złotych. Więc pytam, na co wydatkowane te kwoty?

Jak reforma — to reforma! Albo przestaniemy się okłamywać. Jestem za samorządym, samodzielnym istnieniem Okręgu PZW, ale z takimi prawami, które pozwolą usuwać dotychczasowe zaniebdania. Okręgi PZW muszą mieć prawo karać trucielei wód, ściągając z nich kary pieniężne, w naturze lub w świadczeniach. Ochraniać wody, zarybiać i strzec tego bogactwa, które dała nam przyroda.

W numerze 10 „Wiadomości Wędkarskich” — Zarząd bładoł, że zastępy członków maleją. Ale kto chce płacić trykwy? Dwie rzeczy, które zostały nałożone przez Zjazd na członków to: rejestracja połowów — nie wyszła, bo co tu rejestrować, praca społeczna na rzecz PZW — nie wyszła, bo kto miał ochotę i kłosem wode zawracać. Tyle o naszych sprawach i bolączkach środowiskowych.

Zadanie ogólne Związku to gospodarka zasobami wód i rybna — oparta na naukowych podstawach. Jak podsumowano na Zjeździe XXIII PZW. Mam wątpliwości czy wyłącznie przy pomocy nauki gospodarować to zdrowemu. Chyba na rezultaty będziemy czekać do końca świata.

Jak zapatrywać się na taką sprawę? P. Anna Jedruszczak Zebak (komórka informacyjno-wdrożeniowa ZG PZW) pisze, że na współpracę z wybitnymi naukowcami z AR Kraków, Lublin, Poznań, Wrocław, Szkoła GGW Warszawa, IRS — w Olsztynie wydatki wyniosły 5 milionów złotych. Można powiedzieć, że za mało, tylko po co? Czy ta uczelnia i ludzie nauki, którzy zdobyli wiedzę i stanowiska i opłacani są przez władze państwowe — nie mają obowiązku świadczyć i pracować na rzecz ochrony środowiska, zabiegając o czystą wodę i powietrze? Pytam dlaczego ich dodatkowo opłacać? Jeśli tak musi być, to w ogóle nie rozumiemy naszego postępowania. A teraz o przyszłej sprawie z ZG PZW. Kontrola NIK ujawniła w protokole niedomogi gospodarce na 79 stronach. Na wniosek NIK odwołano się stanowisk: dyrektora generalnego w ZG PZW i redaktora naczelnego „Wiadomości Wędkarskich” i jeszcze kilka osób. Tak to wygląda nasz wędkarski optymizm po XXIII Zjeździe D.PZW.

J. JACKOWSKI

Wielu

CZY TYLKO PRZEPISY UTRUDNIAJĄ ŻYCIE?

W dniu 7 lipca br. kierowniczka Przychodni Rejonowej nr 32 przy al. 1 Maja nr 42 nie wyraziła zgody, bym przejrzał dokumentację lekarską pod moim nazwiskiem. W dniu 13 lipca br. w siedzibie Dyrekcji ZOZ Łódź-Polesie przy ul. Zakątnej nr 90 radca prawny (S. Smigacz) usprawiedliwił takie postępowanie Instrukcją nr 43 Ministra ZIOŚ z 1981 r. w sprawie przechowywania dokumentacji lekarskiej, paragraf 19.1. Jest nie do pomyślenia, by istniał jakikolwiek przepis prawny zabraniający mi przejrzenia jakiegokolwiek dokumentacji lekarskiej pod moim nazwiskiem. Dlatego, pismem z dnia 20 lipca br. zwróciłem się do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi z prośbą o pisemne poświadczenie podstawy prawnej powyżej opisanego postępowania. Z WZIOŚ UML otrzymałem pismo z dn. 20 sierpnia br. nr ZS. 1-90 22C-5/87, którego treść przytaczam: „W związku z pismem Obywatela z dnia 20 lipca 1987 r. Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi zwrócił się do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w przedmiotowej sprawie.

Z uwagi na powyższe uprzejmie informujemy, że o wyniku zostanie Obywatel poinformowany po otrzymaniu odpowiedzi z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.”

Niezależnie od terminów określonych w przepisach prawnych — zwracam uwagę na to, że obywatelka Ewa Kacprzyk, która

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótków.

pismo podpisała potrzebowała aż miesiąc (!) na sformułowanie przytoczonych 2 zdań. Pod koniec pierwszej dekady listopada br. otrzymałem kolejne pismo z WZIOŚ UML, które cytuję w całości:

„Odpowiadając na pismo Obywatela w sprawie udostępnienia Obywatelowi do wglądu dokumentacji lekarskiej Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej UML po zasięgnięciu opinii Departamentu Prawnego Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej informuje co następuje:

„Zgodnie z instrukcją nr 43/61 Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z dnia 23 sierpnia 1961 roku w sprawie prowadzenia i przechowywania dokumentacji chorób w szpitalach powiatowych, miejskich i wojewódzkich (Dz.Urz. MZIOŚ nr 18, poz. 113) dokumentem informacyjnym dla pacjenta jest wystawiona w oparciu o dane historii choroby karta informacyjna, która pacjent otrzymuje przy wypisywaniu ze szpitala. W trakcie leczenia ambulatoryjnego natomiast pacjent na własne żądanie może uzyskać kartę informacyjną lub zaświadczenie o stanie zdrowia. Również na życzenie pacjenta lekarz zobowiązany jest wydać orzeczenie dla celów nie związanych z leczeniem (np. rentowych, czy też związanych z uzyskaniem dodatkowych uprawnień). Na każdym etapie postępowania leczniczego, pacjent może uzyskać wyczerpujące ustne informacje o stanie zdrowia.”

I to pismo jest podpisane przez obywatelkę Ewę Kacprzyk. Prawdopodobnie uwagę na to, że sprawa, która można załatwić w przysłówowe 5 minut, terminy wyznaczone w przepisach prawnych naprawdę nie są tu istotne, przewlekła się do granic nieprzeżywalności i do tego wcale się jej nie załatwia we właściwy sposób (frazologia zaczytywanych pism jest kretacka-matka i nie dotyczy meritum sprawy). To, co powyżej opisałem, jest dowodem (nie jedynym) na świadome utrudnianie mi wyjaśnienia sprawy.

EDWARD DŁUBAN

TAK WIDZI KIEROWCA MPK

Kierowca (motornicz) MPK wie, że jest on od jeżdżenia, jeżeli sprzęt jest sprawny musi jeździć, nikomu łaski nie robi. Ale nachodzi go refleksja, czy jego praca jest odpowiednim wykładnikiem płacy jaką za nią otrzymuje. Pasażer widzi go zadowolonego, papieros w ustach, radio gra. Za tym „luzem” kryje się ciężka odpowiedzialna praca, za którą on odpowiada, naraża życie oraz wolność osobistą. I co za to ma?

Przeciętna stawka na godzinę wynosi 129 zł (jak jeździł), premia za oszczędność paliwa (nie wszyscy). Przy 180 godzin, wyniesie to powyżej 23 tys. zł. Czy to jest odpowiednikiem płacy do pracy kierowcy lub motorniczego? Jest to poniżej średniej krajowej.

Jeżeli wyrobi 240—280 godzin, 3—4 dni „z wolnego” to i zarobi, ale chyba nie w tym rzecz. Kierowca MPK wie, jeżeli przy 200 godz. pracy jego zarobek wahałby się w granicach 40—50 tys. złotych, to wtedy każda jego podpadka byłaby na cenzurowym, a na jego miejsce już czeka 3 ludzi. Wóz czysty, zamieciony, sprawny, sa pieniądze — jest motyw.

Do czego zmierzam. Do tego, żeby dyrekcja MPK nie wydała masę pieniędzy (najlepiej wie o tym główny księgowy) na ogłoszenia w prasie przy naborze pracowników na kierowców i motorniczów, tylko stworzyła warunki płacy i pracy załodze, która jest tego na pewno warta!

Moim zdaniem (i nie tylko moim) są dwa powody, dlaczego nie ma chętnych do pracy w MPK.

Pierwszy to płaca w stosunku do pracy wykonywanej, odpowiedzialnej, uciążliwej, a drugi to odszkodowania za wypadki. Swego czasu łódzkie MPK było ubezpieczone na auto-casco (też już nie). MPK opłacało wiele milionów złotych rocznie, wycofało się z tego interesu, (trafiło na tym reforma swoje roby), ale nam „pracownikom w ruchu „rzucilo kłody pod nogi”. Kierowcy muszą płacić do 3-miesięcznych pensji kosztów odszkodowania. Wszystko z kodeksem pracy w ręku, zatwierdzone przez Zarząd Związków Zawodowych MPK. Nie będę złośliwy, jeżeli zapytam, czy ktoś aktualnie jeździł z Zarządem?

Przeciętnego kierowcę (kandydata) ten fakt przeraża. Jak to? MPK zarobilo i zarabia na odejściu od auto-casco miliony złotych, to nie może te stłuczki wliczyć w koszty zaoszczędzonych milionów, tylko robotnika po kieszeni? Nadmieniam, że potrącenia z „czternastki” już za taki przypadek zabrano. Pracownik (kierowca, motornicz) rozumie, że gdyby wyrzucił szkód świadomie: nie dołał oleju do silnika, brawura na jeźdni, nieatrważność — to musi ponieść karę. Ale w ruchu drogowym, w czasie pracy? Ruch jest non stop, wozy mają ponad 20 m. waży kilkanaście ton. I ten punkt zaakceptowały Związki Zawodowe? Czy tak być musi?

Zarząd Związków Zawodowych bardzo dawno nie był chyba w kabinach kierowców. Wnoszę to z tego, że może patrzeć na te „plekne, dopasowane siedzenia” dla kierowców produkowane w Helenówku. Tego „głównego specjalistę” od siedzeń dla kierowców, główny lekarz ortopeda Polski Łudowej powinien „odznaczyć” lub jego pomysły sprzedać na Wschód i Zachód: jak można szybko posłać człowieka na rentę inwalidzką.

Kolejna przyjemność w kabinie to dusznota w czasie lata. Czy nie można byłoby załatwić wentylatorów łatwych w montażu i demontażu (temp. dochodzi do 50 st. C). Woda sodowa — markę „woda” też byłaby sprawą dyskusyjną, ale cóż, reforma... Na usprawiedliwienie arogancji, chamstwa można tylko powiedzieć, że nikt nie wymaga badań psychologicznych do pracy z ludźmi. W Polsce badań takich się nie prowadzi. Ale z drugiej strony ta „małpia złośliwość” narasta z funkcjonowaniem całego ruchu drogowego i odpowiedzialnych służb za porządek w mieście. Miasto, społeczeństwo „nam tak, to my tak”. Przykładami służy: — zostawienie polemników od śmieci (Narutowicza, Siemkiewicza) brud na ulicach wyrwy, dziury — porożnięte, popchnięte zwłoki zwierząt (psy, koty) — nikt tego nie sprząta, a jak kolo tego mam przejeżdżać kilka razy dziennie, to człowiekowi robi się niedobrze. Czy służby porządkowe tego nie widzą? Dalej: porożnięte wiaty, przystanki, (tabliczki informacyjne), światła uliczne palące się o 6—7 rano, niszczenie przez społeczeństwo „kulturalne” siatek odgrzających tory, parkowanie wozów w miejscach niedozwolonych, tzw. „awaria” — mruganie kierunkowskazami itd. Starczy? Cholera brała kierowców na skrzyżowaniu Włocławskiego — Sieradzka, korki (w godzinach szczytowych), na kilkudziesięciu metrach, opóźnienia na trasie, a to wszystko pod oknami WUSW Łódź-Górna, (był objazd na linii A, 57). Bezsilność MPK: wielkie wglebienia w jezdnię na stanowiskach autobusowych D, E — Dworzec Północny, awarie zawieszonych, „wyskakujących” poduszki. I co — i nic!!! Króluje tuniawizm. Czy tak być musi? Zapewne któryś z czytelników powie, jeżeli mi warunki nie odpowiadają to mogę się zwolnić. Fakt, ale ktoś musi jeździć w MPK, a po drugiej praca ta satysfakcjonuje mnie oraz daje kontrolowanie nad sobą.

JEŻY MALICHA

SMUTNA ZAPOWIEDZ

Ministerstwo Komunikacji ujawniło swoje plany zamknięcia w najbliższych latach wielu lokalnych linii kolejowych, jako przyczyną podając małą rentowność czyli małą liczbę podróży, a duża koszty utrzymania linii z modernizacją włącznie.

Smutna to wiadomość. A i zadrść bierze, iż są jeszcze w Polsce takie linie kolejowe, gdzie przejechać trasę można w „kursowych” warunkach, czyli bez tłoku — siedząc i podziwiając krajobraz i to tylko w drugiej klasie. Ale takie linie nie podoba się władzom kolejowym i mają zniknąć do 1990 roku. W większości są to linie wybudowane jeszcze w XIX wieku lub

przed 1939 rokiem i myślą o podróży, przebiegają przez teren mniej zaludniony, z dala od większych miejscowości. Linie mistrzowsko wytyczone przez dawnych mierniczych — precyzyjnie i tak solidnie zbudowane, iż bez modernizacji służyć do dzisiaj i przy niewielkich naprawach mogą służyć latami nadal. Tabor z zamkniętych linii będzie mało przydatny na innych liniach, ponieważ wykorzystywano wagony dawnych typów, przystosowane do powolnej jazdy, a cały pociąg składał się głównie z dwóch, trzech wagonów. Z tych kursujących wahadłowo pociągów korzystała okoliczna ludność oraz młodzież szkolna, dojeżdżająca i wracająca ze szkół.

Likwidacja linii kolejowych oznacza, iż transport przejmie komunikacja autobusowa, co oznacza w wielu przypadkach pogorszenie dojazdów, szczególnie jesienią i zimą.

W niektórych, bogatszych krajach Europy w ostatnich latach przywrócono wiele zamkniętych linii kolejowych, jako bardziej opłacalnych niż tabor autobusowy. W Polsce ma być odwrotnie. Czyżby zapowiedź poprawy zaopatrzenia w benzynę i lepszych czasów dla zmotoryzowanych.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

„WIDOK Z KIOSKU RUCHU”

Piszę w sprawie artykułu zamieszczonego w nr 48 „Odgłosów” pt. „Widok z kiosku Ruchu”. Ja również pracuję jako sprzedawca w kiosku „Ruchu”, który mieści się na ul. Zachodniej przy Próchnika. Mam żal do red. Karolczaka, że przedstawił w swoim artykule pracę i zarobki tylko tych kiosków. Dlaczego nie wspominał nawet o kioskach tzw. jednozmianowych z obsługą jednoosobową, pracujących w godz. 6-17, a więc po 11 godzin dziennie a ich zarobki wahają się w granicach 20-25 tys. zł. To prawda, że nasze obroty są niższe od tych przedstawionych w artykule. Wiąże się to nie tylko z tym, że kioski te są umieszczone w mniej ruchliwych punktach miasta. To również sprawa zaopatrzenia w towar. Kioski, usytuowane w bardziej reprezentacyjnych punktach miasta są preferowane przy dostawach. A przecież my też chcielibyśmy mieć chodliwy towar, gdyż od tego zależy nasze zarobki. Ja pracuję w Ruchu bardzo krótko, bo dopiero od września tego roku. Rozpocząłem już jednak poszukiwania innej pracy, gdyż uważam i chyba słusznie, że pracując 11 godzin dziennie powinienem zarobić więcej niż 20-25 tys. W chwili obecnej wcale się nie dziwię, że tak dużo kiosków jest nieczynnych z braku obsady. Zarobki nie stanowią żadnej zachęty, warunki sanitarne żadne, a odpowiedzialność jest duża.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

DLACZEGO TYLKO FRAGMENTY „DAGOMÉ IUDEX”

Trudno — ale jesteście nie fair wobec nas, Czytelników drukując z „Dagome iudex” tylko fragmenty tomu I i to od rozdziału V. To, że obiecyście drukować tom II w całości nie może nas zadowolować, ponieważ dobrze wicie, że nie wszyscy zainteresowani będą mogli ten tytuł przeczytać w całości. Dobrze wicie, że ciekawe (niekoniecznie z punktu widzenia „momentu”) książki są nieosiągalne, bo są drukowane w za małych nakładach, gdy tych nie czytanych są tysiące egzemplarzy na różnych półkach w Polsce.

Ponadto wielu jest też ludzi, którzy na niektóre książki, ze względu na ich cenę, wobec innych ważniejszych potrzeb, nie mogą sobie pozwolić. Jeżeli uważacie, że nie ma się o co bić, jeżeli chodzi o całość „Dagome iudex”, to po co w ogóle drukujecie. Uważam całość i początek tej powieści za ważny, bo ważny jest dla nas w ogóle nasz początek, skąd my Polacy się wzięliśmy, chociaż Zbigniew Nienacki mógł tego w pierwszych rozdziałach nie napisać.

Czytałem w odcinkach drukowaną w „Rzeczywistości” książkę Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”. Była tam też mowa o początkach Polski, ale za mało. A my chcemy zrozumieć, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Wybaczenie, ale ja tak rozumiem. Zatem proszę, nie robić takich numerów. Bo i tak mamy w Polsce za mało możliwości poznania prawdy życia i przez to ciągle jesteśmy niezadowoleni, a to nam nie pomoże.

JÓZEF JANKE
Wrocław

OD REDAKCJI. Wiele powieści — być może — zasługiwałyby na ich publikację w tygodnikach, ale tak się składa, że niektóre tygodniki nie drukują powieści w odcinkach, a inne dokonują innego niż „Odgłosy” wyboru. Na przykład „Rzeczywistość” przypomniała książkę Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”, gdyż książka ta dawno temu ukazała się drukiem. My na ogół publikujemy fragmenty książek przed ich ukazaniem się w księgarniach lub równolegle — jak choćby „Matnie” Leonarda. Książka ta niebawem już się ukaze. W naszym samyśle jest jakby zapowiedź tego, co Czytelnik nasz znajdzie w wydanej w całości książce. Również „Dzień Arbatu” Anatolija Rybakowa — też przygotowywane do druku — są wyborem obszernych fragmentów.

DLACZEGO nie drukujemy całości?
Z prostego powodu. Są to na ogół książki obszerne. Ich druk trwałby miesiącami. Nie wszyscy Czytelnicy są taką lekturą zainteresowani. Dlatego zmuszeni jesteśmy do wyboru obszernych lub mniej obszernych fragmentów. Jest to coś w rodzaju sygnału dla Czytelników. I nie więcej. Im więcej takich sygnałów, tym więcej zachęty dla Czytelników, którzy cenią sobie różnorodność tematyczną „Odgłosów”. Ot i wszystko.

Sądźmy, że mimo zastrzeżeń takich czy innych, jesteśmy w porządku wobec Czytelników.

TELEFON 36-77-70

W jednym z listopadowych numerów „Odgłosów”, w rubryce „Dla reportera” przeczytałam notkę o panu czekającym na instalację telefonu w Urzędzie Telekomunikacyjnym Łódź-Południe od 17 lat. To, że został umówiony na wizytę u dyrektora za kilka nucięcych wcale mnie nie dziwi. Moje „przygody” z tym urzędem są nie mniej ciekawe. Wprawdzie czekam na telefon dopiero 12 lat, ale zdążyłam przez ten czas zaobserwować, w jaki sposób załatwiają się szarzy potencji. Piszę do was, by w ten sposób poznać złudzeń wszystkich czekających na instalację telefonu w Urzędzie Łódź-Południe.

Jeśli jesteście szarymi obywatelami, to życzę wytrwałego CZEKANIA przez najbliższe kilkadziesiąt lat.

Po pierwsze:

Na każde wasze podanie czy osobistą rozmowę z kierownikiem otrzymacie pismo z wydrukowaną informacją, że „... w chwili obecnej możliwości techniczne nie pozwalają na zainstalowanie telefonu ze względu na brak sieci kablowej, jak również numerów na CA. Wniosek będzie ponownie rozpatrzony...” — i tu będzie wpisane długopisem, po którym to roku będzie ponownie rozpatrzony wniosek. Przez lata dostawać będziecie takie same druczki ze zmieniającą się na nich jedynie przewidywaną datą

instalacji telefonu — coraz bardziej odległą. I słusznie — przecież jeśli napisano po roku 1980, to naprawdę może to nastąpić w 1987, jak i w 2000, więc po co ciągle pisać te podania i umawiać się na rozmowy. TRZEBA CZEKAĆ.

Po drugie:
W trakcie rozmowy z kierownikiem możecie się dowiedzieć, że właśnie wczoraj podpisywał zgodę na instalację telefonu komuś, kto złożył u nich podanie ponad ćwierć wieku temu i że najpierw dowiadywali się czy ten ktoś jeszcze żyje. Nie niecierpliwicie się więc, jeśli czekacie dopiero od kilku lat. Trzeba żyć i CZEKAĆ.

Po trzecie:
Jeśli jesteście na tyle naiwni, że chcielibyście porozmawiać z kimś z dyrekcji w sprawie przyspieszenia instalacji telefonu i zarezerwujecie sobie na to czas w okresie letniego urlopu, to zapiszcie się już wcześniej. Słownych argumentów wcale nie przygotujcie, bo ktoś, do kogo zostaniecie łaskawie dopuszczeni i tak tylko będzie udawał, że was słucha. Na koniec dowiecie się, że „sprawa będzie jeszcze raz rozpatrzona na najbliższym posiedzeniu, ale chyba jeszcze troszkę trzeba będzie POCZEKAĆ”.

Po czwarte:
Jeśli chcielibyście przypadkiem dowiedzieć się, którzy jesteście w kolejce do własnego telefonu, to z góry ostrzegam — zostaniecie wyśmiani. Wy „szarzy obywatele” możecie tylko grzecznie „CZEKAĆ”.

Ja nawet chciałam wstąpić do milicji, żeby mi założyli telefon po pierwszych dziesięciu latach oczekiwania, ale i to podobno niczego nie gwarantuje, bo przecież wysokim funkcjonariuszem i tak od razu nie zostanę.

D.W.
(Nazwisko i adres znane redakcji).

W odpowiedzi na waszą informację z dnia 26 listopada 1987 r. oraz krytyczną notatkę zamieszczoną w numerze „Odgłosów” z dn. 14.XI.1987 r. wyjaśniamy, co następuje:

Wszystkie nasze zakłady usługowe, realizując swoje zobowiązania w stosunku do mieszkańców naszego miasta, w okresie przedmowym tj. w IV kwartale br. pracują we wszystkie soboty tego okresu. Ma to związek ze wzrostem zapotrzebowania na nasze usługi. Staraliśmy się przy tym, aby terminy usług były najkrótsze, a forma ich urozmaicona, z możliwością pozostawienia wyboru klientowi. W praktyce oznacza to, że zainteresowany może zlecić wykonanie usługi w swoim domu bądź w zakładzie w terminie zwykłym kilkunastu dni lub w terminach:

— blyskawicznym 6-godzinnym,
— ekspresowym 24-godzinnym.

Oczywiście te dwie specjalne usługi są droższe. Ponadto, klient niezadowolony ze sposobu potraktowania go w zakładzie usługowym ma prawo wpisać się do umieszczonej w widocznym miejscu książki skarg i wniosków lub skarżyć się telefonicznie (tel. 33-72-70 dział usług), bądź osobiście w zarządzie spółdzielni.

Klient z żadnej z tych form nie skorzystał.

W tej sytuacji o incydencie dowiadujemy się z waszego pisma ze znacznym opóźnieniem.

Niezależnie od powyższego, staraliśmy się również poznać szczegóły sprawy w zakładzie szklarskim. Ustaliśmy, że w interesującą nas sobotę, w czasie wizyty klienta, cała załoga (2 osoby) i kierownik zakładu usługowego pracowała na zewnątrz w pobliskich sklepach: spożywczym i papierniczym, wstawiając szyby. Niezależnie, na warsztacie, znajdowały się inne usługi z terminem wykonania właśnie w tym dniu.

W tej sytuacji kierownik zakładu usługowego, który wrócił na moment do zakładu, aby pobrać dodatkową ilość kitu do realizowanych robót, zaproponował klientowi wykonanie usługi w terminie 2 godzin lub kilkunastu dni. Żadna z tych propozycji klientowi nie odpowiadała. Inne uwagi skargi, mające charakter insynuacji, pozostawiamy bez komentarza.

Reasumując — uważam, że incydent ten jest dla nas sygnałem w określonej sprawie i zostanie wykorzystany na najbliższej naradzie kierowników zakładów przy omawianiu zagadnień związanych ze sposobem załatwiania klientów. Natomiast kierownikowi zakładu usługowego przy ul. Zaołbiańskiej zwróciliśmy uwagę na pełnienie służebnej roli w stosunku do klienta i konsekwencji z tego wynikających.

W tym rozumieniu przepraszamy za waszym pośrednictwem anonimowego klienta.

EUGENIUSZ WALAS
prezes zarządu

ZBŁĄDZILI

Z pewnym opóźnieniem przeczytałam nr 40 „Odgłosów” z 3 października, w którym na stronie — Polemiki-Listy-Opinie — Mieczysław Kozak pisze o niezłej już prof. Helenie Salskiej z Pabianic. Jestem absolwentem Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Jędrzeja Śniadeckiego w Pabianicach i chciałbym stwierdzić, że prof. Helena Salska była przez wszystkie lata mojej edukacji od roku 1931 do 1939 nauczycielką historii i geografii i opiekunką szkolnego koła LOPP w moim gimnazjum.

Nie rozumiem zatem, dlaczego panowie Wańkiewicz i Kozak przypisują prof. Salską do żeńskiego gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi w Pabianicach. Prof. Salska była nauczycielką i wychowawczynią godną najwyższego szacunku i takim szacunkiem wszyscy uczniowie panią profesor darzyli.

JAN PRÓCHNICKI

„GŁUPIA KOŃSKA SPRAWA, CZYLI POŁOWA SPRAWIEDLIWOŚCI”

W związku z zamieszczonym w „Odgłosach” nr 35/1985 z dnia 20 czerwca 1987 r. artykułem redaktora Andrzeja Karola pt. „Głupia końska sprawa, czyli połowa sprawiedliwości” zawiadamiam, iż Prokuratura Wojewódzka po zbadaniu sprawy przedstawiła akta sądowe Departamentowi i Prokuraturze Generalnej w Warszawie do decyzji w przedmiocie wniesienia rewizji nadzwyczajnej od prawomocnego wyroku Sądu Rejonowego w Zgierz z dnia 30.11.1984 r., sygn. C.451/84 uwzględniającego powództwo Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Zgierz przeciwko Henrykowi Bartczakowi o zapłatę kwoty 8.980 zł.

Pismem z dnia 18.11.1987 r. nr DK.III.Pc.1290/81 Prokuratura Generalna zawiadomiła Prokuraturę Wojewódzką w Łodzi, iż nie znalazła podstaw do złożenia z urzędu rewizji nadzwyczajnej.

dr JACEK RZĄDKOWSKI
prokurator PW.

MPK ODPOWIADA

W odpowiedzi na list czytelnika zamieszczony na łamach „Odgłosów” nr 45 z 1987-11-07 uprzejmie informujemy, że do obowiązków naszego przedsiębiorstwa, zgodnie z postanowieniem Wydziału Gospodarki Komunalnej UML z dn. 23 listopada 1982 r., należy utrzymanie czystości na przystankach wydzielonych (wsepkach) i przystankach tramwajowych i autobusowych, gdzie brak jest administratora przyległego terenu oraz utrzymanie czystości w torowiskach wydzielonych.

Utrzymanie czystości na przystankach zlokalizowanych na terenach zwartej zabudowy, a zwłaszcza na chodnikach należy do administratora podległego terenu.

Utrzymanie czystości na ciągach ulic należy do Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania.

mgr DANUTA SALAMACHA
Rzecznik Prasowy

„ŻUBARDZ” MA 25 LAT

Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bawelna” w Łodzi obchodzić będzie w 1988 roku swoje 30-lecie. Pierwszym osiedlem w historii RSM „Bawelna” był „ŻUBARDZ”.

Dla zachowania tego faktu w pamięci jego mieszkańców 25 października 1987 r. odsłonięto tablicę wmurowaną przy zbiegu ulic Klonowej i Powstańców Wielkopolskich. Aktu tego dokonał prezes Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych Edmund Kempa (niegdyś wiceprezes RSM „Bawelna”). W uroczystości tej wzięli także udział przedstawiciele władzy terenowej, Rady Nadzorczej i Zarządu RSM „Bawelna” oraz samorządu mieszkańców (również z innych bratnich osiedli).

W Klubie Osiedlowym przy ul. Bydgoskiej odbyła się skromna uroczystość, na której m.in. wręczono Honorowe Odznaki m. Łodzi, Odznaki Zasłużonego Działacza Ruchu Spółdzielczego, Złote i Srebrne Honorowe Odznaki CZSMB.

Zasłużonym działaczom Rady Osiedlowej wręczono nagrody książkowe oraz listy z podziękowaniem. Wśród nagrodzonych znaleźli się: wieloletni kierownik osiedla Jerzy Guźner, były wieloletni kierownik Klubu Osiedlowego Janina Górzyńska oraz pierwsi gospodarze osiedla małżonkowie Józef i Zofia Kołowsky.

L.K.

GDZIE SĄ GRANICE TOLERANCJI SPOŁECZNEJ?

Poszedłem niedawno na cmentarz w Radogoszczu. Ot — opatrzyć groby rodzinne już na zimę, sprzątnąć po Zadzuszkach. Normalna sprawa, jeśli ma się jakieś tradycje i szacunek dla bliskich, niezależnie od przekonań i religii. Podkusiło mnie przy tej okazji, żeby zwiedzić cały cmentarz, zajrzeć w mniej uczęszczane zakątki.

Jest na Radogoszczu mała enklawa cmentarza, wchodząca w obręb parku Julianowskiego. Jest mur, dość wysoki, kiedyś ubezpieczony czterema chybą rzędami drutu kolczastego, teraz pozitywanymi. Patrząc tedy na groby, czytając nazwiska i daty — a nuż trafi się jakaś historyczna lub znana postać? W pewnym miejscu stwierdzam, że jest „nie tak”. Podeptane groby, porozbijane wazy i fotografie na porcelanie, przewrócone pomniki! Dewastacja absolutna. I szczyt wszystkiego: na jednym z grobów powitykane chyba z trzydziestki tabliczek z innych grobów.

Głupi dowcip matolatów, którzy nie wiedzą co robić z czasem?

Rozmawiam o tym ze znajomymi. „...To Pan nie wie, że działają u nas tak zwani sataniści? Przecież mówili już o nich w radio i TV, Jarocin, kłopoty w Szczecinie...”

Rzeczywiście — nie kojarzę. Ale jeśli ta przywleczona podobno z Zachodu zaraza i u nas, to co?

Nie wnioskując w szczególności: masz prawo myśleć inaczej. Ale do momentu, w którym nie naruszasz praw i dóbr innych osób. Jeśli mam i utrzymuję groby, które ktoś bezczęści — nie może być wyrozumiały! Nie mogę być tolerancyjny!

W tym miejscu powtarzam swoje wypowiedzi sprzed chyba dwóch lat, kiedy to anonimowy polemista zarzucił mi „oschłość serca”, jako że nie doceniam roli wychowawczej i obowiązków w tej mierze społeczeństwa: opowiadam się za najbardziej ekstremalną nawet eliminacją tych, którzy nie potrafią uszanować swojego „ja”, a nie powołani niszczą, narażają na straty moralne, materialne i w inny sposób niepokoją.

W naszej rzeczywistości i tak dosyć jesteśmy straszeni czy narażeni na niepokój i straty. Nie muszę więc tolerować kogoś, kto chce wykazać swoje przekonania moim kosztem.

Nie będę „wychowawcą” satanisty, który zniszczył i zbezczeszczył moje rodzinne groby, tak jak i nie wyobrażam sobie w tej roli mojego polemisty sprzed lat. Teoria jest piękniejsza niż praktyka.

Inna sprawa, czy zarząd cmentarza nie może lepiej zadbać o bezpieczeństwo, czy właściwe organa porządku publicznego nie mogą i nie powinny działać i w tym kierunku, a jeśli się to dzieje — dlaczego niewiele o tym wiemy...

W. AFELT

REDAKCJA — CZYTELNICZY

ZYGMUNT PAWLICKI, Gniezno. Nie możemy spełnić pana prośby, gdyż Leonard — autor drukowanej „Matni” — zastrzegł sobie pełną anonimowość. Jeśli pragnie pan napisać list do Leonarda, proszę go przesłać w zapieczętowanej kopercie, włożony w drugą kopertę z naszym adresem. List prześlemy.

Również inni czytelnicy, którzy pragną przesłać list do autora „Matni” mogą skorzystać z tego sposobu.

„KONTUR” — Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Gospodarki Turystycznej w Koninie. Urząd Miasta i Gminy w Uniejowie po raz trzeci zwraca się do was z prośbą o wyjaśnienie krytycznych uwag zawartych w felietonie Witolda Borowego. Jego felieton „Gospodarz to znaczy kto?” ukazał się w „Odgłosach” 2 maja 1987 roku. Urząd Miasta i Gminy w Uniejowie konsekwentnie powiadamia nas odpisami pism przesyłanych do „Kontura” w Koninie, podobnie jak i odpowiednie wydziały UW w Koninie. I co? I nie. „Kontur” znajduje się poza prawem obowiązującym w PRL.

EWA JASKULSKA z Łodzi oraz cała reszta czytelników podpisanych pod tym listem oraz autorów innych listów. Wszyscy — przezwajcie panie zresztą — którzy zareagowali na recenzję Andrzeja Karolczaka „Cyk z fajerwerkem — Majakowski” proszeni są o spokojne poczekanie na publikację ich listów — w całości lub obszernych fragmentach. Stanie się to już niebawem, w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”. Chcemy problem ten potraktować kompleksowo.

JÓZEF GRUCHAŁA, Łódź. List „Na spotkanie poezji z obłocą” ciekawy, ale w trzech czwartych poświęcony „Grupie Centauro”. Ponieważ zakończyliśmy już dyskusję o tej Grupie na naszych łamach, z przykrością musimy zrezygnować z jego publikacji. Gdyby zechciał pan napisać tylko o sprawach poezji, pomijając polemikę z „Grupą Centauro”, to chętnie rozważylibyśmy możliwość publikacji.

Okolice porno shopu nie są okolicami salonu.

Latamy już na różnych wysokościach

Rozmowa z ANDRZEJEM RODANEM-JÓZWIAKIEM.

— Ostatnio ukazały się dwie pana książki „Okolice porno shopu” i „Polowanie na piosenkę”. W tej pierwszej okazał się pan być pisarzem skandalizującym, prowokującym, wzbudzającym wielkie emocje, wręcz pornograficznym.

— Jestem trochę przestraszony, że mogę zostać oskarżony o próbę doprowadzenia kilkunastu publicystów do szaleństwa lub śmiertelnego zadławienia się własną śliną. Obserwuję w prasie festiwal Andrzeja Rodana-Józwiaka i coraz bardziej jestem przekonany, że szczególnie rysem naszej obyczajowości jest obłuda w sprawach seksu i erotyki. Tego się nie zwalczy nawet przy pomocy dwóch dywizji pancernych i batalionu ciężkich karabinów maszynowych.

— W telewizyjnym programie „Non stop kolor” Wojciech Mann dokonał bezprecedensowego aktu podarowania i spalania pańskiej książki na oczach wielomilionowej widowni. Jak się pan czuje, jako autor publicznie palony na stosie?

— A jak się czuje kierownictwo telewizji, jeśli usławił sobie, że ostatni raz w Europie palono książki w Niemczech niemieckich? W Trzeciej Rzeszy palono książki niemieckich intelektualistów, żydowskich pisarzy, między innymi braci Tomanasza i Henryka Mannów. W polskiej telewizji aktu palenia dokonuje, nomen omen, Wojciech Mann. Nie sądzę, aby dla tego telewizyjnego figielmanna palenie książek było najlepszym lekarstwem na własne frustracje i kompleksy.

— Wróćmy do „Okolic porno shopu”. Odnoszę wrażenie, że opatowanie Czytelnika mocnymi scenami erotycznymi, to środek, który wiodł pana do celu: zdobycia szybkiej popularności i rozgłosu. Ślad też częste przekraczanie wąskiej linii demarkacyjnej oddzielającej normalną erotykę od porno.

— Normalna erotyka? A co to jest? W tym miejscu Pruderdia Frustratów i Okolice Kruchty szczerzą kły. Seks i miłość to jedyne uniwersalne sprawy, które są wspólne dla całej ludzkości. Najpotężniejszym ludzkim uczuciem jest popęd seksualny. Należy więc postawić pytanie, czy o życiu picelowym — jeśli musimy o nim pisać — decydują małe moralność, tradycja czy biologia?

Jako pisarz penetruję obsesje i uwikłania psychiczne moich bohaterów, stąd też pojawiają się obscenizmy, ale jakby po drodze, są okoliczności, nie intencja. Wszystko zależy od tego, kto i jak na to spogląda. Są tacy dla których pornografia będą „Narodziny Wenus” Botticelliego, „Wenus i grający na organach” Tycjana, „Adam i Ewa” Albrechta Dürera. W roku 1949 do piero sąd musiał się wypowiedzieć na temat „czystości”, atakowanych za lubieżność, niemoralność i erotyzm, „Azylu”, „Dzikich palm” Faulknera, „Poletka pana Boga” Caldwell. Z całą pewnością nie napisałem książki dla licznych jeszcze ministrantów księdza Pirożyńskiego. Być może zaskoczę pana, ale moja książka jest powieścią polityczną, opowiada o oznaczaniu Polaków na emigracji, a jej akcja — mimo, że umieszczona w RFN — cały czas towarzyszy dramatycznym wydarzeniom polskiej współczesności, owego gorącego lata 1981 „Okolice porno shopu” mają 204 strony, natomiast te kontrowersyjne sceny, tak „bogato” cytowane przez prasę, to zaledwie kilka stron tekstu. Seks jest dla mnie środkiem do wyśmiania świata, czynnikiem dezintegrującym i maskującym bowiem książka jest rozliczeniem przeszłości.

— Zgadza się. Tytuł książki jest przewrotny, metaforyczny. Nie mogę jednak zgodzić się z rysunkiem postaci: bohaterowie książki są ludźmi bez kregosłupa, szmatławi, a proces ich degradacji moralnej jest przerażający.

— Ktokolwiek pracował „na czarno” w RFN, szukał pracy, możliwości zarobku, ten wie, że w środowisku polskich gastarbeiterów „homo homini lupus” jest obelgą dla wilków. Nie ma potrzeby robić makijażu. Postępujący proces degeneracji bohaterów książki to podskórnie pulsujący nurt polityczny powieści, bo gdyby moi bohaterowie zarabiali w kraju równowartość dwóch tysięcy zachodniemieckich marek, nie musieliby jeździć na saksy, decydować się na emigrację...

— Pańska powieść, zdaniem wielu osób, MSZ powinno rozdać bezpłatnie Polakom odwiedzającym nasze dyplomatyczne przedstawicielstwa, a Biura Paszportowe MSW powinny ją wypożyczać oczekującym w kolejce po paszport na Zachód, jako przestrożę dla tych wszystkich zafascynowanych mitem łatwego życia i zdobycia dużych pieniędzy.

— Bez przesady. Paszport jest prawem obywatela i nikt mu go nie odbierze. Teoretycznie, moja książka nie może być żadnym argumentem przeciwko wyjazdowi, mimo że ukazuje los ludzi skracanych, sflepowanych życiem, oderwanych od korzeni, rozpaczliwie usiłujących zaadaptować się w nowych warunkach. Otwarcie granic dla emigracji zarobkowej uważam za konieczne i wyłącznie należy szybko przemyśleć, jak to prawnie usankcjonować. Za możliwością decyzji wyjazdów „na saksy” przemawiają racje ekonomiczne, moralne, a nawet polityczne. To, że ludzie chcą łatwiej żyć i mieć pieniądze — to normalne. Pieniądze wprowadzi, jak mówi przysłowie, szczęścia nie dają, ale na pewno pomagają je osiągnąć. Zresztą na Zachodzie trzeba pracować i trzeba umieć pracować. Pieczone gołąbki same nie wpadają do gąbki. Nie ma złudzeń — nie ma rozczarowań.

— Niektóre postacie z „Okolic porno shopu” jak gdyby trochę kojarzą się ludziom z wyobraźni. Czy to powieść z kluczem? Proszę o szczerą odpowiedź.

— Ale tylko niektóre, tylko jak gdyby, tylko trochę i tylko ludziom z wyobraźni. Czy moja szczerą odpowiedź satysfakcjonuje pana?

— Główny bohater powieści nazywa się Lawina. Czy to pan?

— Kto jest autorem „Madame Bovary”?

— Flaubert.

— Czy Flaubert to Madame Bovary? Oczywiście, że pewne fragmenty książki mają akcenty autobiograficzne, ale przetworzone, bez szczegółów. Niektóre zarysowane sceny i sytuacje osnute są na autentycznych wydarzeniach, ale z postaciami powieści nie należy wiązać nazwisk ludzi żyjących. Piszę w pierwszej osobie, ale wcale to nie oznacza, że Andrzej Rodana należy utożsamiać z Lawiną docipłym bohaterem, ironistą, seksualnym ekwilibrystą, najchętniej oddającym się pijanństwu i rozpustie.

— Do tej pory znany był pan głównie w branży estradowo-rozrywkowej, jako prężny menażer, były dyrektor Estrady Łódzkiej, organizator Polskich Targów Estradowych, redaktor naczelný magazynu muzycznego „Rock Estrada”. Znano pana „Napoleonem polskiej rozrywki” i „Bruceem Lee polskiej estrady”. Napoleon, który pisze książkę używając żargonu, nadużywając niecenuralnych słów, języka lumpów?

— Sądził pan, że żołnierze napoleońscy używali pięknego literackiego języka, że jego generałowie na manewrach i koszarach czarowali wykwintnymi manierami? Czy powieść o furmanach może być pisana w stylu pouczających opowiadań dla grzeszczących panienek? Okolice porno shopu nie są okolicami warszawskiego salonu.

— Czy nie odganie pana do „Estrady Łódzkiej”? Nie myśli pan o powrocie?

— Nie. Latamy już na różnych wysokościach, poza tym mam irracjonalne wręcz przekonanie, że klimat w niektórych miastach sprzyja regeneracyjnemu możliwościom bezinteresownego skurwysyństwa.

— Podobno „Okolice porno shopu” mają być wydane w RFN, w monografii poświęconej polskim pisarzom emigracyjnym lub piszącym o emigracji? Znajdzie się pan wśród takich nazwisk jak Gombrowicz, Mrozek, Witkacy, a ze współczesnej generacji Janusz Głowacki.

— Nie „Okolice...”, ale ich fragmenty. Tłumacz, który mnie poszukiwał, okazał wyjątkową przedsiębiorczość i talent detektywa, poruszył kilka poważnych instytucji usiłując rozszyfrować mój pseudonim i zdobyć adres. Przy okazji parę osób wpadło w panikę, no bo po co poszukują Rodana? Po to, by sflepować Józwiaka. Straciłem też paru przyjaciół, bo...

— ... wydanie książki za granicą można wybaczyć tylko pisarzowi z co najmniej pięćdziesięcioletnim stażem. Pańska proza przypomina mi trochę Młodra Bulałowicia, w szczególności jego powieści o emigracji jugosłowiańskiej w RFN. Czy przebywając w RFN pracował pan tam fizycznie, „na czarno”?

— A dlaczego nie? Pracowałem „na czarno” w przedsiębiorstwie budowlanym, które zatrudniało i dorabiało się na polskich, tureckich i jugosłowiańskich gastarbeiters, pracowałem też w firmie instalacyjnej telefonów w górskich miejscowościach, również w firmie gramofonowej i w niewielkiej agencji koncertowej. Z organizatorami i pracownikami tech-

nicznymi objazdowego festiwalu rockowego, w którym między innymi występowały bardzo popularne w Polsce zespoły Iron Maiden i Motörhead, zjechałem prawie całą RFN. Wszędzie była to praca fizyczna. W życiu robiłem wiele rzeczy. Byłem muzykiem jazzowym, żołnierzem, studentem prawa, a następnie historii, dziennikarzem, dyktorowałem w instytucjach artystycznych, byłem też doktorantem na wydziale filozoficznym. Nie siedziałem tylko i nie żebrałem. Byłem też bezrobotny.

— W RFN?

— Nie. W Polsce. Wynik wolnej gry namietności społecznych, czyli ostre działanie „Solidarności”, głowa w piasek miejscowej władzy i utrata roboty. Wtedy właśnie wyjechałem do RFN.

— I dzięki temu powstała książka, która okazała się bestsellerem. Czy w następnej książce znajdziemy również mocne akcenty erotyczne?

— Jeśli pan się tak upiera... Proszę mi wierzyć, nie jestem zwolennikiem prawd zawartych w filozofii brnięcia z rui w poróbstwo, ale mam namacalne dowody na to, że wśród ogólnych narzeków na światowy kryzys ekonomiczny, kulturalny i społeczny, jedynie kobieca pupa, kobiece nogi i piersi, jak tęskna ukraińska dumka, wychodzą zwycięsko ze zmagania z marnym losem. I takie może być motto mojej nowej powieści.

— Ongiś nazwano pana Bruceem Lee polskiej estrady. Teraz ma pan zupełnie nowe wcielenie, przygotował pan kolejne, ale już inne wejście smoka, ale na jak długo? Czy zna pan o rzeczenie lekarskie wydane po śmierci Bruce’a Lee?

— Udar mózgu.

— Nie sądził pan, że przy tak częstej zmianie życiorysów, przy takim tempie pracy twórczej i różnorodności zainteresowań, nie grozi panu to samo?

— Udar mózgu grozi jedynie tym, których można książką tak mocno zszokować i obrazić ich wyświeblimowane poczucie estetyki i etyki.

Rozmawiał:
BOHDAN
GADOMSKI

PROBLEM DO ROZWIĄZANIA



„Dziennik Łódzki” zapropomował swoim czytelnikom wzięcie udziału w interesującej akcji: znalezienia rozwiązania problemu skupu butelek. Skoro można to zrobić inni, dlaczego nie możemy my?

Akcję „DL” popieramy z całego serca i informujemy również naszych Czytelników, że jesteśmy skłonni opublikować ich propozycje na ten temat oraz przekazać je kolegom z „DL”.

Jesteśmy bardzo ciekawi, czy uda się komuś rozwiązać to handlowe „perpetuum mobile”?

Z.P.

KARATE, TAEKWON-DO, KICK-BOXING

Zapisy przyjmuje Ognisko TKKF, Łódź ul. Rzgowska 2a, tel. 84-93-47, codziennie prócz sobót w godz. 8-17.

8966/k



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

7 stycznia — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16

14 stycznia — BOGDA MADEJ — godz. 10—16

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Witold Filler zaproponował do nagrody dyrektora Rybnickiego Domu Kultury — Wojciecha Bronowskiego, a więc pracownika kultury. Jakże są szanse społecznego działacza kultury?

Wydaje mi się, że u nas „mieszają się” pracownicy kultury ze społecznikami. W roku 1977 brałem udział w ogólnopolskim konkursie na pamiętniki działaczy kultury. Laureatka i nagrodzona została instruktorka teatralna z PGR Kąty Rybackie. Koleżanka po fachu załatwowała sobie za mnie, że gdybym była dwójką w PGR i miała taki dorobek kulturalny, to wówczas miałabym większe szanse na nagrodę.

Nie znam Wojciecha Bronowskiego. „Blażalam” go, żeby mi pomógł przy firmowaniu „Songów Brechta” w wykonaniu Elżbiety Wojnowskiej w Rybnickim Okręgu Węglowym. Nawet próbowałem skorzystać z pośrednictwa Elżbiety Frąckstein — przejęła dyrektor KMPiK w Jastrzębie Zdroju. Bez rezultatu! Nie wiem czy dyrektor Bronowski nie lubi Brechta, Wojnowskiej czy Stolecznej Estrady? Dlaczego nie otrzymałem kilku słów odpowiedzi? „Songi” padły w KMPiK Rybnik, Wodzisław Śląski, Dom Kultury w Raciborzu. Oprócz 2 występów w Cieszynie 3 koncert odbył się w KMPiK Jastrzębie Zdrój za pół stawki. Nie dało się „przeskoczyć” nielogicznych przepisów.

Wybrałem „Songi Brechta” i to jest właśnie moje upowszechnianie kultury. W marcu 1986 roku odbył się występ w cieszyńskim teatrze, w klubie studenckim „Panopticon” w Cieszynie. Te zmagania o „Songi” opisałem w pracy konkursowej „Jeden miesiąc mojego życia”, który to konkurs zorganizował „Tygodnik Kulturalny”. W tym konkursie także padłam. Wyroki jurorów są niezbadane. Mam nadzieję, że moje wyroki w Sądzie Wojewódzkim w Bielsku-Białej są bardziej do „wytłumaczenia”.

Działalność Wojciecha Bronowskiego oceniam wysoko. Ale gdybym ja miała do dyspozycji Dom Kultury i miliony? Zgadza się, że dysponując milionami Dom Kultury może być pusty!

W swojej działalności sama jestem sobie sterem, żeglarzem i okrętem! Po 20 latach działalności kulturalnej doczekałam się, że często-dyrektorzy placówek kulturalnych pytają mnie o moje plany. Zaproponowałam Zofię Kucówną z monodramem o Marii Skłodowskiej-Curie. Przyjeżdża po powrocie z USA. Już przeczytałam opracowanie Andrzeja Hausbrandta „Zofia Kucówna”. Po ustaleniu terminu napiszę notatkę i artykuł. Jeżeli Zofia Kucówna zaakceptuje mój pomysł po monodramie będę prowadziła z nią spotkanie. Znajac zainteresowania plastyczne Kucówny chcę pojechać z gościem do malarza-prymitywisty górnika Ludwika Holesza ze Świerkian Dolnych.

Atakuję Chybie — rodzinna wieś Henryka Machalicy, żeby zaprosili swojego krajana przy okazji pobytu w Cieszynie, bez rezultatu. Walczę o „Pokołówki” Geneta z udziałem Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej, Ewy Dąkowskiej i Ewy Zukowskiej. Moją propozycję zaaprobowali bielski WDK i Urząd Miejski w Cieszynie.

Przez trzy tygodnie listopada organizowałam bielskiemu KMPiK publiczność na spotkanie z dr. Józefem Musiołem. Dorocie Stalińskiej przelałam książkę Józefa Musioła „Sędzia i kat...”. Czy ta książka zainspiruje znakomitą aktorkę, którą gościłam ze słynną „Zmiją” według Aleksandra Tołstoja?

Odpowiedź na pytanie, kto zasługuje na nagrodę jest dla mnie bardzo kłopotliwa. Kandydaturę może zgłosić jakaś instytucja kulturalna, redakcja itp. Nikt mnie nie poprosił do Wojewódzkiej Rady Kultury. Nie zostałam wymieniona w wydawnictwie za 900 zł (!) „Twórcy i popularyzatorzy kultury i sztuki w woj. bielskim”. Czy ja mam zabiegać o zgłoszenie swojej kandydatury? Nie! Po rozmowie telefonicznej pocztą przyniosła mi „Inspiracje” nr 1/86 z artykułem „Moje fascynacje” (o Teresie Budzisz-Krzyżanowskiej). Właśnie w tym miesięczniku ruchu społeczno-kulturalnego znajduje się notka redakcyjna na mój temat, która uskrzydliła mnie na x lat i zrekomensowała mi wszystkie kataklizmy, które przeżyłam na wyobistej drodze działacza kultury. Oczywiście red. Zofia Jaremkowa pisząc o mnie artykuł „Z życia animatora” poznała mnie i pokazałam jej dokumentację moich imprez. Poza tym nikt mnie osobiście nie zna z „Inspiracji”.

ANNA ROBOSZ

(Ustroń k. Cieszyna)

Przedsiębiorstwo Produkcji Różnej Handlu i Usług

„DEMPOL”

spółka z o.o. Oddział w Łodzi
ul. Piotrkowska 99 tel. 36-23-20

PILNIE
ZAKUPI — WYNAJMIE — WYDZIERŻAWI

lokal na cele biurowe o powierzchni ca 70 m kw. najchętniej w centrum Łodzi,
oraz teren o powierzchni ca 500—700 m kw. pod zabudowę tymczasowego zaplecza.

89/k

Uważni Czytelnicy „Odgłosów” zauważą zapewne, że redakcja nasza zafundowała sobie referendum. Odbędzie się dość dawno a wyniki ogłoszone dopiero w numerze z dwunastego grudnia 1987 r. co ładnie świadczy o moich szefach — nie wypadało im ogłaszać wyników naszego referendum przed ogłoszeniem rezultatów referendum ogłoszonego przez Sejm.

Jeszcze bardziej uważni Czytelnicy przeczytali — zapewne ze zdumieniem — że wśród najpoczytniejszych autorów, produkujących się na naszych łamach nie wymieniam się mojej skromnej osoby.

— A Andrzej Karol? Mój ulubiony autor, błyskotliwy, inteligentny, nowatorski i niezwykle elegancki? — zapytywał niejedną z drożych Czytelników, którego przy tej okazji serdecznie pozdrawiam. Nie muszę dodawać, bo to oczywiste dla każdego bystrego obserwatora, a spośród takich właśnie rekrutują się moi wierni Czytelnicy, że padłem ofiarą manipulacji, nierzetelności w obliczaniu wyników i innych chytrych pociągach, dzięki którym — proszę drogiego Czytelnika — nie tylko nie znalazłem się na liście „top”, ale w ogóle zająłem ostatnie miejsce w konkurencji! Prześięgnęli mnie nawet tacy grafomani jak... pardon, zapędziłem się.

Tego nie opublikowano, na zasadzie „wstydu oszczędzić”. Ja się atoli nie wstrzymuję i przyznaję się do swej przegranej publicznie. Wynika to z faktu, że kiedyś bardzo serio potraktowałem maksymę, wygłoszoną przez Andrzeja Makowieckiego: „Prawdziwy mężczyzna potrafi wykorzystać swe porażki dla przyszłych zwycięstw”. Może to zresztą nie był Makowiecki tylko jakiś inny aforyzma? Nieważne, ja tę maksymę znam od Makowieckiego właśnie.

A jakie mogę mieć korzyści ze swej porażki w referendum? Rozliczne, proszę państwa! Oto, jako autor najmniej znany i ceniony przez Czytelników jestem eo ipso najmniej czytany (he! he!). Zagroza mi to wprawdzie wylaniem na pyśk z redakcji, ale z drugiej strony, skoro już mnie nie wylewają, to mogę pracować na „złoty papierach” — z dużo mniejszą odpowiedzialnością za słowo. Zawsze mogę powiedzieć swemu naczelnemu: — wprawdzie mój materiał nie podoba się kolegium redakcyjnemu, ale przecież można go spokojnie puścić. Mój podpis gwarantuje, że nikt albo prawie nikt tego nie przeczyta. Szkoda społeczna albo lepiej „społeczna szkodliwość czynu” będzie wszak minimalna... Tak więc zachęcam do czytania moich tekstów: znajdziecie w nich państwo takie kawałki, jakie normalnie nie mają prawa pojawić się na łamach!

Tyle byłoby w dziedzinie autoreklamy. Przejdźmy do kryptoreklamy. W tym miejscu należy się Czytelnikom małe wyjaśnienie: kryptoreklama, czyli reklama zakamuflowana jako np. informacja dziennikarska czy nawet publicystyka, jest stara jak

1 Przerwa śniadaniowa

Coś pan narobił, panie K.?

No i po świętach — zauważył filozoficznie pan Zenek — a jak koleżeństwo, prawda, spędziło dni wolne?

Pani Lala zareagowała na słowa zwierzcina najprędzej: — Byłam u teściów na wsi. Bardzo przyjemnie było, taka domowa, wiejska atmosfera i ten, no, folklor, koledy i tak dalej...

— Ja pani zazdroszczę, niestety, bo pani pewnie podjadła ponad przydziały kartkowe, dajmy na to. Ja natomiast, jako krajowiec bezdewizowy nie posiadający rodziny w rolnictwie nieuspołecznionym skazany byłem na kartkowy przydział, dajmy na to, oraz telewizję rodzinną. Oglądał się państwo serial o Kolumbie? Bardzo kształcący — ja na przykład dowiedziałem się z niego, że Kolumb się nie poślubił, że odkrył Amerykę, tylko myślał że jest w Indiach!

— Imperializm, prawda, amerykański — zaczął pan Zenek, ale zakrzyknął go Henio:

— Jaki imperializm amerykański? Przecież tam mieliśmy do czynienia z najczystsza postacią imperializmu europejskiego! Hiszpańskiego zwłaszcza...

— Tym niemniej — nie spekulując pan Zenek kontynuował — odkrycie Ameryki, nieprawdą, doprowadziło do wielu niekorzystnych zjawisk i przyczyniło się, prawda do...

— Masz pan rację, panie Zenku! Ja pana popieram. Nic dobrego z tego odkrycia nie wyszło — rasizm, przesławianie Indian i Murzynów z niejakim Kunta Kintę na czele oraz inwazja amerykańskiej subkultury — komiks, westerny, coca-cola i inne świństwa. Ameryka, dajmy na to, jest ideologicznie nieludzka oraz moralnie obrzydliwa. Albo możemy taki tytuł — tu pan Dareczek wyjął z paczki ekstra-mocnego i zapalił — taki tytuł, prawda, jest szkodliwy ogólnie a jak wiadomo, został do Europy sprowadzony z Ameryki!

— Również kartofle i pomidory — dodała panna Kalinka i zaczęła wylać — bardzo lubię frytki i sałatkę z pomidorów...

— Kartofle i pomidory — podchwycił pan Dareczek — wyprodukowała, dajmy na to uciekana klasa robotnicza USA, i my popieramy — prawda Pani Zenku? — te produkty. Natomiast rekin z Wall Street wymyślił szkodliwy tytuł i tę przeraźliwie słodką rolę, od której ucziwemu człowiekowi pracy z Europy Środkowej robi się mdło!

Pan Henio chwycił już do wcięcia pana Dareczka i aktywnie go rozpylił: — Jestem zdania, proszę koleżeństwo, że powinniśmy zaprotestować przeciw wyświetlaniu w naszej TV filmu gloryfikującego odkrycie Ameryki! Kolumb prosił koleżankę i kolegów nie będzie naszym bohaterem! I właśnie po cholere odkrył te Amerykę! Wyszedł z tego same kłopoty, gangsterstwo, Watergate i podobne okropieństwa.

Pan Zenek chciał już wycofać się z ekstremalnej pozycji, ale nie dopuścił go do głosu pan Dareczek:

— Popieram — zawołał — słuszną, jedynie słuszną propozycję pana Henia. Tu, w kraju Moniuszki i Paderewskiego mamy prawo powiedzieć głośno NIE! muzyce jazzowej, Gershwinowi, dajmy na to, a nawet Armstrongowi chociaż był to uciekany Murzyn, ale przeszedł na pozycję burżuazyjny i wysługiwał się soldatesce amerykańskiej, Mac Arthurowi i Mac Carthy'emu!

— Albo weźmy taką kinematografię! — włączył się pan Henio — te różne Rity Hayworth, Marilyn Monroe, te symbole seksu i rozpamiętanie! Jesteśmy za seksem rodzinnym, za panią Szapolowską i Anną Szulską!

— A nawet za panem For-

ba! Precz z amerykańską demoralizacją!

Pan Zenek kręcił się niespokojnie na krześle i pomrukiwał: — i coś pan narobił, panie Kolumb?

KAROL K.

2

Lewym okiem

Odsapka i pertyk

Komputery to dla mnie coś między sanskrytem a kosmografią. Niewiele z tego rozumiem, na uczenie się trochę za późno. Cała ta ogromna wiedza i umiejętności miały swój początek w Ameryce, tam też doznały wielkiego rozkwitu. Dlatego też cała terminologia, wszystkie słowa i pojęcia, związane z komputerizacją, pochodzą z języka angielskiego i używa się ich nieomal żywcem w angielskim brzmieniu, także w naszej potocznej mowie i piśmie.

Niedawno w „Odgłosach” Józef Retman postulował, aby te angielskie nazwy i pojęcia zastąpić słowami polskimi, wymyślonymi przez odpowiednią akademię, jaką należałoby zwać Józef Retmana w tym celu powołaną. Mam do tego wniosku stanowisko ambiwalentne, niejednoznaczne.

Z trudem znoszę zalew angielszczyzny w naszym radiu i telewizji, gdzie ciągle operuje się nazwami zespołów muzycznych, nazwami piosenek, nazwami stylów piosenkarzy wyłącznie w języku angielskim. Nasze piosenkarki śpiewają często po angielsku, czemu się mnie, dziwie, bo przecież wszystkie szłyby się do występów w Las Vegas. Ta rozrywkowa angielszczyzna operująca ludźmi, wcale nie znając języka angielskiego, dlatego ich wymowa jest niekiedy żałosna. Ale czy należy wymyślać sztucznie polskie nazwy dla pojęć adaptowanych do naszej rzeczywistości z innych kręgów świata?

Pamiętam dawno temu ogłoszony konkurs na spolszczenie słowa „weekend”. Nagradzano wtedy takie słowa jak „wypoczek”, „odpizka”, „odsapka”, nadal jednak zostaliśmy przy weekendzie. „Przekrót” ogłosił w swoim czasie podobny konkurs na słowo „bruderschaft”. Zwykłe było słowo „pertyk”, chociaż to przecież też nie na polskich źródłach oparte, bo „per” to jest łacina, nie polszczyzna. Ten „pertyk” też zresztą nie bardzo się przyjął, a szkoda, bo „bruderschaft” to już za nadto obcy przybłęd.

W XIX wieku Bronisław Trentowski, również zamyślił stworzenie całego cyfrowego polskiego słownictwa filozoficznego. W jego dziełach rol się od takich słów jak: „Chownawa” zamiast pedagogika, „myślini” zamiast logika, „secz” zamiast dialektyka, jako że w dialektyce uczestnicy rozmowy osaczają się wzajemnie argumentami. Wynalazki te spotkać możemy tylko w dziełach Trentowskiego.

Również Niemcy w Trzeciej Rzeszy zapragnęli uczynić swój język czystym rasowo. Zamiast słowa „film” polecono używać „Lichtbild”, zamiast „auto” — „kraftwagen”, zamiast „chauffeur” — „Kraftwagenführer”. Żadne z tych słów nie jest dzisiaj używane.

Tak więc sztuczny wyleg słów albo rodzi potworki, albo po prostu się nie udaje. Natomiast naturalnym procesem jest w każdym języku przyswajanie sobie, cawajanie obcych słów do miejscowych prawideł fonetyki i gramatyki. Szofer wydaje nam się naszym własnym słowem, ale przecież to krzykiem wzięty z francus-

kiego „chauffeur” — palacz. Chodźmy dzisiaj na randki, nie pamiętając już o tym, że to dawne francuskie „rendez-vous” dało początek randce. Przykład można tu mnożyć w nieskończoność.

Myślę, że podobnie dział się będzie w branży mądrych, myślicy maszyn. Już nie mówimy o nich „komputer”, nie piszemy przez „c”, już nam się to słowo oswoiło, już mamy własny komputer.

Nie ma się tu czego wstydić, ani obawiać. Może lepszym wyjściem byłoby upowszechnienie języka esperanto, który potrafiłby dostosować się do wszystkich możliwych dziedzin ludzkiej wydalaczności. Bardzo to elastyczny i ładny język, chociaż oczywiście nie w zakresie literatury pięknej, na to jest może zbyt jednostronny. Półki jednak esperanto pozostaje, a wielka szkoda, domena amatorów, hobbistów, póki nie uzyska powszechnego obywatelstwa, oswajamy sobie dla naszej pięknej polszczyzny słowa urodzone gdzie indziej. Ani im, ani nam, nic to nie zaszkodzi.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Co nas czeka?

1. Rok zapowiada się interesującym. Bo to i XV Zimowa Igrzyska Olimpijskie w Calgary w Kanadzie i XXIV Olimpiada w Seulu, mistrzostwa Europy w piłce nożnej oraz rozgrywki eliminacyjne do mistrzostw świata w tejże dyscyplinie. Emocji więc będzie sporo. Czy sił nam na to wszystko starczy?

Najpierw czeka nas zimowa olimpiada w Calgary. Zaczyna się 18 lutego i trwać będzie do 23 lutego 1988 roku. Między Calgary w Kanadzie a Polską różnica czasu wynosi 9 godzin. Tak więc, gdy w Calgary będzie 13 lutego godzina 13.15, o której to nastąpi otwarcie XV Zimowych Igrzysk Olimpijskich, u nas będzie 22.15. Czekają kibiców bezsenne noce. Rano wielu amatorów sportu chodźdź będzie niewyspanych...

No, nie wszystko trzeba oglądać, ale na przykład mecze hokejowe warto. Pierwszy mecz polskiej drużyny rozpocznie się 14 lutego o godzinie 14.30, a u nas — o 23.30.

Natomiast uroczystość zamknięcia XV Zimowych Igrzysk Olimpijskich zaplanowano 28 lutego na godzinie 19.30, gdy u nas będzie już 4.30 rano. Ludzie wstawać będą do pracy na pierwszą zmianę w fabrykach, a niektórzy będą już w drodze do pracy. Można mieć nadzieję, że telewizja będzie powtarzała niektóre najważniejsze relacje w porze bardziej dogodnej dla ludzi pracy.

2. Trochę lepiej będzie latem w Seulu, XXIV Olimpiada rozpocznie się 17 września i trwać będzie do 3 października. Niektóre dyscypliny mają być rozegrane w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Sprawa tych rozgrywek nie jest jeszcze do końca rozstrzygnięta. Będzie natomiast trochę

lepiej dlatego, że latem różnica czasu między Seulem a Polską wynosi tylko 7 godzin. Kibice mają większą szansę na wyspanie się.

3. Jakie szanse mają nasi zawodnicy? Sprawozdawcy telewizyjni zasiadli przed kamerami telewizyjnymi i w ramach audycji „Echa stadionów” popuszczili wodze fantazji, licząc nasze szanse. Jerzy Mrzygłód kilkakrotnie zastrzegł, aby tych przewidywań nie brać poważnie, bo to tylko zabawa. Wyszło im jednak, że możemy mieć więcej medali niż mieliśmy poprzednio. Zabawa była przednia, ale w te medale nie bardzo wierzę. Szczególnie w te z zimowej olimpiady.

Wprawdzie Piotr Fijas obiecuje skakać jak najdalej, bo nie chce być „czerwoną latarnią” olimpijskich skoczków, robi się nadzieje, że Grzegorz Filipowski taktycznie nie pokazując się na mistrzostwach Europy, może zaskoczyć nadzwyczajną formą... I to chyba wszystko. Trudno kryć prawdę, że sporty zimowe u nas nie stoją na najwyższym poziomie.

4. Mistrzostwa Europy w piłce nożnej bez Polaków. Tradycja stała się zadość. Niech żyje tradycja! Czy olimpijczyści coś wywalczą, skoro konkurencja silna, a oni raczej słabi? Boję się, że nie. Czy Wojciech Łazarek podola zadaniom i przygotowuje taki skład polskiej reprezentacji, który potrafiłby stawić czoło wcale nie takim słabym Albaniom, nie mówiąc już o Szwedach i Anglikach? Czy zapowiedziane zmiany w systemie rozgrywek naszej ligi przyniosą oczekiwane rezultaty? I kiedy to nastąpi?

Za odrodzenie polskiej piłki nożnej wziął się Kazimierz Górski. Mam wiele uznania i szacunku dla pana Kazimierza. Ale moim obowiązkiem jest patrzeć krytycznie. I ten obowiązek nakazuje mi wyrazić zdziwienie, że sytuacja wśród działaczy jest aż taka krytyczna, że trzeba było sięgać po emeryta, człowieka zasłużonego, twórcę wielkiego sukcesu polskiej piłki nożnej, ale przecież zasługującego na spokojny odpoczynek po latach trudów, nie tylko w Polsce. Jeśli nadal w polskiej piłce nożnej najlepszą są emeryci, to niczego dobrego nie rokuję to na przyszłość. Z całym, należnym szacunkiem dla emerytów. Boję się, że zbyt wiele obowiązków nałożono na barki Kazimierza Górskiego, zbyt wiele związane z nim nadzieje. A gdzie są pomocnicy, gdzie trenerka młodzież, gdzie młodzi działacze? To powinno wszystkich zmusić do myślenia!

5. Ukazało się „Wydanie Specjalne Express Ilustrowany Magazyn” — tzw. „Skarbiec kibica”, gdzie można przeczytać w rozmowie z Włodzimierzem Smolarkiem, że nie wszystkim sportowcom udało się za granicą. My tu ciągle piszemy i czytamy o Zbigniewie Bońku, Józefie Młynarczyku, Mirosławie Okońskim, Romanie Wójcikim, Włodzimierzu Smolarku i jeszcze kilku innych, ale przecież wyjechało „na piłkarskie saksy” znacznie więcej młodych ludzi. Niektórzy nawet szybko zapomnieli, że są Polakami — przepraszam, że byli Polakami, i wielu z nich wcale tak dobrze się nie wiedziało. Na przykład byli piłkarze Pogoni Szczecin — Torowski i Biernat, ludzie o wielce niemieckich nazwiskach, obecnie obywatele RFN, jakoś kariery nie zrobili. Ale to już ich sprawa! Warto jednak o tym pamiętać, że tam na nikogo z workiem pełnym marek i dolarów nie czekają. Jeśli plać, to za ciężką pracę.

6. Stara prawda jest taka, że zawodnik nie może stawać na starcie, wybiegać na boisko z przekonaniem, że przegra sportową walkę, do której staje. Wtedy rzeczywiście może ją przegrać. Wszyscy stojący do sportowej walki powinni być przekonani, że walczą tylko i wyłącznie o zwycięstwo. Wtedy mają już za sobą połowę sukcesu. Wygrywa jednak lepszy. Ale czy naszych zawodników stać na taką moralną postawę? Są często zadufani, rozpieszczeni, a woli zwycięstwa nie ma u nich za grosz.

BOGDA MADEJ

Auto- i kryptoreklama

prasa. Jej szkolnym przykładem może być tekst z międzywojennego brukowca, brzmiały mniej więcej tak:

„Kiedy wreszcie odnośnie władze policyjne położą kres działalności nielegalnego domu schadzek, mieszczącego się przy ulicy Patologicznej 12 mieszkania 4, drugie piętro, pukać cztery razy!”

Organ prasowy mego Wielce Szanownego Stowarzyszenia (SD PRL), „Prasa Polska” zajmuje się poważnie problemem kryptoreklamy. Żeby nie nudzić Czytelnika problemami fachowymi i etycznymi zawodu dziennikarskiego (tak, tak, etycznymi) istnieje bowiem coś takiego jak etyka dziennikarska, chociaż nie ma etyki górniczej, marynarskiej ani bibliotekarskiej — a więc żeby nie nudzić, chcę tylko zasygnalizować, że najbardziej ortodoksyjnie przeciwnicy kryptoreklamy prasowej zastanawiają się poważnie, czy informacja o tym, że gdzieś tam można coś kupić jest kryptoreklamą! Oczywiście kryptoreklamą jest też życiowa recenzja książki, filmu, spektaklu czy wystawy. Paranoja!

Tymczasem jestem sobie zdania, że nie tak nie reklamuje tzw. wytworów artystycznych ducha ludzkiego, czyli własnie filmów, książek itp. jak złośliwie, napastliwie recenzje, zaprawione żółcią i jadem. Ktoż nie pójdzie na film reklamowany jako „obrzydliwa pornografia”, „szkalowanie dobrego imienia” (czyżkolwiek zresztą), „zerowanie na najniższych instynktach widowni” itp. itd. Literaturę zresztą też to dotyczy. Oto książka Andrzeja Rodana leżała sobie na półkach i doczekałaby się przeczytania, gdyby kilku zajadłych recenzentów nie odsadziło jej. I, powiesz, „Okoliczności porno shopu”, od czi i wiary. Poszła jak woda! Podobnie zresztą jak podręcznik szkolny „Przysposobienie do życia w rodzinie”. Dzieki połączonej wysiłkom prasy katolickiej, Jana Dobraczyńskiego i ministra Edukacji Narodowej stała się rzecz kuriozalna — podręcznik, powtarzam podręcznik szkolny bije rekordy cen na czarnym rynku i rozchwytywany jest jak „Kompleks Portnoya” nie przemyślając.

Toteż nie boję się zarzutu kryptoreklamę pisać to, co poniżej: Bez premierowej gali, bez recenzentów, cichutko, bez afiszów i jakiegokolwiek reklamy działa sobie od pewnego czasu w naszym mieście szczególny teatr. Jest to „scena wędrowna” Teatru Powszechnego. W skromnych warunkach scenograficznych, w jakiegokolwiek sali, może być i szkolna klasa, odbywają się spektakle dla młodzieży szkolnej. A nie są to wcale „lektury”. Przeciwnie, materiał literacki dobierany jest wprawdzie tak, żeby współgrał z programem szkolnym, ale przedstawia się młodzieży utwory lub tylko ich fragmenty, które dają pojęcie o epoce i jej stylu, o teatrze, o kulturze wreszcie...

Widziałem dwa spektakle „sceny wędrownie” — jeden to były „wypisy” z Mollera — zgrabna miniatura teatralna, bardzo dobrze przyjęta przez młodzież. Ostatnio widziałem spektakl pt. „Majakowski”. Jest to tekst osobliwy — stenogram ostatniego wieczoru autorskiego Włodzimierza Majakowskiego wzbogacony wierszami poety i jednym z najzabawniejszych fragmentów „Lazni”. Spektakl w wykonaniu pięciorga aktorów (Ewa Sonnenburg, Grzegorz Marchewski, Jerzy Korsztyn, Mirosław Siedler i Włodzimierz Maciudziński) nie tylko przybliżyła postać wielkiego, tragicznego poety i plewy rewolucji. Na chwałę realizatorów (reżyserował Sławomir Olejniczak) trzeba dodać, że jest to Majakowski a.d. 1937 — Majakowski w pieklesciejcie!

Młodzież IV Liceum Ogólnokształcącego, gdzie byłem na spektaklu przyjęła go bardzo dobrze — współgrał z jej wrażliwością, przemawiał do niej...

Skończy Teatr Powszechny jesteśmy, będę dalej brnął w kryptoreklamę. Otóż Związek Zawodowy działający przy tej zasłużonej scenie, od dawna wyróżniający się aktywnością (m.in. stale współpracuje z organizacją związkową Zakładów im. Juliana Marchlewskiego) prowadzi własną działalność artystyczno-gospodarczą. Nie czeka na Fundusz Kultury, nie ogląda się na mecenasów. Działa, pracuje, na własną rękę realizuje spektakle...

I w tym miejscu kryptoreklama spłata się z autoreklamą. Otóż ZZPT przy Teatrze Powszechnym włączył do swych planów artystycznych przedstawienia monodramu autorstwa mojej skromnej osoby. Donoszę o tym zachęcony przykładem Marka Kasza z „Kultury”. Ja, podobnie jak Kasz zostałem nagle i niespodziewanie autorem dramatycznym. Wybitne (niewątpliwie) dzieło sceniczne mego pióra do obejrzenia! Serdecznie zapraszam! Nie mam żadnych wątpliwości, że jest szczególnie miary wydarzeniem artystycznym, które na trwałe zapisze się w historii sceny polskiej... No, może trochę przesadzam. Ale tylko trochę!

ANDRZEJ KAROL

PS. Jeśli w imię zwalczania krypto- i autoreklamy moi szefowie nie puszczają tego tekstu, to wysłać go do redakcji gazety „Trud” w Moskwie, jak zrobił to jeden z wrocławskich dziennikarzy.

W ostatniej chwili wróciłem.

Na kanapce obok mojej torby siedział ktoś inny, pani w średnim wieku wymachiwała do mnie desperacko już spoza barierki odpraw. — Jeszcze ten pan! — prosiła pasażerów odprawianych na inny samolot o przepuszczenie mnie poza kolejnością. — Też do Helsinek!

Rzuciłem torbę na wagę, bilet z paszportem położyłem na pulpit. Plastikowy worek z koniakami i kartonem papierosów tylko mi przeszkadzał. Przeklinałem swoje gapiostwo. — Przepraszam. Bardzo państwa przepraszam!

Torba poleciała do kanału bagażowego, ignorując mój paszport urzędniczą wyrwała odcinek biletu. — Szybko, proszę! — popędziła mnie. — Pański samolot jest gotowy do startu! — Spostregła mój neseser. — To też do bagażowni.

Manuskrypt!

— Mam w nim tylko rzeczy osobiste — powiedziałem po angielsku. — Mogę pokazać.

Za jej plecami wyrosło dwóch uzbrojonych strażników.

— Sorry!

Zachowałem się jak pętał.

— I am sorry, madame — usprawiedliwiałem się. — I am very sorry.

Odbarykadowano mi przeście. Jeszcze błyskawiczna kontrola osobista i stanąłem na pokładzie samolotu. — Guten Tag, genüßige Herr! Good day, sir! — powitały mnie stewardesy.

Guten Tag... Lecę samolotem Lufthansy z Frankfurtu do Helsinek przez Sztokholm! Bukując bilet nie zwróciłem na to uwagi!

Pani w średnim wieku też w pośpiechu znikła mi z pola widzenia. Rozejrzałem się za miejscem.

B-727, zwany tutaj „Europa Jetem”, średniopłat z trzema silnikami na rufie, podróżującą tą maszyną śladami w części dziobowej, nie odczuwa się wibracji silników (sektor B), pracy skrzydeł przy przebieganiu się przez gęste warstwy chmur (sektor C). Doskonale znoszę ogień artyleryjski, harmider broni maszynowej, nie robią na mnie wrażenia bomby, odporność tę mój system nerwowy odkuwa sobie na mnie podczas cichego zawodzenia dysz odrzutowych i skrobania mrówek w spojeniskach skrzydeł z kadłubem — nic na to nie poradzę. Jeżeli mogę sobie pozwolić na luksus wyboru miejsca, idę na dziób. Ten lot potrwa tylko pół godziny, nie warto przeciskać się przez całą długość samolotu. Przeprosiłem pasażera zacytanego w gazecie i z workiem plastikowym na kolanach usadowiłem się na wolnym miejscu przy bulaju. Tego miejsca też nie lubię.

Mężczyzna obok mnie od strony pasażu był Finem. Przeciskając się do mego siedzenia powiedziałem „sorry”, on odburknął: „It's okay” i znowu zatonął w rzędach podwójnych liter w każdym słowie, z którymi zetknąłem się na półkach u niebieskich kieszzonek. Podobno Finowie, według znających ich Szwedów, nie są towarzyscy. Finowie szwedzkiego pochodzenia są, fińskiego — nie. Mój sąsiad prawdopodobnie należy do tych drugich. Rozłożyłem mego „Stern”. Termin ultimatum upływa jutro w południe. Wczoraj kanclerz Republiki Federalnej odbył z przywódcą opozycji parlamentarną rozmowę w cztery oczy. Na jaki temat? — es wurde nichts gesagt, ale można się domyślić. Jeżeli samolot wyleci w powietrze, może pociągnąć za sobą kanclerza wraz z jego Ostopitką, a to dla Niemiec Zachodnich szukających wejścia na głębsze wody światowego znaczenia cena wysoka.

Wielka loteria. Gra toczy się o życie zakładników, o fotel kanclerski, o coś dla Niemców bardzo ważnego: o Ordnung. O porządek w kraju lub wydanie go na pastwę fanatyzmu anarchii. Niemcy odbudowują swój prestiż, dużo już osiągnęli. Żydy, można powiedzieć, weszli im tutaj w parę jak rzadko kto. Ich brawurowa akcja w Ugandzie wysoko podniosła poprzeczkę niemieckim komandosom, gdyby doszło do próby uwolnienia pasażerów siłą. Czy dadzą radę? Bo terroryści mordując pilota pokazali, że nie będą żartować.

Nielatwa sprawa. Bardzo delikatna, nie chciałbym być w skórze chłopaków, którym przyjdzie ją załatwić. Najbliższe godziny przyniosą odpowiedź.

Niemcy. Mój pierwszy bezpośredni kontakt z nimi. Rzut oka znad gazety na wystrój samolotu, na krzątające się stewardesy. Co mógłbym o nich powiedzieć?

Chyba nie. Trochę jednak tak, bo dużo o nich słyszałem. W moim rodzinnym domu u wili sobie ein fest gebautes Nestchen, w pamięci mego ojca pozostają do końca życia. Matka też ma na ich temat coś do powiedzenia, choć w innej tonacji, czemu nie można się dziwić: niemieckojęzyczna Szwajcaria widać Niemców na pewno inaczej niż pilot myśliwca z Royal Air Force, którego osobiste kontakty z nimi miały charakter mało towarzyski, a jeszcze zanim zasiadł w kokpicie swego spitfire'a, doświadczył ich ręki na własnej skórze. Przeszłość. Opowiadany przez innych film, którego sam nie widziałem. „Frankensteina” widziałem. Miałem wówczas dziesięć lat, a nie zapomniałem tego ożywionego truposza nigdy, bo widziałem go osobiście. Na Hawajach jest ładniej niż na Florydzie. Słońce, palmy, palisandry, podzwrotnikowe kwiecie, wspaniałe plaże są i tu, i tam — szerokość

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

5

LEONARD

geograficzna, warunki klimatyczne prawie te same, a że na Hawajach jest ładniej, uwierzyłem dopiero wówczas kiedy stanąłem tam bosymi stopami. Przykłady można by mnożyć. Tak samo z Niemcami. Nasłuchiłem się o nich do wymiotów, lecz tylko dlatego, że zostałem przymuszony. Jednakże efekt tego nie zadowoliłby mego ojca. Oglądaliśmy bowiem ten sam film, ale każdy inaczej. W jego oczach dokonywał się proces weryfikacji zgodności obrazu z przeżyciami, moje oglądały horror. Jeden więcej, superhorror, lecz tylko film. Optymizm przy przekazywaniu pałeczki między pokoleniami rzadko bywa uzasadniony, choć szafuje się nim szczerze. Skutki tego są rozczarowujące dla obu stron. I chyba do brzo. Selekcja. Zostać w miejscu można z całym bagażem. Wyruszać w podróż trzeba tylko z akcesoriami w drodze przydatnymi, bo nigdy nie wiadomo, ile waliz czeka na zabranie na następnej stacji. A poza tym wszystko jest nietrwałe, płynne, odchodzi w przeszłość, z każdym dniem staje się tylko martwym punktem odniesienia do teraźniejszości. Dziś się Niemcy nie mogą być wierną kopią swoich ojców, wykluczone! Jeżeli, naturalnie, mają dobre w głowie.

Sklonność do dzielenia włosu na czworo — w powietrzu za mną zawsze tak. Jakże prościej jest patrzeć na chmury i nie widzieć deszczu. Mój „fiński” Fin jest na pewno wolny od tego balastu, na takiego wygląda. Wierzę gazetę strona po stronie, świat dla niego nie istnieje. Chłopisko wyższe ode mnie, potężniejsze, na składaku baterii puszek po piwie, nie dopita kawa, w zębach cygarzysko. Nieciekawo typ. Sądząc po kosmatych łapskach, na pewno jakiś handlarz drewnem, bo Finlandia to przecież lasy. Wracając teraz do domu. Podróż się udała. We Frankfurcie czy gdzieś sprzedał to, kupił tamto. „Xetem” ma na pozłacanej blaszce w kłapie włochatej marynarki. Nie wiem, co to oznacza. Wyobrażam go sobie dzisiaj w domu: pulchna żona, pół tuzina dzieci, na stole butelki, mięsio — „fiński”. Finowie podobno zażerają się mięsem — kładzie pisisko u jego butów. Rozmowa toczy się na temat...

Kryminały powinienem pisać!

Podmą mój rozcapierzona siedmiopalcowa łapa z pazurami wczepionymi drapieżnie w morze Zatoki, wysepki, kłifowe urwiska, cieśniny. Na lądzie lasy i jeziora. Helsinki są dużo mniejsze od Sztokholmu, widać to już z góry. Stewardesy zdążyły podać kawę, herbatę, piwo, na podłogę swego sklepu na kółkach spragnionych mocnych trunków, obdarować dzieci zabawkami, posprzątać nie tracąc przy tym wyglądu modelek na pokazie mody — wszystko w ciągu czterdziestu minut — i po sprawdzeniu zapęczenia pasów u pasażerów, świeżo podmalowane ślasy na swoich miejscach. Mój pierwszy kontakt z niemiecką organizacją pracy w powietrzu. Pomarańczowe apaszki, kawowe kostiumy, nogi w bucikach na półstopy koloru apaszki przystawione co do milimetra jedna do drugiej, zrelaksowane spojrzenie. Podczas lotu samolotem British Airways z Londynu do Paryża, odległość ta sama, zdążono poczęstować pasażerów keksem. Takie same dziewczyny są w załodze porwanego samolotu. Jeżeli tę sprawę rozstrzygać się będzie siła, czeka je widowisko, którego — zakładając, że wyjdą z niego cało — nie zapomną do końca życia. Zawód stewardesy stanowczo nie jest nudny!

Ostatniej nocy nie spałem dłużej niż półtorej godziny, z czego większość po wyjściu z Gundborg. Wystarczyło oderwanie wzroku od kłębiastych chmur pod skrzydłami, aby zapęść w raptowną drzemkę, z której zbudził mnie ruch w pasażu. Pilot posadził maszynę na runway tak lekko, że tego nie odczułem. Pasażerowie przesuwali się ku dziobowi, miejsce po moim milczącym sąsiadzie było puste. Schylając się po worek z zakupami po-

czynionymi w Sztokholmie, spostrzegłem na fotelu z lewej skórzany pugilares z piórem, długopisem i ołówkiem. Nie myliłem się: te grube na palec przyrządy do pisania wykonane były ze szczerzego złota.

— Hey, mister! — Podniosłem w górę pugilares. — Mister! Ten wysoki — wskazałem ręką. — Zostawił pan pugilares!

Wieża w tweedowej marynarce leniwie obróciła swój rudy czub, wyciągnęła ku mnie rękę ponad głowami pasażerów, burknęła coś jakby zwracano jej pudełko zapalek, po czym pozelegowała ku wyjściu. Szwedzi wyjątkowo dobrze znają się na ludziach! Do jakiego kraju ja się wybrałem?

Nie wiem dlaczego, ale z samolotu wysiadłem w stanie duchowej nieważkości, jak to miało miejsce po przyjeździe z Indochin do domu, kiedy uprzedzony przez kogoś miejscowy oddział American Legion zgromadził mi na lotnisku przyjeździec narodowemu bohaterowi. Stan duchowej nieważkości, tak wówczas to nazwał. Rodzaj transcendencji. Nikt na mnie tutaj nie czeka. Przybyłem do kraju nie nawiedzanego przez naszych turystów, nikogo tu nie znam, będę mógł w spokoju pracować. Nieważność. Nie idę, a unoszę się nad ziemią. Jak kosmonauta na księżycu, nie przytwierdzony linką do pojazdu. To Gundborg przypięła mi te skrzydła.

Do taśmy bagażowej dotarłem jako ostatni, nie spieszyłem się. Ze złapaniem taksówki problemu nie będzie, wprawdzie jednak zasięgnę informacji. Pierwszym moim punktem zaczerpienia będzie więc „I”.

Pasażerowie zabierali swój bagaż i kierowali się do wyjścia. Nie trwało długo, jak hall opustoszał, w miejsce „Frankfurtu” na tablicy świetlnej ukazał się „Londyn”, taśma konwojera zamaria w bezruchu. Pustal!

Niespokojnie obejrzałem się po również pustej posadzce wokół podkopy konwojera.

— Stało się coś? — usłyszałem zza pleców wypowiedziane tubalnym głosem z twardym akcentem.

— Nie widzę mego bagażu — odrzekłem zafierowany, nie odwracając się.

— Może przewieziono go do innego punktu, to się na lotniskach zdarza. Pan jest tu obcy, proszę zaczekać, zaraz sprawdzę.

Głos ten poznałem już w samolocie. Należał do właściciela pugilaresa, który teraz, w niezrozumiałym dla mnie języku, nie proszony przeze mnie, już pertraktował z hostessą. Dał mi znak, abym poczekał, i zostawiając swoje walizy bez nadzoru, zniknął za przepierzeniem hallu.

Mój dobry nastrój sprzed kiosku z niebieskimi kieszonkami prysł. Myślałem o jednym. Z całej zawartości mego bagażu, to było najważniejsze.

Nieobecność tej pary przedłużała się. Do hallu poczęli napływać pasażerowie przybyli z Londynu, co oznaczało, że bagaż z mego samolotu został wydany. Nie miałem powodu do histeryzowania, ale najspokojniejszy nie byłem. Wreszcie jaskinia uchyliła swoje wrota i wyrzuciła moją parę wraz z umundurowanym urzędnikiem.

Umundurowani ludzie kojarzą mi się z robotami. Sam widok blaszanego guzika wprawia mnie w stan czujności.

— Pan ze Sztokholmu? — robot przystąpił do rzeczy z wojskową rzeczowością. — Sorry, bagaż z pańskiego samolotu został wydany, sprawdziłem to. Kwity nadania pan oczywiście ma?

Oczywiście miałem. Osobno na torbę i na neseser. Porty nadania i docelowo zgadzały się. Robot poprosił mnie do swego kontorku dla wypełnienia formularzy zaginionych rzeczy. Na kilka godzin zaginionych, czy na wieczność? Gotów byłbym wrzucić wszelkiej własności w zamian za odzyskanie trzydziestu dwudziestu stron papieru. Wyraz mojej twarzy nie należał do najszcześliwszych podczas wypełniania rubryk. Co miści się w torbie, co w neseserze? Sztuka po sztuce, opła, wartości rzeczy, miejsce zakupu — idiotyczne formularze! Pieniądze, złoto, biżuteria, jeżeli nie zadeklarowane przed lotem i osobno ubezpieczone nie podlegają odszkodowaniu — uprzedza z góry deklaracja. Nie groziła mi ta strata, rubryki te wypełniłem czytelnym „no”. Na

kwitach brakowało wagi bagażu, czy mógłbym w przybliżeniu wpisać ją w odpowiednim okienku? I jeszcze jedno: zabezpieczenie. Na zamek, zacisk, klódkę — zwyczajną, patentową, z sztyrem? Brrr! Torba parcia koloru khaki na zamek błyskawiczny z języczkiem wciskającym w gniazdko: neseser... Dam milion dolarów każdemu, kto gubiąc swoją walizkę opisz bezbłędnie jej wygląd, nie mówiąc o takich szczegółach, jak nazwa zamka. Po umieszczeniu manuskryptu w przegrodzie po stronie wieka wyszedłem na pożegnalny spacer po Kungsgatan, z którego wróciłem przed południem następnego dnia, zaś po powrocie do hotelu nie otwierałem go nie z obawy przed ponownym zapuszczeniem weń żurawia, ale z braku nastroju do poważnych rozmyślań.

Złożenie podpisu zakończyło tę część historii. Moje samopoczucie poprawiło się. Z miny kierownika bagażowni wynioskował, że wypadki takie należą do rzadkości i — bagażela — wszystko szybko się wyjaśni. Dwa, trzy godziny, nie dłużej; już wysłano telex.

— Do jakiego hotelu mamy odesłać pański bagaż?

Nie miałem hotelu. Z wiadomości powodu nie dokonałem rezerwacji ze Sztokholmu. Ze znalezieniem wolnego pokoju w hotelach międzynarodowej klasy trudności nigdzie nie ma, zamierzałem zdecydować się na miejsce.

Ruda góra, która przez cały czas mnie nie opuszczała, nie martwiąc się o swój bagaż pozostawiony w hallu bez opieki, odpowiedziała za mnie: — Ten pan zatrzyma się u mnie. — Wręczyła urzędnikowi bilet wizytowy. — Jakby co, to proszę zadzwonić do mnie do domu. — Klepnęła mnie w ramię — Let's go, my friend! To nie potrwa wielki, a miejsca u mnie jak w tundrze.

Jestem w Finlandii! Krajinie miliona jezior, północnych lasów, reniferów i czegoś, o czym nie czytałem w żadnym folderze o tym kraju. Mój milczący w samolocie opiekun wyholował mnie do czekającego na parking samochodu z kierowcą. Przez całą drogę nie dopuszczał mnie do głosu. Jego żona bardzo się ucieszy z mego towarzystwa. Żona, córka, a także syn, który jest żądny wieści o Ameryce z pierwszej ręki. Przed zajęciem miejsc w samochodzie wyciągnął do mnie swoją żylastą dłoń drwala.

— Jestem Kauko Uusitalo.

Zrzędzeniem przypadku lotnisko w Sztokholmie stało się dla mnie centralnym punktem świata. Do czasu wylądowania w tym mieście punktem takim było mieszkanki Gundborg. Mówię „mieszkanki”, a myślę coś innego. Istotnie. Nie zdarzyło się tam nic, czego bym już nie zaznał — technika zmagania łóżkowych jest tak oklepana, że choćby nie wiadomo jak uduchowiona, pozostawia po sobie w najlepszym wypadku zniechęcenie. Poznałem to uczucie. Zmusiło mnie niejedną raz do postawienia na jednej szali drogi wiodącej do zenitu, tej, po której wszystko między kochankami idzie jak z płatką, i jej drugiej części, zaczynającej się kłopotliwą ciszą w łóżku. Waga pierwszej szali wychodziła z tej próby z reguły sromotnie przegrana. Z Gundborg było to samo, lecz tylko na początku drogi. Wiedziony doświadczeniem starałem się opóźnić osiągnięcie mego nawet za cenę pozabawienia się nagrody, gdy nagle ciemność pomieszała się z jasnością, hamulce wysiadły i zwarły ze sobą pojazdy potoczyły się w bezkresną dal, która nie miała końca. Rządki przypadek kolizji sztafety ze sztuką albo też doświadczenie moje w tych sprawach jest uboższe niż sobie wyobrażałem. Z mieszkanki Gundborg wyszedł człowiek radosny, lekki. W tym nastroju człowiek ten zabrał z hotelu swoje manatki, rozliczył się na parkingu lotniska z agentem od wynajmu samochodu, nie świadomy sztykułując się na niego zasadzki, niczym pasikonik skaczący po łące dokonywał frywolnie obdukcji zawartości niebieskich kieszzonek, nie zapamiętując właściwie, czy ich bunt był udawany, a niewinne splecenie na podłokiu dłoni, które nim tak poruszyło, nie zostało wyćwiczone wcześniej pod okiem fachowca od tych rzeczy. Bo dlaczego by nie? Psychologia przeniknęła wszystkie dziedziiny życia społeczeństwa — jak to się dzisiaj ładnie nazywa — konsumpcyjnego. Produkcja przestała być sztuką, stała się sprzedaż produktem, a zaś wymaga znajomości człowieka sprawą najważniejszą jest zdobywanie klienta. Były wielki głód, nadeszły lata dostatku. Zrył, chłaj, używaj, masz jedno auto, kup drugie, masz lodówkę starą, kup nową, dokup do niej pralkę automatyczną z programatorem, do pralki magnetowid, wyrzuci na śmietnik telewizor czarno-biały, w jego miejsce wstaw zdalnie sterowany kolorowy, nie masz gotówki, kup na kredyt, na raty, byłeś kupił, bo fabryki już zawały magazyny nowymi modelami tych samych produktów i nie mają ich gdzie składować. Prosperity. Wielkie żarcie dóbr ery przedatomowej zagłady. I aby apetyt dopisywał, zaprzęgnięto w rydwan handlu psychologię. Dyscyplinie tej niemalże uwagi poświęcono w szkołach firmy. A ile z tego pozostało w mojej głowie?

C.D.N.

Rys. Janusz Szymanski-Glone

